JEFFREY ARCHER

CO DO GROSZA

REBIS

JEFFREY ARCHER

CO DO GROSZA

Przełożyła
Danuta Sękalska

REBIS
DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań

Marii i grubym rybom

PODZIĘKOWANIA

Pragnę wyrazić wdzięczność tym wszystkim, dzięki którym powstała ta książka. Niechaj przyjmą moje podziękowania: David Niven junior, który nakłonił mnie do jej napisania, sir Noel i lady Hall, którzy to umożliwili, Adrian Metcalfe, Anthony Rentoul, Colin Emson, Ted Francis, Godfrey Barker, Willy West, Pani Tellegen, David Stein, Christian Neffe, dr John Vance, dr David Weeden, wielebny Leslie Styler, Robert Gasser, prof. Jim Bolton i Jamie Clark; Gail i Jo za nadanie jej ostatecznego kształtu i moja żona Maria za godziny strawione na redagowaniu i korekcie.

PROLOG

– Jörg, dziś przed szóstą wieczorem czasu środkowoeuropejskiego z Crédit Parisien wpłynie na konto numer dwa siedem milionów dolarów. Umieść je w renomowanych bankach oraz w akcjach najwyżej notowanych przedsiębiorstw. Albo ulokuj na rynku eurodolarowym na procent krótkoterminowy „overnight”. Zrozumiałeś?

– Tak, Harvey.

– Przekaż milion dolarów do Banco do Minas Gerais w Rio de Janeiro na nazwiska Silvermana i Elliotta i zlikwiduj konto kredytowe a vista w banku Barclaya przy Lombard Street. Zrozumiałeś?

– Tak, Harvey.

– Kup złota na mój rachunek towarowy do sumy dziesięciu milionów dolarów. Czekaj na dalsze instrukcje. Staraj się kupować przy najniższych notowaniach. Nie spiesz się, bądź ostrożny. Zrozumiałeś?

– Tak, Harvey.

Harvey Metcalfe uzmysłowił sobie, że ostatnia uwaga była zbędna. Jörg Birrer należał do najbardziej konserwatywnych bankierów w Zurychu i, co dla Harveya było ważniejsze, w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat dowiódł, że jest również jednym z najprzebieglejszych.

– Czy mógłbyś spotkać się ze mną w Wimbledonie we wtorek dwudziestego piątego czerwca o drugiej po południu? Będę na korcie centralnym, tam gdzie zwykle, na miejscu abonamentowym.

– Tak, Harvey.

Trzask odkładanej słuchawki. Harvey nigdy nie mówił do widzenia. Nigdy nie bawił się w takie subtelności, a teraz było już za późno na naukę. Podniósł znowu słuchawkę, wykręcił siedmiocyfrowy numer bostońskiego Lincoln Trust i poprosił do telefonu swą sekretarkę.

– Panna Fish?

– Tak, proszę pana.

– Proszę zlikwidować akta firmy Prospecta Oil. Proszę też zniszczyć wszelką korespondencję związaną z Prospecta Oil, tak żeby nie zostało najmniejszego śladu. Zrozumiała pani?

– Tak, proszę pana.

Znowu trzask słuchawki. W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat Harvey Metcalfe trzykrotnie wydawał podobne polecenia i panna Fish nauczyła się już nie zadawać żadnych pytań.

Harvey odetchnął głęboko i wydał ciche westchnienie triumfu. Teraz był wart co najmniej dwadzieścia pięć milionów dolarów i nic już nie mogło go powstrzymać. Otworzył butelkę szampana Krug rocznik 1964, sprowadzanego z londyńskiej firmy Hedges i Butler. Popijał z wolna, małymi łykami. Zapalił „churchilla” marki Romeo y Julieta. Cygara te, w skrzynkach po dwieście pięćdziesiąt sztuk, raz w miesiącu szmuglował dla niego z Kuby pewien włoski imigrant. Rozsiadł się wygodnie i popadł w błogostan.

W Bostonie w stanie Massachusetts była dwunasta dwadzieścia, prawie pora lunchu.

Zegary na Harley Street, Bond Street i King's Road w Londynie oraz w Kolegium Magdaleny w Oksfordzie wskazywały szóstą dwadzieścia. Czterech nieznanych sobie mężczyzn sprawdziło notowania giełdowe firmy Prospecta Oil w ostatnim wydaniu londyńskiej popołudniówki „Evening

Standard”. Wynosiły 3 funty 70 pensów. Wszyscy czterej byli zamożni i spodziewali się polepszenia swoich – i tak udanych – losów. Jutro zostaną bez grosza.

I

Zarobić milion legalnie zawsze było trudno. Zarobić milion nielegalnie zawsze było nieco łatwiej. Utrzymać milion, jeśli już się go zdobyło, to chyba najtrudniejsze ze wszystkiego. Henryk Metelski należał do tych nielicznych, którzy dokazali tych trzech rzeczy. Jeśli nawet milion, który zarobił legalnie, poprzedził milion zdobyty nielegalnie, to i tak Metelski był lepszy od innych: potrafił utrzymać jeden i drugi.

Henryk Metelski urodził się w nowojorskiej Lower East Side 17 maja 1909 roku w małym pokoiku, w którym sypiało już czworo dzieci. Dorastał w czasach Wielkiego Kryzysu, licząc na łaskę boską i jeden posiłek dziennie. Jego rodzice pochodzili z Warszawy; wyemigrowali z Polski na przełomie wieków. Ojciec Henryka był piekarzem i prędko znalazł pracę w Nowym Jorku, gdzie imigranci z Polski trudnili się zazwyczaj wypiekiem razowca i prowadzeniem małych knajpek dla swych rodaków. Rodzice Henryka pragnęli dla syna laurów uniwersyteckich, lecz w gimnazjum, do którego uczęszczał, nie był bynajmniej prymusem. Jego wrodzone talenty przejawiały się gdzie indziej. Żywego, sprytnego chłopaczka o wiele bardziej interesowało podporządkowanie sobie szkolnego czarnego rynku tytoniowego i alkoholowego niż wzruszające opowiastki o rewolucji amerykańskiej i o Dzwonie Wolności. Mały Henryk nigdy, ani przez chwilę, nie wierzył, że to, co w życiu najlepsze, dostaje się za darmo – a pogoń za pieniędzmi i władzą była dla niego czymś równie naturalnym jak dla kota gonitwa za myszą.

Kiedy Henryk był pełnym życia, krostowatym czternastolatkiem, jego ojciec zmarł na to, co obecnie zwiemy rakiem. Matka przeżyła go zaledwie

o parę miesięcy, pozostawiając pięcioro dzieci na łasce losu. Henryk, tak jak pozostała czwórka rodzeństwa, powinien był znaleźć się w okręgowym sierocińcu, ale w połowie lat dwudziestych chłopcu nie było trudno przepaść bez śladu w Nowym Jorku, choć trudniej było przeżyć. Henryk sztukę przetrwania opanował po mistrzowsku; umiejętność ta bardzo mu się przydała w późniejszych latach.

Włóczył się po Lower East Side z mocno zaciśniętym paskiem i szeroko otwartymi oczyma; tu czyścił buty, tam zmywał naczynia, nieustannie poszukując wejścia do labiryntu, w którym ukryte jest bogactwo i prestiż. Pierwsza szansa nadeszła, gdy jego współlokator, Jan Pelnik, który był gońcem na nowojorskiej giełdzie papierów wartościowych, wypadł chwilowo z gry za sprawą kiełbasy ugarnirowanej salmonellą. Henryk, wydelegowany, aby zawiadomić szefa gońców o niefortunnym wypadku, z zatrucia zrobił gruźlicę i wkręcił się tym sposobem na opróżnione stanowisko. Po czym wynajął inny pokój, wdział nowiutką liberię, stracił przyjaciela i zyskał pracę.

Większość poleceń, jakie doręczał Henryk we wczesnych latach dwudziestych, brzmiała: „Kupuję”. Sporo z nich szybko wykonywano, był to bowiem czas boomu. Na oczach Henryka miernoty robiły fortuny, gdy on był zaledwie widzem. Instynkt pchał go ku tym, którzy w ciągu jednego tygodnia wygrywali na giełdzie więcej, niż on zarobiłby przez całe życie jako goniec.

Zaczął się uczyć, jak opanować tajniki funkcjonowania giełdy, przysłuchiwał się poufnym rozmowom, otwierał zapieczętowane pisma i dowiadywał się, które ze sprawozdań niejawnych spółek akcyjnych należy studiować.

Jako osiemnastolatek miał już opanowaną wiedzę o Wall Street; gromadził ją przez cztery lata: cztery lata, które większość posłańców

spędziłaby zwyczajnie, przemierzając zatłoczone piętra i doręczając różowe świstki papieru, cztery lata, które dla Henryka Metelskiego były odpowiednikiem studiów i dyplomu magistra Harvard Business School. Nie przypuszczał, że pewnego dnia wygłosi wykład w dostojnych murach tej uczelni.

Pewnego ranka w lipcu 1927 roku niósł polecenie z renomowanego domu maklerskiego Halgarten i Spółka i jak zwykle zboczył do toalety. Opracował do perfekcji tę metodę: zamykał się w kabinie, studiował powierzone sobie pismo, decydował, czy zawarta w nim informacja ma jakąś wartość, i jeśli tak, natychmiast telefonował do Witolda Gronowicza, podstarzałego Polaka, który prowadził niewielką firmę ubezpieczeniową dla swych rodaków. Za przekazywanie informacji z samego źródła Henryk liczył sobie od 20 do 25 dolarów tygodniowo. Gronowicza nie stać było na to, by rzucić na giełdę większe sumy pieniędzy, nie zdekonspirował też nigdy swojego młodziutkiego informatora.

Siedząc na sedesie, Henryk zaczął uświadamiać sobie, że tym razem ma w ręku naprawdę bardzo ważną wiadomość. Gubernator Teksasu miał właśnie udzielić Standard Oil Company pozwolenia na ukończenie rurociągu z Chicago do Meksyku, przy czym wszystkie zainteresowane instytucje wyraziły już zgodę. Na giełdzie wiedziano, że towarzystwo już od blisko roku ubiega się o uzyskanie ostatecznej decyzji, ale przeważała opinia, iż gubernator odpowie odmownie. Pismo należało przekazać do rąk własnych maklerowi Johna D. Rockefellera, Anthony'emu Tuckerowi, natychmiast. Udzielenie zezwolenia na budowę rurociągu zapewniłoby całej północnej części kraju stały dopływ ropy naftowej, a to mogło tylko oznaczać większe zyski. Dla Henryka było oczywiste, że po ogłoszeniu tej wiadomości akcje Standard Oil pójdą w górę, tym bardziej że

dziewięćdziesiąt procent rafinerii naftowych w Ameryce było pod kontrolą Standard Oil.

Normalnie Henryk od razu przekazałby informację Gronowiczowi i właśnie zamierzał to uczynić, gdy zauważył, że tęgawy mężczyzna, który również wychodził z toalety, upuścił jakiś świstek. Henryk go podniósł, gdyż akurat nikogo nie było w pobliżu, i wycofał się z powrotem w zacisze kabiny, przypuszczając, że w najlepszym razie będzie to kolejna informacja. Tymczasem był to czek gotówkowy opiewający na sumę 50 000 dolarów, wystawiony przez niejaką Rose Rennick.

Henryk myślał pospiesznie, ale nie pochopnie. Wyszedł prędko z toalety, opuścił budynek i niebawem znalazł się na Wall Street. Skierował się do małej knajpki przy Roctor Street, usiadł i udając, że popija coca-colę, obmyślił starannie swój plan. Po czym przystąpił do działania.

Najpierw zrealizował czek w filii banku Morgana po południowo-zachodniej stronie Wall Street, wiedząc, że w swoim zgrabnym uniformie posłańca giełdy nowojorskiej łatwo zostanie wzięty za gońca jakiejś szacownej firmy. Wrócił następnie na giełdę i zakupił u maklera ringowego 2500 akcji Standard Oil po 19⅞ dolara, zachowując 126 dolarów i 61 centów reszty, jaka mu została po uiszczeniu prowizji. Wpłacił tę kwotę na konto w banku Morgana. Następnie, oczekując w napięciu na oświadczenie gubernatora, poddał się rytmowi codziennych czynności, zbyt pochłonięty myślami, by zbaczać jak zazwyczaj do toalety.

Oświadczenia nie ogłaszano. Henryk nie mógł wiedzieć, że z podaniem wiadomości zwlekano do trzeciej po południu, czasu zamknięcia giełdy, po to, by sam gubernator mógł zgarnąć akcje wszędzie tam, gdzie tylko udało się położyć na nich łapę. Tego wieczoru Henryk poszedł do domu skamieniały z przerażenia, że popełnił fatalny błąd. Widział już, jak traci

pracę i wszystko to, co z takim mozołem osiągnął w ciągu ostatnich czterech lat. Może nawet skończy w więzieniu.

Tej nocy nie mógł spać – dławił go coraz większy strach; w małym pokoju było duszno mimo otwartego okna. O pierwszej w nocy nie mógł już dłużej wytrzymać niepewności, wyskoczył z łóżka, ogolił się, ubrał i pojechał metrem na Grand Central Station. Stamtąd powędrował na Times Square, gdzie kupił pierwsze wydanie „Wall Street Journal”. Wziął gazetę w drżące ręce i przez chwilę patrzył, nie rozumiejąc, chociaż tytuł biegnący wielkimi literami przez całą stronicę krzyczał:

ZGODA GUBERNATORA DLA ROCKEFELLERA NA BUDOWĘ RUROCIĄGU

i pod spodem mniejszy nagłówek:

Przewidywany szturm na akcje Standard Oil

Oszołomiony Henryk powędrował do najbliższej całonocnej kawiarni na Zachodniej Czterdziestej Drugiej Ulicy, zamówił dużego hamburgera i frytki, polał ketchupem. Jadł swe śniadanie z trudem, jak skazaniec, którego czeka krzesło elektryczne, nie jak człowiek, który wstąpił na drogę do fortuny. Przeczytał szczegółowy artykuł o wielkim sukcesie Rockefellera, zaczynający się na pierwszej stronie gazety, a kończący dopiero na czternastej, i do czwartej rano zdążył kupić trzy pierwsze wydania „New York Timesa” oraz dwa pierwsze „Herald Tribune”. Wiodący artykuł numeru był wszędzie taki sam. Odurzony, w podniosłym nastroju, Henryk pospieszył do domu i przebrał się w uniform. Na giełdę przybył o ósmej rano i wykonując codzienne czynności, myślał wyłącznie o tym, w jaki sposób przeprowadzić drugą część swego planu.

Z chwilą urzędowego otwarcia giełdy Henryk udał się do banku Morgana i poprosił o 50 000 dolarów pożyczki pod zabezpieczenie w postaci 2500 akcji Standard Oil; kurs otwarcia wynosił tego rana 21¼ dolara. Wpłacił pożyczoną kwotę na swój rachunek i polecił, aby wystawiono mu tratę na 50 000 dolarów na rzecz pani Rose Rennick. Wyszedł z banku i odszukał adres i telefon swej mimowolnej dobrodziejki.

Pani Rennick, wdowa, która żyła z odsetek od kapitału ulokowanego przez jej zmarłego męża, zajmowała niewielkie mieszkanie przy Sześćdziesiątej Drugiej Ulicy, należącej, jak Henryk wiedział, do najszykowniejszych w Nowym Jorku. Była nieco zaskoczona telefonem od jakiegoś Henryka Metelskiego, proszącego o spotkanie w pilnej sprawie osobistej, ale w końcu wzmianka o firmie Halgarten i Spółka wzbudziła w niej trochę zaufania. Obiecała przyjść do restauracji hotelu Waldorf-Astoria o czwartej po południu.

Wprawdzie Henryk nigdy nie był w Waldorf-Astorii, ale znał nazwy wszystkich głośnych restauracji czy hoteli z rozmów, jakim przysłuchiwał się przez cztery lata na giełdzie nowojorskiej. Przypuszczał, że pani Rennick będzie raczej wolała umówić się z nim na herbatę na mieście, niż zaprosić do domu człowieka o nazwisku Henryk Metelski, zwłaszcza że jego polski akcent wyraźniej uwydatniał się przez telefon niż w bezpośredniej rozmowie.

Stojąc w wyścielanym puszystym dywanem hallu Waldorf-Astorii Henryk rumienił się ze wstydu na myśl o tym, jak jest ubrany. Przekonany, że wszyscy na niego patrzą, ukrył swą niską, korpulentną postać, zagłębiając się w wytwornym fotelu w sali Jeffersona. Niektórzy z bywalców hotelu też mieli nadmierną tuszę, lecz Henryk odnosił wrażenie, że przyczyną tego były raczej *pommes de terre maître d'hôtel* niż zwyczajne frytki. Daremnie żałując, że nadał za dużo połysku swej czarnej falującej

czuprynie, a za mało bucikom o zdartych obcasach, nerwowo skubał irytujący pryszcz koło ust i czekał. Garnitur, w którym czuł się tak pewnie i szykownie wśród przyjaciół, był podniszczony, ciasny i krzykliwy. Henryk nie pasował do tego wnętrza, a tym bardziej do gości hotelowych i, po raz pierwszy w życiu czując się nie na miejscu, wziął „New Yorkera", zasłonił się nim i modlił się, żeby pani Rennick zjawiła się jak najprędzej. Ugrzecznieni kelnerzy fruwali wokół bogato zastawionych stołów, pomijając Henryka z instynktownym lekceważeniem. Jeden z nich, jak zauważył, krążył po herbaciarni w białych rękawiczkach i wytwornie podawał kostki cukru srebrnymi szczypcami; na Henryku zrobiło to wielkie wrażenie.

Rose Rennick zjawiła się kilka minut po czwartej w towarzystwie dwóch maleńkich piesków i w olbrzymim kapeluszu. Zdaniem Henryka wyglądała na sześćdziesiątkę z okładem, była za gruba, przesadnie wymalowana i wystrojona, ale ciepło się uśmiechała i zdawała się znać tu wszystkich, gdy idąc od stolika do stolika, gawędziła ze stałymi bywalcami. Kiedy wreszcie doszła do miejsca, przy którym – jak odgadła – siedział Henryk, zaskoczyło ją nie tylko to, że jest tak osobliwie ubrany, ale i jego niezwykle młody, nawet jak na osiemnaście lat, wygląd.

Pani Rennick zamówiła herbatę, tymczasem Henryk recytował swoją wielokrotnie przepowiadaną opowiastkę, jak to zaszła niefortunna pomyłka z jej czekiem, którego sumą mylnie uznano rachunek jego firmy maklerskiej, i jak szef polecił mu natychmiast zwrócić czek z gorącymi przeprosinami za to przykre nieporozumienie. Podał jej tratę opiewającą na 50 000 dolarów i dodał, że jeśli zażąda dalszych wyjaśnień, on straci pracę, gdyż pomyłka wynikła wyłącznie z jego winy. Panią Rennick dopiero tego ranka powiadomiono o zaginięciu czeku i nie miała pojęcia, że został zrealizowany, gdyż zbilansowanie rachunku było kwestią kilku dni.

Niekłamany niepokój, z jakim Henryk wydukał swą opowieść, przekonałby o wiele wytrawniejszego znawcę natury ludzkiej niż pani Rennick. Bez trudu zgodziła się puścić sprawę w niepamięć, zachwycona, że z powrotem ma pieniądze; otrzymując zlecenie wystawione przez bank Morgana, nic nie traciła. Henryk odetchnął z ulgą i pierwszy raz tego dnia odprężył się i poweselał. Wezwał nawet kelnera ze srebrnymi szczypczykami.

Odsiedział chwilę, jak wypadało, następnie oznajmił, że musi wracać do pracy, podziękował pani Rennick za wielkoduszność, zapłacił rachunek i odszedł. Na ulicy zagwizdał radośnie. Nowa, po raz pierwszy włożona koszula była mokra od potu (pani Rennick wyraziłaby to zapewnie mniej wulgarnie), ale miał to już za sobą i mógł odetchnąć swobodnie. Pierwsze poważne posunięcie udało się.

Stał na Park Avenue ubawiony, że areną jego rozgrywki z panią Rennick był hotel Waldorf-Astoria, ten sam, w którym John D. Rockefeller, prezes Standard Oil, miał swoje apartamenty. Henryk przybył tu na piechotę i wszedł głównym wejściem. Rockefeller przyjechał wcześniej kolejką podziemną i wsiadł do prywatnej windy, która zawiozła go do apartamentów na ostatnich piętrach. W Nowym Jorku nieliczni tylko wiedzieli, że głęboko pod hotelem zbudowano Rockefellerowi stację do jego prywatnego użytku, aby nie musiał przecinać ośmiu przecz nic do Grand Central Station – między Grand Central i Sto Dwudziestą Piątą Ulicą nie było bowiem przystanku. (Stacja zachowała się do dziś, ale że w Waldorf-Astorii nie mieszkają już Rockefellerowie, pociąg nie zatrzymuje się tu nigdy.) Gdy Henryk omawiał z panią Rennick sprawę 50 000 dolarów, pięćdziesiąt siedem pięter wyżej Rockefeller wraz z Andrew W. Mellonem, sekretarzem skarbu w rządzie prezydenta Coolidge'a, zastanawiali się nad ulokowaniem pięciu milionów.

Nazajutrz Henryk przyszedł do pracy jak zwykle. Wiedział, że ma tylko pięć dni na sprzedaż akcji i likwidację zadłużenia w banku Morgana i u maklera, gdyż rozliczenia na giełdzie nowojorskiej realizowane są po pięciu dniach handlowych bądź siedmiu kalendarzowych. Ostatniego dnia akcje stały po 23¼ dolara. Sprzedał je po 23⅛ dolara, zlikwidował niedobór 49 625 dolarów, i po odliczeniu kosztów osiągnął czysty zysk w wysokości 7490 dolarów, które pozostawił zdeponowane w banku Morgana.

W ciągu następnych trzech lat Henryk przestał już telefonować do Gronowicza i zaczął grać na giełdzie na własny rachunek, zrazu angażując niewielkie sumy, potem stopniowo coraz większe, w miarę jak nabierał doświadczenia i śmiałości. Czasy wciąż jeszcze były sprzyjające i wprawdzie nie zawsze miał zysk, ale za to zgłębił tajniki sporadycznie nadarzającej się gry na zniżkę i częściej – na zwyżkę. Przy grze na zniżkę blankował – praktykę tę uważano w branży za niezupełnie etyczną. Doszedł wkrótce do perfekcji w sprzedaży akcji, których nie posiadał, licząc na wywołany w ten sposób spadek kursów. Jego wyczucie trendów giełdowych wysubtelniło się równie szybko jak smak w doborze ubrań, a przebiegłość nabyta w zaułkach Lower East Side nigdy go nie zawodziła. Prędko odkrył, że cały świat jest dżunglą – tyle że czasem lwy i tygrysy noszą garnitury.

Nim w 1929 roku nastąpił krach giełdowy, Henryk zdążył zwiększyć swoje aktywa z 7490 do 51 000 dolarów, upłynniwszy co do jednej wszystkie akcje nazajutrz po samobójstwie prezesa firmy Halgarten i Spółka, który wyskoczył z okna budynku giełdy. Henryk pojął, co się święci. Następnie ze świeżo zdobytą fortuną przeniósł się do eleganckiego mieszkania na Brooklynie i niebawem zasiadł za kierownicą raczej pretensjonalnego, czerwonego wozu marki Stutz. Bardzo wcześnie uświadomił sobie, że przyszedł na świat z trzema garbami – nazwiskiem,

pochodzeniem i ubóstwem. Problem pieniędzy rozwiązywał się sam i teraz nadszedł czas, by zlikwidować dwa pozostałe. W tym celu wystąpił o zmianę nazwiska na Harvey David Metcalfe. Kiedy otrzymał oficjalną zgodę, zerwał wszystkie kontakty z Polakami i w maju 1930 roku wkroczył w pełnoletność już z nowym nazwiskiem, nową przeszłością i świeżutko zdobytymi pieniędzmi.

Pod koniec tego roku na meczu futbolu amerykańskiego poznał Rogera Sharpleya i odkrył, że bogaci też miewają kłopoty. Sharpley, młody człowiek z Bostonu, odziedziczył po ojcu przedsiębiorstwo specjalizujące się w imporcie whisky i eksporcie futer. Sharpley, absolwent Choate i Dartmouth College, miał cały ów tupet i wdzięk bostońskiej kasty braminów, tak często budzący zazdrość pozostałych Amerykanów. Był wysoki, jasnowłosy, wyglądał na potomka wikingów; stwarzał wrażenie utalentowanego dyletanta i wszystko zdobywał z łatwością – zwłaszcza kobiety. Pod każdym względem stanowił zupełne przeciwieństwo Harveya. Byli skrajnie odmienni, lecz kontrast działał jak magnes i przyciągał ich do siebie.

Jedyną ambicją życiową Rogera była kariera oficera marynarki wojennej, lecz po ukończeniu Dartmouth College z powodu choroby ojca musiał się zająć rodzinnym biznesem. Prowadził firmę zaledwie kilka miesięcy, gdy ojciec zmarł. Roger chętnie sprzedałby ją pierwszemu z brzegu nabywcy, lecz ojciec umieścił w testamencie zastrzeżenie, że w razie sprzedaży firmy przed ukończeniem przez Rogera czterdziestego roku życia (amerykańska marynarka wojenna nie przyjmowała kandydatów powyżej czterdziestki), pieniądze należy podzielić równo między innych krewnych.

Harvey rozważył problem z głębokim namysłem i po dwu długich naradach ze sprytnym nowojorskim adwokatem podsunął Rogerowi następujące rozwiązanie: wykupi 49 procent udziałów przedsiębiorstwa

Sharpley i Syn, płacąc 100 000 dolarów przy umowie i 20 000 dolarów co roku. W czterdziestym roku życia Roger będzie mógł się pozbyć pozostałych 51 procent za kolejne 100 000 dolarów. W skład rady nadzorczej miało wejść trzech członków z prawem głosu: Harvey, Roger i ktoś trzeci, wyznaczony przez Harveya, co zapewniało mu pełną kontrolę nad firmą. Roger mógł sobie wstąpić do marynarki, powinien tylko uczestniczyć w dorocznym zgromadzeniu udziałowców przedsiębiorstwa.

Roger nie wierzył swojemu szczęściu. Nie próbował nawet zasięgnąć opinii ludzi z firmy, gdyż dobrze wiedział, że będą próbowali go odwieść od tego projektu. Harvey właśnie na to liczył i okazało się, że trafnie ocenił zachowanie ofiary, na którą zastawił sidła. Po zaledwie paru dniach namysłu Roger zgodził się na sporządzenie oficjalnej umowy w Nowym Jorku, wystarczająco daleko od Bostonu, by mieć pewność, że w firmie nie zorientują się, co się święci. Tymczasem Harvey udał się do banku Morgana, gdzie uważano go teraz za człowieka z przyszłością. Ponieważ zaś banki zawierają transakcje, które urzeczywistniają się w przyszłości, dyrektor zgodził się pomóc Harveyowi w nowym przedsięwzięciu i pożyczył mu brakujące 50 000 dolarów. Harvey kupił 49 procent udziałów firmy Sharpley i Syn i został jej piątym prezesem. Umowę podpisano w Nowym Jorku 28 października 1930 roku.

Roger wyjechał spiesznie do Newport w stanie Rhode Island, by rozpocząć kurs oficerów marynarki wojennej. Harvey pospieszył na Grand Central Station, aby złapać pociąg do Bostonu. Lata, które spędził na giełdzie, biegając na posyłki, należały już do przeszłości. Miał dwadzieścia jeden lat i był prezesem własnego przedsiębiorstwa.

Harvey zawsze potrafił obrócić w triumf to, co innym wydawało się katastrofą. Amerykanie wciąż jeszcze cierpieli z powodu ograniczeń prohibicji i chociaż Harvey nadal eksportował futra, to whisky importować

nie mógł. Była to główna przyczyna spadku zysków firmy w ostatnich dziesięciu latach. Jednak Harvey niebawem odkrył, że dzięki niewielkim łapówkom, wręczanym burmistrzowi Bostonu, szefowi policji i celnikom na granicy kanadyjskiej tudzież opłatom dla mafii, zapewniającej jego towarowi zbyt w restauracjach i nielegalnych szynkach, import whisky jakimś tajemniczym sposobem raczej wzrasta, niż maleje. Uczciwi długoletni pracownicy opuścili firmę Sharpley i Syn, a ich miejsce zajęli ludzie lepiej przystosowani do osobliwej dżungli Metcalfe'a.

W latach 1930–1933 Harvey odnosił sukces za sukcesem. Gdy ostatecznie prezydent Roosevelt na żądanie przytłaczającej większości społeczeństwa zniósł prohibicję i wraz z nią przeminęła ekscytacja, Harvey wprawdzie kontynuował handel whisky i futrami, ale zaczął rozwijać także nowe dziedziny. W roku 1933 firma Sharpley i Syn obchodziła setną rocznicę swego istnienia. W trzy lata Harvey zdołał zaprzepaścić dziewięćdziesiąt siedem lat nieskazitelnej reputacji przedsiębiorstwa oraz podwoić zyski. Po pięciu latach miał już pierwszy milion, po dalszych czterech podwoił go i wówczas postanowił, że nadszedł czas na rozstanie z przedsiębiorstwem. W ciągu dwunastu lat od 1930 do 1942 roku zwiększył zyski z 30 000 do 910 000 dolarów. Sprzedał firmę w styczniu 1944 roku za siedem milionów dolarów, z czego 100 000 wypłacił wdowie po kapitanie Rogerze Sharpleyu, sobie pozostawiając 6 900 000.

Na swe trzydzieste piąte urodziny zafundował sobie za cztery miliony dolarów nieco podupadły bank w Bostonie o nazwie Lincoln Trust. Chlubił się on wówczas zyskami rzędu 500 000 dolarów rocznie, okazałym budynkiem w centrum Bostonu tudzież nieposzlakowaną, aczkolwiek nudnawą reputacją. Harvey zamierzał zmienić zarówno opinię banku, jak i jego bilanse. Cieszyło go stanowisko prezesa banku – ale nie stał się przez to ani trochę uczciwszy. Lincoln Trust stawał się kolebką wszelkich

podejrzanych transakcji w okolicy Bostonu i chociaż w ciągu następnych pięciu lat Harvey powiększył dochody banku do dwóch milionów dolarów rocznie, jego osobistej reputacji nie można było niestety zapisać po stronie zysków.

Harvey poznał Arlene Hunter zimą 1949 roku. Była jedyną córką prezesa banku First City w Bostonie. Nigdy przedtem Harvey nie interesował się serio kobietami. Namiętnością jego życia były wyłącznie pieniądze i choć płeć piękna okazywała się pożyteczna, dostarczając rozrywki w wolnych chwilach, był zdania, że per saldo kobiety są uciążliwe. Dobiegał jednak wieku zwanego w ilustrowanych magazynach średnim i nie miał potomka, któremu mógłby zostawić fortunę, wykalkulował zatem, iż nadszedł czas, by znaleźć żonę, która obdarzy go synem. Jak zawsze, gdy czegoś w życiu pragnął, tak i teraz rozważył rzecz z głębokim namysłem.

Arlene miała trzydzieści jeden lat, gdy los ich zetknął w dosłownym tego słowa znaczeniu; cofając samochód, wpakowała się bowiem na nowego lincolna Harveya. Stanowiła przeciwieństwo niskiego, niewykształconego, tęgawego Polaka. Była bardzo wysoka, szczupła i wprawdzie niepozbawiona powabu, ale brakło jej pewności siebie i zaczynała już wątpić, czy wyjdzie za mąż. Większość jej szkolnych koleżanek była już w trakcie drugiego rozwodu i odnosiła się do niej z politowaniem. Ekstrawagancje Harveya stanowiły miłą odmianę po pruderyjnej, narzuconej przez rodziców dyscyplinie, w której widziała przyczynę swej niezdarności wobec młodych mężczyzn. Przeżyła tylko jedną przygodę – katastrofalnie nieudaną z powodu swej absolutnej niewinności – i przed Harveyem nie zjawił się już nikt, kto by chciał dać jej jeszcze jedną szansę. Ojciec Arlene nie aprobował Harveya i okazywał to, co czyniło tylko Metcalfe'a atrakcyjniejszym w jej oczach. Ojciec nie

akceptował żadnego z przyjaciół Arlene, lecz akurat tym razem miał rację. Z kolei Harvey zdawał sobie sprawę, że ożenienie banku First City z Lincoln Trust może przynieść w przyszłości tylko korzyści; mając to na uwadze, ruszył, jak to on, do ataku. Arlene zbytnio się nie opierała.

Pobrali się w 1951 roku, a ich ślub był wydarzeniem pamiętnym raczej dla nieobecnych niż dla uczestniczących w ceremonii. Zamieszkali w należącym do Lincoln Trust domu pod Bostonem i wkrótce Arlene oznajmiła, że jest w ciąży. Urodziła Harveyowi córkę prawie równo rok po ślubie.

Dali jej imię Rosalie; stała się oczkiem w głowie Harveya. Rozczarował się tylko wówczas, gdy wypadnięcie, a następnie usunięcie macicy nie pozwoliło Arlene urodzić więcej dzieci. Posłał Rosalie do Bennettsa, najdroższej szkoły dla dziewcząt w Waszyngtonie; po jej ukończeniu dostała się do Vassar, wybierając angielski jako przedmiot kierunkowy. To całkowicie zadowoliło starego Huntera, który z czasem zaczął tolerować Harveya, a wnuczkę wprost uwielbiał. Po otrzymaniu dyplomu Rosalie przeniosła się na Sorbonę po ostrej sprzeczce z ojcem na temat przyjaciół, jakimi się otacza, zwłaszcza tych długowłosych, którzy nie chcieli iść bić się do Wietnamu – nie żeby Harvey dokonał czegoś specjalnego podczas drugiej wojny światowej, z wyjątkiem zbijania forsy na wszelkich możliwych niedoborach. Do ostatecznego rozdźwięku doszło, gdy Rosalie ośmieliła się wystąpić z sugestią, że długie włosy czy poglądy polityczne nie przesądzają o moralności. Harveyowi brak było córki, ale nie chciał przyznać się do tego Arlene.

Harvey miał w życiu trzy miłości: pierwszą nadal była Rosalie, drugą obrazy, a trzecią orchidee. Pierwsza zaczęła się z chwilą, gdy Rosalie przyszła na świat. Druga narastała przez wiele lat, a zrodziła się w nader osobliwych okolicznościach. Otóż klient, który winien był firmie Sharpley i

Syn większą sumę pieniędzy, znalazł się na krawędzi bankructwa. Harvey poczuł pismo nosem i poszedł się z nim rozmówić, ale sprawa zaszła już na tyle daleko, że nie było szans wydobycia gotówki. Uparłszy się, że nie odejdzie z pustymi rękami, Harvey zabrał jedyną cenną rzecz – obraz Renoira wartości 10 000 dolarów.

Zamierzał sprzedać obraz szybko, nim się wyda, że jest uprzywilejowanym wierzycielem, ale tak go zachwyciła subtelna technika malarska i delikatna, pastelowa kolorystyka, że marzył tylko, by mieć takich więcej. Gdy się zorientował, że obrazy to nie tylko dobra lokata kapitału, ale że ma do nich prawdziwe upodobanie, jego kolekcja i namiętność zaczęły rosnąć w jednakowym stopniu. Na początku lat siedemdziesiątych Harvey miał już płótno Maneta, dwa Moneta, jedno Renoira, dwa Picassa, po jednym Pisarra, Utrilla i Cézanne'a, jak również obrazy większości uznanych, aczkolwiek mniej liczących się malarzy, i stał się prawdziwym znawcą impresjonizmu. Marzył jeszcze tylko o obrazie pędzla van Gogha i właśnie niedawno na aukcji w nowojorskiej Sotheby-Parke Bernet Gallery wymknął mu się z rąk *L'Hôpital de St Paul à St Remy*, kiedy doktor Armand Hammer z towarzystwa Occidental Petroleum przelicytował go – dla Harveya 1 200 000 dolarów to było jednak trochę za dużo.

Poprzednio, w 1966 roku, nie udało mu się kupić *Mademoiselle Ravoux*, wystawionej na sprzedaż jako pozycja nr 49 w londyńskim domu aukcyjnym, handlującym dziełami sztuki – Christie, Manson i Woods. Chociaż wielebny Theodor Pitcairn, reprezentujący Nowy Kościół Pana, przebił go, przegrana zaostrzyła tylko jego apetyt. Bóg dał, Bóg – tym razem – wziął. Co prawda w Bostonie nie zorientowano się jeszcze, ale w świecie sztuki już wiedziano, że kolekcja impresjonistów zgromadzona przez Harveya jest jedną z najwspanialszych na świecie, podziwianą niemal

równie szeroko jak zbiory Waltera Annenberga, ambasadora w Londynie za prezydentury Nixona; był on jak Harvey jednym z nielicznych, którym udało się zgromadzić poważną kolekcję po drugiej wojnie światowej.

Trzecią namiętnością Harveya były orchidee, a wyhodowane przez niego wspaniałe okazy trzykrotnie przyniosły mu zwycięstwo na wiosennej wystawie kwiatów Nowej Anglii w Bostonie i stary Hunter musiał się dwukrotnie zadowolić drugim miejscem.

Harvey jeździł teraz do Europy co roku. Założył w Kentucky doskonale rozwijającą się stadninę i lubił patrzeć, jak jego konie biegają na torach Longchamp i Ascot. Zasmakował też w oglądaniu mistrzostw tenisowych w Wimbledonie, które uważał za wciąż nieprześcignione w tej dziedzinie sportu na świecie. Bawiło go, jeśli przy okazji pobytu w Europie ubił jakiś interesik i zgromadził jeszcze więcej pieniędzy na koncie w banku szwajcarskim w Zurychu. Konto szwajcarskie nie było mu do niczego potrzebne, ale tak się jakoś składało, że nabicie Wuja Sama w butelkę poprawiało Harveyowi samopoczucie.

Wprawdzie z upływem lat Harvey złagodniał i ograniczył co bardziej podejrzane interesy, lecz nigdy nie umiał oprzeć się pokusie, jeśli uważał, że opłaci się skórka za wyprawkę. Jedna z takich złotych okazji nadarzyła się w 1964 roku, gdy rząd Jej Królewskiej Mości zachęcił do składania ofert na koncesje poszukiwawcze i wydobywcze na Morzu Północnym. Ani brytyjski rząd, ani poszczególni urzędnicy nie mieli wówczas pojęcia o przyszłym znaczeniu ropy naftowej wydobywanej spod dna Morza Północnego czy też o tym, jak w ostatecznym rozrachunku zaważy ona na polityce brytyjskiej. Gdyby rząd mógł przewidzieć, że w 1973 roku Arabowie powalą resztę świata na kolana i że w brytyjskiej Izbie Gmin

znajdzie się jedenastu członków Szkockiej Partii Nacjonalistycznej, z pewnością przyjąłby zupełnie inny kurs postępowania.

13 maja 1964 roku sekretarz stanu do spraw energii przedłożył parlamentowi dokument zatytułowany „Rozporządzenie nr 708 – Szelf kontynentalny – Ropa naftowa”. Harvey przeczytał ów szczególny dokument z wielkim zainteresowaniem, przeświadczony, iż nastręcza się doskonała okazja do zrobienia grubszej forsy. Szczególnie zafascynował go paragraf czwarty, który brzmiał:

„Osoby, które są obywatelami Zjednoczonego Królestwa oraz Kolonii i zamieszkują na stałe w Zjednoczonym Królestwie lub które są osobami prawnymi zarejestrowanymi w Zjednoczonym Królestwie, mogą zgodnie z niniejszymi przepisami wystąpić o przyznanie:

a) koncesji wydobywczej lub

b) koncesji poszukiwawczej".

Po przeczytaniu całego dokumentu Harvey musiał skupić myśli. Aby otrzymać koncesję na wydobycie oraz poszukiwanie ropy naftowej, trzeba było tak niewiele pieniędzy. Jak stanowił paragraf szósty:

„1. Z każdym wnioskiem o wydanie koncesji wydobywczej należy wnieść opłatę w wysokości 200 funtów oraz uiścić dodatkową opłatę w wysokości 5 funtów za każdą następną działkę powyżej pierwszych dziesięciu, na które złożono wniosek.

2. Z każdym wnioskiem o wydanie koncesji na poszukiwania należy wnieść opłatę w wysokości 20 funtów".

Harveyowi trudno było w to uwierzyć. Jakże łatwo można by wykorzystać taką koncesję do stworzenia pozorów gigantycznego przedsiębiorstwa! Za kilkaset dolarów mógłby figurować obok takich potentatów jak Shell, British Petroleum, Total, Gulf i Occidental.

Harvey raz po raz odczytywał rozporządzenie; nie mógł wprost uwierzyć, że rząd brytyjski oddaje tak ogromny potencjał za tak śmieszne pieniądze. Pozostawało tylko wypełnić drobiazgowy formularz zgłoszeniowy. Harvey nie był brytyjskim poddanym, żadna z jego firm nie była firmą brytyjską; uświadomił sobie, że będzie miał trudności ze złożeniem wniosku. Uznał więc, że musi zyskać poparcie brytyjskiego banku i że powoła spółkę, której dyrektorzy wzbudzą zaufanie rządu brytyjskiego.

I tak z początkiem 1965 roku zgłosił do rejestru firm w Anglii towarzystwo o nazwie Prospecta Oil, powołując się na Malcolma, Bottnicka i Davisa jako agentów prawnych i na bank Barclaya, który zresztą reprezentował już Lincoln Trust w Europie. Prezesem spółki został lord Hunnisett, do rady nadzorczej zaś weszło kilka znanych osobistości, w tym dwóch byłych posłów, którzy tracili mandaty, gdy w 1964 roku laburzyści wygrali wybory. Prospecta Oil wypuściła dwa miliony dziesięciopensowych akcji po funcie, które wykupił Harvey przez swoich ludzi. Ponadto Harvey zdeponował 500 000 dolarów w filii banku Barclaya przy Lombard Street.

Stworzywszy fasadę, Harvey posłużył się następnie lordem Hunnisettem, który wystąpił do rządu brytyjskiego o koncesję. Nowy rząd laburzystowski wybrany w październiku 1964 roku nie bardziej niż poprzednio konserwatyści był świadom znaczenia ropy naftowej pod dnem Morza Północnego. Przy udzielaniu koncesji rząd stawiał następujące warunki: 12 000 funtów opłaty dzierżawnej rocznie przez pierwsze sześć lat, podatek dochodowy w wysokości 12½ procent oraz dodatkowo podatek od zysków z kapitału; skoro jednak Harvey zamierzał zyski pozostawiać sobie, a nie firmie, nie stanowiło to żadnego problemu.

22 maja 1965 roku minister do spraw energii ogłosił w „London Gazette” listę pięćdziesięciu dwóch towarzystw, którym przyznano koncesje wydobywcze; wśród nich wymieniona była Prospecta Oil. 3 sierpnia 1965 roku rozporządzeniem nr 1531 wyznaczono konkretne lokalizacje: przydzielona Prospecta Oil znajdowała się na 51°50'00" szerokości geograficznej północnej i 2°30'20" długości geograficznej wschodniej w bezpośrednim sąsiedztwie jednego z terenów British Petroleum.

Teraz Harvey przyczaił się, czekając, aż któreś z towarzystw prowadzących poszukiwania dowierci się do ropy. Było to przydługie oczekiwanie, ale Harveyowi się nie spieszyło; dopiero w czerwcu 1970 roku British Petroleum trafiło na bogate, opłacalne w eksploatacji złoża roponośne na swym „Forties Field”. British Petroleum utopiło już ponad miliard dolarów w Morzu Północnym, a Harvey postanowił twardo, że znajdzie się w gronie tych, którzy odniosą z tego największe korzyści. Przystąpił do kolejnej zwycięskiej gry i natychmiast uruchomił drugą część swego planu.

Na początku 1972 roku wypożyczył platformę wiertniczą, którą z wielkim szumem i rozgłosem przyholowano na miejsce wierceń. Wynajął sprzęt, założywszy, że będzie mógł przedłużyć umowę, jeśli znajdzie ropę, zaangażował najniższą ustawowo dozwoloną liczbę pracowników, a następnie rozpoczął wiercenia do głębokości 6000 stóp. Po ich ukończeniu zwolnił z przedsiębiorstwa wszystkich zatrudnionych, ale powiadomił firmę Reading i Bates, od której wypożyczył sprzęt, że niebawem znów może mu być potrzebny, wobec tego nadal regulować będzie opłaty.

Następnie przez dwa kolejne miesiące Harvey rzucał na rynek akcje Prospecta Oil po kilka tysięcy dziennie, a ilekroć dziennikarze z prasy brytyjskiej, zajmujący się zagadnieniami finansowymi, telefonowali,

pytając, dlaczego kurs idzie cały czas w górę, młody rzecznik prasowy z miejskiego biura Prospecta Oil odpowiadał, jak go poinstruowano, że odmawia na razie komentarza, ale że niedługo opublikowane zostanie oświadczenie. Niektóre gazety zrobiły z igły widły. Akcje szły stale w górę od dziesięciu pensów do blisko dwóch funtów pod czujnym okiem Berniego Silvermana, którego Harvey mianował szefem przedsięwzięcia na Anglię. Silverman miał za sobą długoletnie doświadczenie w tego rodzaju operacjach i dobrze wiedział, co knuje jego szef. Przede wszystkim miał za zadanie dopilnować, żeby nikt nie mógł dowieść bezpośrednich powiązań Metcalfe'a z Prospecta Oil.

W styczniu 1974 roku kurs akcji osiągnął wysokość trzech funtów. Na ten moment czekał Harvey z realizacją trzeciej części swego planu. David Kesler, pełen entuzjazmu nowo przyjęty pracownik firmy, młody absolwent Harvardu, miał się stać jego narzędziem i kozłem ofiarnym.

II

David poprawił na nosie okulary i ponownie odczytał ogłoszenie w dziale handlowym „Boston Globe”. Chciał się upewnić, czy nie śni. To było coś w sam raz dla niego.

„Towarzystwo naftowe z siedzibą w Wielkiej Brytanii, prowadzące rozległe prace na Morzu Północnym, poszukuje młodego kandydata na stanowisko kierownicze. Wymagana znajomość operacji giełdowych i marketingu. Wynagrodzenie 25 000 dolarów rocznie. Miejsce pracy – Londyn. Oferty: skr. poczt, nr 217A”.

Dla Davida brzmiało to jak wyzwanie. Zdawał sobie sprawę, iż nadarza mu się może szansa kariery zawodowej w dynamicznie rozwijającej się branży. Czy tylko uznają jego kwalifikacje za wystarczające? Przypomniał sobie, co mawiał jego wykładowca, specjalista od zagadnień europejskich: „Jeśli już musisz pracować, postaraj się, aby było to Morze Północne. Wobec kłopotów Anglików ze związkami zawodowymi nie ma w Wielkiej Brytanii naprawdę nic innego godnego uwagi”.

David Kesler był szczupłym, gładko wygolonym Amerykaninem o włosach przyciętych krótko na jeża jak porucznik piechoty morskiej, różowej cerze i niewzruszonej powadze. Z całą żarliwością świeżo upieczonego absolwenta Harvard Business School palił się do kariery biznesmena. W sumie spędził w Harvardzie sześć lat, z czego cztery, studiując matematykę, a pozostałe dwa – po drugiej stronie Charles River, w Business School. Dopiero co po studiach, uzbrojony w bakalaureat oraz tytuł magistra administracji handlowej, rozglądał się za stanowiskiem, które nagrodziłoby jego wyjątkowe – jak wiedział – zacięcie do ciężkiej pracy.

Nigdy nie był błyskotliwym studentem i z zazdrością patrzył na kolegów, urodzonych naukowców, którzy w jednym palcu mieli postkeynesowskie teorie ekonomiczne. David zaciekle pracował przez sześć lat; odrywały go od codziennego kieratu tylko ćwiczenia sportowe, poza tym podczas weekendu chodził niekiedy na mecze futbolu amerykańskiego lub koszykówki, w których zespoły Harvardu broniły honoru uniwersytetu. Z przyjemnością zagrałby sam, ale miałby wtedy mniej czasu na naukę.

Jeszcze raz przeczytał ogłoszenie, a potem wystukał na maszynie starannie zredagowany list, który zaadresował na skrytkę pocztową. Odpowiedź przyszła po kilku dniach: wzywano go na rozmowę w miejscowym hotelu w przyszłą środę o trzeciej po południu.

David przybył do hotelu Copley przy Huntingdon Avenue za piętnaście trzecia; serce waliło mu jak młotem. Gdy wprowadzano go do małego pokoju, powtórzył sobie dewizę Harvard Business School: „Wyglądaj na Anglika, myśl jak Żyd”.

Oczekiwali go trzej panowie, którzy przedstawili się jako Silverman, Cooper i Elliott. Pierwsze skrzypce grał Bernie Silverman, niski, siwy nowojorczyk w krawacie w kratkę; czuło się wyraźnie, że to człowiek sukcesu. Cooper i Elliott przyglądali się Davidowi w milczeniu.

Silverman długo opisywał sytuację firmy i jej perspektywy. Starannie wyszkolony przez Harveya miał na podorędziu, jak przystało prawej ręce Metcalfe'a, cały arsenał gładkich słówek.

– No więc widzi pan, panie Kesler, uczestniczymy w przedsięwzięciu należącym do największych i najbardziej dochodowych na świecie, szukamy nafty pod dnem Morza Północnego u wybrzeży Szkocji. Towarzystwo Prospecta Oil ma poparcie finansowe grupy banków amerykańskich. Rząd brytyjski udzielił nam koncesji, mamy zapewniony kapitał. Ale to nie pieniądze tworzą firmę, proszę pana, firmę tworzą ludzie.

To jasne jak słońce. Potrzebujemy człowieka, który będzie pracował dzień i noc, żeby wyprowadzić przedsiębiorstwo na szerokie wody. I za to oferujemy najwyższą pensję. Jeśli powierzymy panu to stanowisko, będzie pan pracował w londyńskim biurze pod bezpośrednim zwierzchnictwem dyrektora Elliotta.

– Gdzie firma ma swoją centralę?

– W Nowym Jorku, ale nasze biura mieszczą się też w Montrealu, San Francisco, w Londynie, Aberdeen, Paryżu i Brukseli.

– Czy jeszcze gdzieś szukacie ropy?

– W tej chwili nie – odparł Silverman. – Pakujemy miliony w wiercenia na Morzu Północnym od czasu odkryć British Petroleum, a trzeba pamiętać, że na polach naftowych wokół nas na pięć prób jedna jest udana, co w naszej branży zdarza się naprawdę rzadko.

– Kiedy wybrany kandydat miałby podjąć pracę?

– Mniej więcej w styczniu, po ukończeniu państwowego kursu zarządzania w branży naftowej – odezwał się Richard Elliott.

Człowiek numer dwa w indagującym Davida trio, chudy, o ziemistej cerze; sądząc po wymowie, pochodził z Georgii. Kurs państwowy to było typowe zagranie z repertuaru Metcalfe'a – maksimum wiarygodności przy minimum kosztów.

– A gdzie bym mieszkał? – spytał David.

Tym razem przemówił Cooper.

– Oddalibyśmy panu do dyspozycji jedno z mieszkań służbowych w kompleksie Barbicanu, nieopodal naszego biura w londyńskim City.

David nie miał więcej pytań. Silverman wszystko wyjaśnił, jakby z góry wiedział, o co chodzi Davidowi.

Dziesięć dni później David otrzymał od Silvermana telegram z zaproszeniem na lunch w Klubie 21 w Nowym Jorku. Gdy David ujrzał

przy sąsiednich stolikach mnóstwo znanych twarzy, poczuł się pewniej; wyraźnie Silverman znał się na rzeczy. Ich stolik stał w jednej z małych wnęk, jakie wybierają chętnie ludzie interesu w trosce o dyskrecję.

Silverman był na luzie i w doskonałym humorze. Rozwodził się dość długo o sprawach niezwiązanych z celem spotkania, ale w końcu, przy koniaku, zaproponował Davidowi objęcie posady. David był uszczęśliwiony: 25 000 dolarów rocznie i szansa związania się z przedsiębiorstwem, które niewątpliwie czekała świetna przyszłość. Bez wahania zgodził się rozpocząć pracę w Londynie od pierwszego stycznia.

David Kesler nigdy dotychczas nie był w Anglii. Jaka zielona tu trawa, jakie wąziutkie ulice, jak szczelnie żywopłotami i ogrodzeniami osłonięte domy! Po Nowym Jorku z jego niezmierzonymi ulicami i ogromnymi samochodami człowiek czuł się tutaj jak w miniaturowym miasteczku. Małe mieszkanko było czyste i bezosobowe i, jak obiecał Cooper, położone w pobliżu biura, które mieściło się przy Threadneedle Street.

Biuro Prospecta Oil zajmowało siedem pokoi na jednym piętrze wiktoriańskiego budynku. Tylko gabinet Silvermana robił imponujące wrażenie. Poza tym znajdował się tam mikroskopijny pokoik przyjęć, drugi podobny z dalekopisami, dwie klitki sekretarek, większy pokój Elliotta i malutki Davida. David zaskoczony był ciasnotą, ale Silverman natychmiast mu wyjaśnił, że w londyńskim City za dzierżawę stopy kwadratowej gruntu płaci się trzydzieści dolarów, gdy w Nowym Jorku – dziesięć.

Sekretarka Berniego Silvermana, Judith Lampson, wprowadziła Davida do doskonale urządzonego gabinetu naczelnego dyrektora. Silverman siedział na dużym, czarnym, obrotowym krześle, a za masywnym biurkiem wyglądał jak karzełek. Miał pod ręką cztery aparaty telefoniczne: trzy białe i jeden czerwony. Wyróżniający się czerwony bezpośrednio łączył z

numerem w Stanach, o czym David się później dowiedział, acz nigdy nie odkrył, do kogo ów numer należał.

– Dzień dobry, panie Silverman. Od czego powinienem zacząć?

– Bernie, mów mi, proszę, Bernie. Siadaj. Czy zauważyłeś zmianę kursu naszych akcji w ostatnich dniach?

– O tak – powiedział z entuzjazmem David. – Wzrósł o połowę, prawie do sześciu dolarów. Pewno dzięki nowemu poparciu finansowemu naszej firmy i odkryciom innych towarzystw?

– Nie – powiedział Silverman przyciszonym głosem, sprawiając wrażenie, jakby nikt inny nie powinien usłyszeć tego fragmentu rozmowy. – Chodzi o to, że znaleźliśmy wielką ropę, ale nie zdecydowaliśmy jeszcze, kiedy o tym ogłosimy. O tu, w raporcie geologa, znajdziesz wszystko. – Rzucił Davidowi efektowny, kolorowy dokument.

David cichutko zagwizdał.

– Jakie plany ma w tej chwili firma?

– Ogłosimy o odkryciu – mówił beznamiętnie Silverman, bawiąc się cały czas gumką – mniej więcej za trzy tygodnie, kiedy będzie już dokładnie wiadomo, jaki jest zasięg i pojemność odwiertu. Musimy się zastanowić, jak wykorzystać rozgłos i nagły napływ pieniędzy. Jasne, że akcje skoczą w górę jak zwariowane.

– Akcje i tak idą ciągle w górę. Może już ktoś wie?

– Możliwe, że masz rację. Jak to czarne paskudztwo już raz wytryśnie, nie można go ukryć – zaśmiał się Silverman.

– Może nie zaszkodziłoby podłączyć się do sprawy? – spytał David.

– Czemu nie, jeśli tylko nie zaszkodzi to firmie. Daj mi znać, gdyby ktoś chciał zainwestować. W Anglii nie ma przepisów chroniących tajemnice wewnętrzne firm jak u nas w Ameryce.

– Jaką zwyżkę kursu przewidujesz?

Silverman spojrzał Davidowi prosto w oczy i rzucił od niechcenia:

– Do dwudziestu dolarów.

Po powrocie do swego pokoju David przestudiował wnikliwie raport geologa, który dał mu Silverman. Istotnie wyglądało na to, że Prospecta Oil znalazła ropę, ale zasięg odkrycia nie został na razie ustalony. David skończył czytać, spojrzał na zegarek i zaklął. Raport pochłonął go bez reszty. Wrzucił dokument do teczki, podjechał taksówką na dworzec Paddington i w ostatniej chwili zdążył na pociąg odjeżdżający o szóstej piętnaście. Miał być w Oksfordzie na kolacji u starego kumpla z Harvardu.

W drodze do uniwersyteckiego miasta David rozmyślał o Stephenie Bradleyu, przyjacielu z lat studiów, który tak wielkodusznie pomagał wówczas jemu i innym kolegom w matematyce. Stephen, obecnie członek Kolegium Magdaleny, był niewątpliwie jednym z najbardziej utalentowanych naukowców pokolenia Davida. Zdobył stypendium Fundacji Kennedy'ego na studia w Harvardzie, a następnie w 1970 roku nagrodę Wistera w dziedzinie matematyki, wyróżnienie najwyżej cenione w świecie matematycznym. O randze nagrody nie decydowała śmieszna kwota osiemdziesięciu dolarów czy medal. Rywalizacja była ostra, gdyż liczyła się opinia i oferty pracy, jakie otrzymywał zwycięzca. Stephen zdobył nagrodę z imponującą łatwością i nie zdziwiono się, gdy jego wniosek o stanowisko w Oksfordzie został przyjęty. Trzeci rok prowadził badania naukowe w Kolegium Magdaleny, jego rozprawy na temat algebry Boole'a ukazywały się często w „Proceedings of the London Mathematical Society” i właśnie niedawno ogłoszono, że został powołany na katedrę matematyki w macierzystej uczelni, Uniwersytecie Harvarda, od jesieni tego roku.

Pociąg odjeżdżający o szóstej piętnaście z Paddington po godzinie był w Oksfordzie. Z dworca David wziął taksówkę i po krótkiej jeździe New

College Lane o wpół do ósmej znalazł się na miejscu. Portier zaprowadził go do mieszkania Stephena. Było przestronne, staroświeckie, zapełnione tu i ówdzie rozrzuconymi książkami i poduszkami, na ścianach wisiały ryciny. Co za kontrast w porównaniu ze sterylnymi pomieszczeniami Harvardu, pomyślał David. Stephen czekał na niego. Wydawało się, że wcale się nie zmienił. Ubranie wisiało na jego długiej, chudej, niezgrabnej figurze; z pewnością nie mógłby zostać modelem. Krzaczaste brwi sterczały nad niemodnymi okularami w okrągłej oprawce; odnosiło się wrażenie, że chce za nimi ukryć swoją nieśmiałość. Podszedł swobodnie do Davida i przywitał go, przeistaczając się w jednej chwili ze starego człowieka w kogoś, kto nie wygląda nawet na swoje trzydzieści lat. Nalał Davidowi szklaneczkę whiskey Jack Daniel's i zasiedli do pogawędki. Co prawda w Harvardzie Stephen nigdy nie uważał Davida za bliskiego przyjaciela, lecz chętnie mu pomagał, zwłaszcza że David rwał się do nauki; teraz cieszył się ze spotkania, ale cieszył się zawsze, gdy gościł Amerykanina w Oksfordzie.

– Wiesz, David, to były niezapomniane trzy lata – powiedział, nalewając gościowi drugą szklaneczkę. – Jedyne smutne wydarzenie to śmierć mojego ojca zimą zeszłego roku. Bardzo interesował się moim życiem w Oksfordzie, gorąco popierał moją pracę naukową. Nawiasem mówiąc, zostawił mi sporo pieniędzy... Nie miałem pojęcia, że zatyczki do wanien cieszą się takim popytem. Może byś mi poradził, jak ulokować trochę pieniędzy? Na razie leżą zdeponowane w banku. Ciągle brak mi czasu, żeby się tym zająć, poza tym nie mam pojęcia, w co je zainwestować.

Tu David podjął temat swojej nowej, ambitnej pracy w Prospecta Oil.

– A gdybyś zainwestował w moją firmę, Stephen? Odkryliśmy właśnie bogate złoża ropy naftowej pod dnem Morza Północnego i kiedy o tym

ogłosimy, akcje polecą szaleńczo w górę. Cała operacja potrwałaby około miesiąca i zrobiłbyś kokosowy interes. Żałuję, że sam nie mam forsy.

– Czy masz już szczegółowe dane?

– Nie, ale przejrzałem raport geologa i jest to ciekawa lektura. Już obecnie kurs idzie szybko w górę i jestem przekonany, że skoczy do dwudziestu dolarów. Problem w tym, że czas ucieka!

Stephen rzucił okiem na raport i pomyślał, że później przeczyta go dokładnie.

– Jak to się załatwia?

– Musisz znaleźć przyzwoitego maklera, zakupić tyle akcji, na ile cię stać, i czekać na komunikat. Będę cię informował, jak stoją sprawy, i dam ci znać, gdy nadejdzie najlepszy moment na sprzedaż akcji.

– To nadzwyczaj uprzejmie z twojej strony, David.

– Ależ to drobiazg w porównaniu z tym, jak pomogłeś mi w matematyce w Harvardzie.

– Och, nie ma o czym mówić. Chodźmy na kolację.

Stephen zaprowadził Davida do refektorium, podłużnej, wyłożonej dębową boazerią sali. Ze ścian spoglądały portrety dawnych rektorów Kolegium Magdaleny, biskupów i uczonych. Długie stoły z drewna, przy których siedzieli studenci, wypełniały prawie całą jadalnię, ale Stephen poczłapał do stołu profesorskiego i wskazał Davidowi wygodniejsze miejsce. Stephen nie zwracał uwagi na hałaśliwą, kipiącą życiem czeredę. David przyglądał się jej z upodobaniem.

Posiłek składający się z siedmiu dań był fantastyczny i David się zastanawiał, jak Stephen zachowuje szczupłą sylwetkę mimo takich codziennych pokus. Podano porto i Stephen zaproponował, żeby wrócić do niego, zamiast dołączać do stetryczałych starych wykładowców w salonie profesorskim.

Popijając różowe porto z piwnic Kolegium Magdaleny, gawędzili do późna o ropie naftowej na Morzu Północnym i o algebrze Boole'a, podziwiając się nawzajem za mistrzowskie opanowanie przedmiotu. Jak większość naukowców Stephen poza swoją dyscypliną był dość naiwny. Wykoncypował sobie, że kupno akcji Prospecta Oil będzie bardzo przebiegłym posunięciem.

Rano powędrowali Addison's Walk w stronę Magdalen Bridge; na brzegach Cherwell trawa była zielona i soczysta. O dziewiątej czterdzieści pięć David z żalem wsiadł do taksówki i odjechał, mijając po drodze kolegia: Nowe, Trójcy Świętej, Balliola i wreszcie Worcester, gdzie na murach ktoś nagryzmolił: *C'est magnifique, mais ce n'est pas la gare*. Zdążył na pociąg do Londynu odjeżdżający punkt dziesiąta. Podobało mu się w Oksfordzie i cieszył się, że oddał przysługę koledze z lat studenckich, który kiedyś tak wiele dla niego uczynił.

– Dzień dobry, David.

– Witaj, Bernie. Chyba powinienem ci powiedzieć, że spędziłem wieczór u mojego przyjaciela w Oksfordzie i że prawdopodobnie wyda on trochę pieniędzy na akcje Prospecta Oil. Może nawet dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Świetnie, David. Tylko tak dalej. Doskonale się spisujesz.

Silverman nie dał po sobie niczego poznać, ale gdy tylko wrócił do swojego gabinetu, sięgnął po słuchawkę czerwonego telefonu.

– Harvey?

– Tak.

– Ten Kesler nam się chyba udał. Prawdopodobnie namówił swego przyjaciela do ulokowania dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów w firmie.

– To dobrze. Słuchaj uważnie. Wydaj polecenie mojemu maklerowi, żeby rzucił na rynek czterdzieści tysięcy akcji w cenie trochę ponad sześć dolarów. Gdyby przyjaciel Keslera się zdecydował, tylko mój pakiet będzie natychmiast do zbycia.

Następnego dnia Stephen się namyślał, a kiedy przeczytał, że kurs akcji wzrósł z 2,75 do 3,05 funta, zadecydował, że pora postawić na firmę, którą uznał za pewniaka. Miał do Davida zaufanie i był pod wrażeniem efektownego raportu geologa. Porozumiał się telefonicznie z firmą maklerską w londyńskim City, Kitcat i Aitken, i wydał im polecenie zakupu akcji Prospecta Oil za kwotę 250 000 dolarów. Gdy z sali giełdy padła oferta Stephena, makler Metcalfe'a zaoferował 40 000 akcji i transakcja została szybko zawarta. Cena kupna wynosiła 3,10 funta.

Ulokowawszy spadek po ojcu, Stephen z radością obserwował, że w ciągu następnych dni notowania wzrosły do 3,50 funta, mimo że jeszcze nie ogłoszono komunikatu. Stephen nie wiedział, że to jego transakcja wpłynęła na zwyżkę kursu. Zaczął już myśleć, co kupi za zarobione pieniądze, chociaż nie miał ich jeszcze w garści. Postanowił nie upłynniać akcji natychmiast, lecz jeszcze trochę zaczekać. David uważał, że kurs wzrośnie do 20 dolarów, poza tym obiecał zawiadomić, kiedy nadejdzie pora.

Tymczasem Harvey Metcalfe zaczął po trochu wypuszczać akcje na rynek, korzystając ze wzrostu popytu po transakcji Stephena. Zaczął się również zgadzać z opinią Silvermana, że David Kesler, młody, uczciwy, pełen entuzjazmu, jak zazwyczaj każdy na pierwszej w życiu posadzie, jest cennym nabytkiem. Nie pierwszy raz Harvey sięgnął po tę sztuczkę; sam trzymał się na uboczu, a odpowiedzialność zwalał na barki niedoświadczonej i niewinnej ofiary.

Z kolei Richard Elliott jako rzecznik firmy dyskretnie przekazywał prasie informacje o transakcjach na wielką skalę, co samo w sobie wywołało napływ masy drobnych inwestorów i zapewniło stabilny kurs akcji.

W Harvard Business School uczą człowieka, że dobry dyrektor to zdrowy dyrektor. David zawsze poddawał się regularnym badaniom lekarskim. Lubił słuchać, że jest w dobrej formie, że powinien tylko bardziej unikać stresów. Pani Rentoul, jego sekretarka, zamówiła mu wizytę u lekarza z Harley Street.

Nikt nie mógł wątpić, że doktor Robin Oakley jest człowiekiem sukcesu. Wysoki, przystojny, miał trzydzieści siedem lat, niezwykle bujną czuprynę i klasyczne, wyraziste rysy twarzy. Cechowała go pewność siebie, którą rodzi świadomość sukcesu. Wciąż jeszcze dwa razy w tygodniu grał w squasha, dzięki czemu wyglądał o wiele młodziej od swoich rówieśników. Utrzymywał się w dobrej formie od czasu studiów w Cambridge, skąd wyniósł odznakę sportową Rugby Blue i dyplom z celującą oceną drugiej klasy[1]. Wiedzę lekarską doskonalił w Szpitalu Świętego Tomasza; i znów raczej jego gra w rugby niż umiejętności medyczne zyskały mu przyjaźń tych, którzy decydują o karierze zawodowej młodych ludzi. Po otrzymaniu uprawnień lekarskich został asystentem wziętego doktora Eugene'a Moffata przyjmującego przy słynnej Harley Street. Doktor Moffat przejawiał talent nie tyle w leczeniu chorych, ile w czarowaniu bogatych, zwłaszcza zaś pań w średnim wieku, które wracały do niego jak bumerang, mimo że na dobrą sprawę nic im nie dolegało. Przy pięćdziesięciu gwineach za wizytę nie sposób nie uważać tego za sukces.

Moffat wybrał Robina Oakleya ze względu na dokładnie te same przymioty, dzięki którym sam był ceniony. Bez wątpienia Robin był przystojny, starannie wykształcony – i dostatecznie bystry. Idealnie

przystosował się do Harley Street i stylu Moffata i gdy starszy pan nagle zmarł tuż po sześćdziesiątce, Robin zajął jego miejsce z naturalną gracją następcy tronu. Robin powiększał swoją praktykę, nie tracąc żadnej z pacjentek doktora Moffata, chyba że z interwencji sił wyższych. Powodziło mu się doskonale. Był żonaty, miał dwóch synów, mieszkał w komfortowym wiejskim domu pod Newbury w Berkshire, a spore oszczędności bezpiecznie ulokował w papierach wartościowych. Nigdy nie narzekał na los, z życia był zadowolony, lecz musiał przyznać, że trochę go to wszystko nudziło. Rola dobrotliwego, pełnego współczucia doktora zaczynała mu nieznośnie ciążyć. Czy świat by się skończył, gdyby przyznał, że nie wie i nie dba o to, dlaczego ozdobione brylantami ręce lady Fiony Fisher pokryły się maleńkimi plamkami? Czy zrobiłaby się dziura w niebie, gdyby oznajmił tej strasznej Page-Stanley, że jest cuchnącą starą babą, której z punktu widzenia lekarskiego nic nie brakuje poza garniturem sztucznych zębów? A może skreślono by go z rejestru lekarzy, gdyby tak osobiście zaaplikował tej mizdrzącej się Lydii de Villiers zdrową dawkę tego, do czego wyraźnie go prowokowała?

David Kesler przybył punktualnie, ostrzeżony przez panią Rentoul, że w Anglii lekarze i dentyści nie przyjmują pacjenta, jeśli ten się spóźni, ale i tak pobierają honorarium.

Rozebrał się i położył na kanapce. Doktor zmierzył mu ciśnienie, zbadał serce, kazał pokazać język, organ źle znoszący widok publiczny. Podczas gdy Robin Oakley opukiwał i osłuchiwał Davida, gawędzili.

– Dlaczego przyjechał pan pracować w Londynie, panie Kesler?

– Dostałem pracę w towarzystwie naftowym w City. Może pan słyszał, Prospecta Oil?

– Nie – odparł Robin. – Chyba nie. Proszę zgiąć nogi. – Mocno stuknął młoteczkiem w jedno i drugie kolano. David dziko wierzgnął nogami.

– Odruch prawidłowy.

– Usłyszy pan jeszcze, doktorze, usłyszy. Szczęście się do nas uśmiechnęło. Przeczyta pan w gazetach.

– A to dlaczego? – spytał Robin z uśmiechem. – Może odkryliście naftę?

– Tak – powiedział spokojnie David, rad z wywołanego wrażenia. – Proszę sobie wyobrazić, że nam się udało.

Przez parę sekund Robin ugniatał brzuch Davida.

– Silna ściana mięśniowa, brak tłuszczu, żadnych oznak powiększenia wątroby. Młody człowieku, jest pan w dobrej formie fizycznej.

Robin zostawił Davida w gabinecie lekarskim, aby się ubrał, a sam starannie napisał krótką notatkę o jego stanie zdrowia do swej kartoteki. Myślami jednak był przy poważniejszych sprawach – odkryciu ropy.

Doktorzy z Harley Street mają wprawdzie zwyczaj trzymać pacjenta trzy kwadranse w poczekalni ogrzewanej piecykiem gazowym i zaopatrzonej w jeden jedyny egzemplarz starego „Puncha”, ale gdy już poproszą go do środka, poświęcają mu wiele czasu. Robin także nie miał zamiaru ponaglać Keslera.

– Właściwie nic panu nie dolega. Tylko lekka anemia spowodowana, jak podejrzewam, przepracowaniem i gonitwą ostatnich dni. Zapiszę panu tabletki z żelazem, które prędko zlikwidują problem. Proszę przyjmować dwie dziennie, rano i wieczorem. – Tu nabazgrał coś nieczytelnie na recepcie i wręczył ją Davidowi.

– Bardzo dziękuję. To uprzejmie z pańskiej strony, że poświęcił mi pan tyle czasu.

– Drobnostka. Jak podoba się panu Londyn? Zupełnie tu inaczej niż w Ameryce, prawda?

– O tak, tempo życia o wiele wolniejsze. Kiedy już się nauczę, ile czasu wymaga tu załatwienie czegokolwiek, będę w połowie drogi do sukcesu.

– Czy ma pan w Londynie dużo przyjaciół?

– Nie – odparł David. – Paru moich kumpli z Harvardu jest teraz w Oksfordzie, ale w Londynie nie znam prawie nikogo.

To dobrze, pomyślał Robin, mam zatem okazję dowiedzieć się czegoś więcej o naftowej grze i spędzić trochę czasu z facetem, przy którym większość moich pacjentów wygląda, jakby nie jedną, ale obiema nogami stali w grobie. Może nawet otrząsnę się z odrętwienia.

– Czy zechciałby pan zjeść ze mną lunch w końcu tygodnia? – spytał. – Pewno miałby pan ochotę zobaczyć jeden ze starych londyńskich klubów?

– Byłoby mi bardzo miło.

– Doskonale. Czy piątek panu odpowiada?

– Tak, oczywiście.

– No to powiedzmy o pierwszej w klubie Athenaeum na Pall Mall.

David powrócił do biura w City, po drodze kupił tabletki. Od razu połknął jedną. Zaczynało mu się podobać w Londynie. Silverman był chyba z niego zadowolony, Prospecta Oil miewała się dobrze, a on już zaczął spotykać interesujących ludzi. Tak, czuł, że to będzie bardzo szczęśliwy okres w jego życiu.

W piątek o dwunastej czterdzieści pięć David stał przed klubem Athenaeum, mieszczącym się w okazałym białym budynku na rogu Pall Mall, ponad którą górował pomnik księcia Yorku. David zdumiewał się ogromem sal klubowych, a jego handlowy umysł nie mógł nie kalkulować, ile też można by wziąć forsy, gdyby wynająć klub kilku firmom na biura. Snuło się tu pełno postaci przywodzących na myśl ożywione eksponaty z

gabinetu figur woskowych – byli to, jak później Robin go uświadomił, szacowni generałowie i dyplomaci.

Do obiadu zasiedli w sali, nad którą dominował portret Karola II pędzla Rubensa. Rozmawiali o Bostonie, Londynie, grze w squasha i Katharine Hepburn, którą obaj uwielbiali. Przy kawie David chętnie poinformował Robina o ustaleniach geologa na temat złóż eksplorowanych przez Prospecta Oil. Notowania firmy na londyńskiej giełdzie papierów wartościowych osiągnęły już poziom 3,60 funta i nadal szły w górę.

– To może być dobry interes – powiedział Robin – i chyba warto zaryzykować, zwłaszcza że to pańska firma.

– Nie sądzę, żeby było jakieś ryzyko, póki jest tam ropa naftowa – zauważył David.

– Cóż, podczas weekendu przemyślę gruntownie tę sprawę.

Rozstali się na schodach Athenaeum; David spieszył się na konferencję o kryzysie energetycznym, zorganizowaną przez „Financial Times”, Robin do domu w Berkshire. Jego dwaj mali synowie przyjechali ze szkoły przygotowawczej na weekend i pragnął jak najszybciej ich zobaczyć. Jak prędko wyrośli z niemowląt na słodkie pędraki, a potem na chłopaczków – niedługo już będą z nich młodzi mężczyźni. Jak błogo wiedzieć, że mają bezpieczną przyszłość. Może powinien się postarać, aby była jeszcze odrobinę bezpieczniejsza, i zainwestować w akcje towarzystwa Keslera. Zawsze zdąży wycofać pieniądze po ogłoszeniu komunikatu i ulokować jak poprzednio.

Bernie Silverman również się ucieszył na wieść o ewentualnej następnej transakcji.

– Gratuluję, chłopcze. Trzeba nam wielkich kapitałów na budowę rurociągu. Koszt ułożenia jednej mili rur może sięgnąć dwóch milionów

dolarów. Ale ty spisujesz się dobrze. Dowiedziałem się właśnie w dyrekcji, że dostaniesz pięć tysięcy dolarów premii. Tylko tak dalej.

David uśmiechnął się. To był biznes z prawdziwego zdarzenia, tak jak go uczono w Harvardzie. Starasz się – jesteś nagradzany.

– Kiedy ukaże się komunikat? – zapytał.

– W najbliższych dniach.

David wyszedł od Silvermana, promieniejąc dumą.

Silverman natychmiast podniósł słuchawkę czerwonego telefonu. Metcalfe uruchomił zwykłą procedurę. Maklerzy Harveya rzucili na rynek 35 000 akcji po 3,73 funta, ponadto codziennie kierowali do wolnego obrotu przeciętnie 5000 akcji, kontrolując nieustannie, czy rynek się nie nasycił, i utrzymując stabilny kurs. Kiedy doktor Oakley zakupił duży pakiet akcji, notowania znów wzrosły, tym razem do 3,90 funta, co uszczęśliwiło wszystkich trzech – Davida, Robina i Stephena. Nie mogli wiedzieć, że Harvey codziennie rzuca do obrotu nowe akcje, korzystając z zainteresowania, jakie wywołali, i że rynek samoczynnie się nakręca.

David postanowił, że za część premii kupi obraz, aby ożywić małe mieszkanko w Barbican, które robiło dość ponure wrażenie. Coś w granicach dwóch tysięcy dolarów, myślał, coś, co by szło w cenę. Wprawdzie David lubił sztukę dla samej sztuki, lecz jeszcze wyżej cenił jej walory handlowe. Piątkowe popołudnie spędził, wędrując po Bond Street, Cork Street i Bruton Street, gdzie mieściły się londyńskie galerie sztuki. Wildenstein był za drogi na jego kieszeń, Malborough zbyt współczesny jak na jego gust. W końcu znalazł coś dla siebie u Lamannsa przy Bond Street.

Galeria ta, w trzecim budynku za domem aukcyjnym Sotheby, zajmowała jedno rozległe pomieszczenie. Podłogę okrywał podniszczony szary dywan, ściany oklejone były wypłowiałymi czerwonymi tapetami. David dowiedział się później, że im bardziej sfatygowany dywan i

spłowiałe tapety, tym większe powodzenie i renoma galerii. W drugim końcu sali, przy balustradzie schodów, piętrzyły się odwrócone tyłem zapomniane obrazy. Dla kaprysu David zaczął je przeglądać i ku swojej radości znalazł coś, co mu się spodobało.

Był to obraz olejny Leona Underwooda Wenus w parku. Duże, raczej mroczne płótno przedstawiało grupę sześciorga mężczyzn i kobiet siedzących na metalowych krzesłach przy okrągłych stolikach. Na pierwszym planie namalowana była urodziwa naga kobieta o bujnych piersiach i długich włosach. Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Siedziała, wpatrując się w przestrzeń, z nieodgadnioną twarzą, symbolem ciepła i miłości w obojętnym otoczeniu. Dla Davida miała nieodparty urok.

Podszedł do niego właściciel galerii Jean-Pierre Lamanns. Ubrany był w garnitur o wytwornym kroju, jak przystało na człowieka, któremu rzadko wręcza się czeki na mniej niż tysiąc funtów. Miał trzydzieści pięć lat i mógł już sobie pozwolić na odrobinę ekstrawagancji, a buty od Gucciego, krawat od Yves St Laurenta, koszula firmy Turnbull i Asser tudzież zegarek marki Piaget nie pozwalały nikomu, a zwłaszcza kobietom, wątpić, iż jest człowiekiem, który wie, czego chce. Dla Anglików był uosobieniem Francuza; szczupły, szykowny, z długimi, ciemnymi, falującymi włosami i głęboko osadzonymi brązowymi oczami o nieco ostrym spojrzeniu. Potrafił być wybredny i wymagający, i równie zjadliwy jak figlarny, co mogło w pewnym stopniu tłumaczyć, dlaczego się nie ożenił. Kandydatek na pewno nie brakowało. Klienci jednak dostrzegali tylko jego urok. David właśnie wypisywał czek, a Jean-Pierre muskał swój modny wąsik, zachwycony, że może porozmawiać na temat obrazu.

– Underwood to jeden z największych rzeźbiarzy i artystów dzisiejszej Anglii. Wie pan, nawet Henry Moore pracował pod jego kierunkiem. Sądzę,

że jest niedoceniany wskutek niechęci prasy i dziennikarzy, których nazywa zapijaczonymi pismakami.

– Trudno pozyskać w ten sposób sympatię – mruknął David, wręczając Jean-Pierre'owi czek na 850 funtów z samopoczuciem człowieka dobrze sytuowanego. Wprawdzie był to najdroższy, jak dotychczas, jego zakup, ale uważał, że obraz jest dobrą lokatą i, co ważniejsze, podobał mu się.

Jean-Pierre zaprowadził go na dół, żeby mu pokazać kolekcję impresjonistów i malarstwa współczesnego, którą gromadził przez wiele lat, i nadal mówił z zachwytem o Underwoodzie. Uczcili pierwszy nabytek Davida, popijając whisky w biurze Jean-Pierre'a.

– W jakiej branży pan pracuje?

– Jestem zatrudniony w niewielkim towarzystwie naftowym o nazwie Prospecta Oil, prowadzącym poszukiwania na Morzu Północnym.

– Są już jakieś sukcesy? – zapytał Jean-Pierre podejrzanie niewinnym tonem.

– No cóż, między nami mówiąc, przyszłość przedstawia się raczej ekscytująco. Nie jest tajemnicą, że kurs akcji Prospecta Oil wzrósł z dwóch do prawie czterech funtów w ciągu ostatnich tygodni, nikt jednak nie zna prawdziwej przyczyny.

– Czy dla małego, biednego marszanda jak ja mogłaby to być korzystna okazja?

– Powiem panu, na ile według mnie korzystna – odparł David. – W poniedziałek kupię akcji za trzy tysiące dolarów, a jest to wszystko, co mi pozostało, to znaczy, po nabyciu *Wenus*. Wkrótce ogłosimy ważny komunikat.

W oczach Jean-Pierre'a zamigotały iskierki. Przy swej galijskiej bystrości pojął wszystko w lot. Tematu nie podtrzymywał.

– Co z komunikatem, Bernie?

– Przypuszczam, że zostanie ogłoszony na początku przyszłego tygodnia. Są pewne problemy. Ale nic poważnego.

David odetchnął z ulgą, tego ranka bowiem sam nabył pięćset akcji. Tak jak inni, liczył na szybki zysk.

– Rowe Rudd, słucham.

– Proszę z Frankiem Wattsem. Mówi Jean-Pierre Lamanns.

– Dzień dobry, Jean-Pierre. Co mógłbym dla ciebie zrobić?

– Chcę kupić dwadzieścia pięć tysięcy akcji Prospecta Oil.

– Pierwsze słyszę. Poczekaj chwilę... Nowa firma, bardzo mały kapitał. Trochę ryzykowne. Nie radzę.

– W porządku, Frank. To tylko na dwa, trzy tygodnie, potem możesz akcje sprzedać. Nie mam zamiaru ich zatrzymać. Kiedy otwarto nowy rachunek[2]?

– Wczoraj.

– Doskonale. Kup dziś rano i sprzedaj przed dniem rozrachunkowym lub wcześniej. Spodziewam się komunikatu w przyszłym tygodniu. Jak tylko kurs wzrośnie powyżej pięciu funtów, opchnij wszystko. Nie bądźmy zbyt zachłanni, ale dokonaj zakupu na firmę, nie na moje nazwisko, nie chciałbym wprawiać w zakłopotanie osoby, która dała mi cynk.

– Tak jest, szefie. Kupić dwadzieścia pięć tysięcy akcji Prospecta Oil po cenie rynkowej i sprzedać przed likwidacją rachunku lub wcześniej, zależnie od polecenia.

– Zgadza się. Cały przyszły tydzień spędzę w Paryżu na oglądaniu obrazów, nie wahaj się więc i sprzedawaj, gdy tylko kurs przekroczy pięć funtów.

– Dobrze, Jean-Pierre. Życzę udanej podróży.

Zadzwonił czerwony telefon.

– Rowe Rudd chce nabyć duży pakiet akcji. Czy coś o tym wiesz?

– Nie mam pojęcia, Harvey. Pewnie znów David Kesler maczał w tym palce. Pogadać z nim?

– Nie, nic mu nie mów. Rzuciłem na rynek dwadzieścia pięć tysięcy akcji po trzy dziewięćdziesiąt. Jak Kesler złowi jeszcze jedną grubą rybę, zamykam sklepik. Przygotuj plan na siedem dni przed końcem okresu rozliczeniowego.

– Tak jest, szefie. Czy wiesz, że napłynęło też sporo drobnych płotek?

– Jak przedtem. Tamci rozpowiedzieli znajomym, że to dobry interes. Pamiętaj, nic nie mów Keslerowi.

– Słuchaj, David – odezwał się Richard Elliott – za dużo pracujesz. I tak czeka nas harówka po ogłoszeniu komunikatu.

– Przypuszczam. Ale praca to ostatnio moja specjalność.

– Może byś urwał się dziś wieczorem i skoczył ze mną na jednego do Annabel?

David poczuł się pochlebiony zaproszeniem do najekskluzywniejszego nocnego klubu w Londynie i zgodził się z entuzjazmem.

Wynajęty przez Davida ford cortina wyglądał tego wieczoru trochę nie na miejscu wśród stojących w podwójnych rzędach na Berkeley Square rolls-royce'ów i mercedesów. Po żelaznych schodkach David zszedł do podziemia, gdzie kiedyś z pewnością mieszkała służba zatrudniona w owej wytwornej miejskiej rezydencji. Teraz znajdował się tu znakomity klub z restauracją, dyskoteką i małym eleganckim barem; na ścianach wisiały stare sztychy i obrazy. Główna sala jadalna miała przyćmione światła i zatłoczona była małymi stolikami, w większości zajętymi. Wnętrze urządzono w stylu regencji, wykwintnie. Właściciel, Mark Birley, w ciągu

zaledwie dziesięciu lat uczynił z tego miejsca najatrakcyjniejszy klub Londynu; ponad tysiąc osób czekało w kolejce na przyjęcie. Muzyka płynęła z drugiej strony zatłoczonego parkietu, na którym nie zmieściłyby się nawet dwa cadillaki. Prawie wszyscy tańczyli przytuleni – nie mieli innego wyboru. David trochę się dziwił, że większość mężczyzn na parkiecie jest przeciętnie o dwadzieścia lat starsza od kobiet, które trzymają w ramionach. Louis, starszy kelner, zaprowadził Davida do stolika Elliotta. Zorientował się, że David jest tu pierwszy raz, gdyż nie mógł oderwać wzroku od obecnych tu znakomitości. Może przyjdzie czas, pocieszył się David, że oni będą gapić się na mnie.

Po wyjątkowo dobrej kolacji Richard Elliott z żoną wmieszali się w tłum na parkiecie, a David zawędrował do małego barku, wokół którego stały wygodne czerwone sofy, i nawiązał rozmowę z facetem, który przedstawił się jako James Brigsley. Może nie cały świat, lecz na pewno Annabel pan Brigsley traktował jak swoją scenę. Wysoki, jasnowłosy, arystokratyczny, o błyszczących wesoło oczach, zdawał się być za pan brat ze wszystkimi dookoła. David podziwiał jego swobodny sposób bycia, umiejętność, której sam do tej pory nie nabył, i obawiał się, że już nigdy nie nabędzie. Brigsley mówił z akcentem, który nawet dla niewyrobionego ucha Davida brzmiał typowo dla wyższych sfer.

Nowy znajomy opowiadał Davidowi o swych wizytach w Stanach Zjednoczonych i o tym, że zawsze lubił Amerykanów. Niebawem David znalazł okazję, by dyskretnie spytać starszego kelnera, kim jest ten Anglik.

– To lord Brigsley, najstarszy syn earla Louth, proszę pana.

Coś podobnego, pomyślał David, lordowie wyglądają jak zwykli śmiertelnicy, zwłaszcza po kilku drinkach. Lord Brigsley stuknął palcem w jego szklaneczkę.

– Napije się pan jeszcze?

– Dziękuję bardzo, lordzie Brigsley.

– Daj spokój z tymi bzdurami. Na imię mi James. Co robisz w Londynie?

– Pracuję w towarzystwie naftowym. Pewnie znasz prezesa naszej firmy, lorda Hunnisetta. Nigdy nie widziałem go na oczy, prawdę mówiąc.

– Uroczy stary piernik – powiedział James. – Byłem z jego synem w Harrow. Skoro pracujesz w nafcie, to może byś mi poradził, co robić z akcjami Shella i British Petroleum.

– Nie pozbywać się – odparł David. – Rozsądnie jest trzymać się surowców, zwłaszcza ropy naftowej. Przynajmniej dopóki rząd brytyjski nie zrobi się zachłanny i nie zechce sam przejąć nad nimi kontroli.

Podano następną podwójną whisky. David był już lekko wstawiony.

– Powiedz coś o swoim towarzystwie – zagadnął James.

– Jest niewielkie – powiedział David – lecz jego akcje w ciągu ostatnich trzech miesięcy poszły wyżej w górę niż akcje wszystkich innych towarzystw naftowych. Ale i tak przypuszczam, że daleko im jeszcze do poziomu, jaki mogą osiągnąć.

– Dlaczego? – chciał wiedzieć James.

David rozejrzał się dokoła i ściszył głos do konfdencjonalnego szeptu.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, że jeśli wielkie przedsiębiorstwo znajdzie ropę, to procentowo jego zyski zwiększą się minimalnie, jeśli jednak przytraf się to małej firmie, jest oczywiste, że zysk będzie stanowił o wiele wyższy procent całości.

– Czy chcesz powiedzieć, że znaleźliście ropę?

– Może nie powinienem tego mówić – powiedział David. – Byłbym zobowiązany, gdybyś zachował tę wiadomość dla siebie.

David nie pamiętał, w jaki sposób dostał się do domu i kto położył go do łóżka. Następnego ranka spóźnił się do pracy.

– Przepraszam, Bernie. Zaspałem po bardzo udanym wieczorze z Richardem w Annabel.

– Nic nie szkodzi. Cieszę się, że się zabawiłeś.

– Mam nadzieję, że nie popełniłem niedyskrecji, ale poradziłem jakiemuś lordowi, nie pamiętam nawet nazwiska, żeby kupił akcje Prospecta Oil. Może byłem trochę zbyt entuzjastyczny.

– Nie przejmuj się, David, nie zamierzamy nikogo zawieść, a tobie potrzebny jest odpoczynek. Harujesz jak dziki osioł.

James Brigsley wyszedł ze swego londyńskiego mieszkania w Chelsea i pojechał taksówką do banku Williams i Glyn. James był z natury ekstrawertykiem, a jego jedyną miłością jeszcze w Harrow była scena. Gdy jednak ukończył szkołę, ojciec nie pozwolił mu zostać aktorem i nalegał, aby kształcił się w Christ Church w Oksfordzie. Tutaj powtórzyła się ta sama historia: chłopaka bardziej interesowało kółko dramatyczne niż studia na kierunku polityczno-filozoficzno-ekonomicznym, które sobie wybrał. James nigdy nie zwierzał się nikomu, że zdołał ukończyć uniwersytet ze słabą trójczyną, zresztą – na dobre czy złe – zniesiono później dyplomy „Honours”[3] czwartej klasy. Po studiach James wstąpił do pułku grenadierów gwardii, gdzie jego talenty komedianckie znalazły szerokie pole do popisu. Chodziło w istocie o wprowadzenie Jamesa w kręgi towarzyskie Londynu, co nie mogło się nie powieść przystojnemu, młodemu i bogatemu synowi hrabiego.

Po ukończeniu dwuletniej służby dostał od ojca 250-akrowe gospodarstwo rolne w Hampshire, aby czymś się zajął, ale Jamesa odstręczała wiejska pospolitość. Zostawił gospodarstwo pod opieką

administratora i rzucił się w wir życia towarzyskiego w Londynie. Nade wszystko pragnął zostać aktorem, lecz wiedział, że starszy pan wciąż uważa, iż kariera histriona nie przystoi przyszłemu parowi Anglii. Tak czy owak, piąty earl nie miał zbyt wysokiego mniemania o najstarszym synu, a James nie potrafił dowieść ojcu, że jest bystrzejszy, niż się sądzi. Może dzięki wiadomości, która wymknęła się po kilku kieliszkach Davidowi Keslerowi, uda mu się zmienić opinię ojca.

James znalazł się w okazałym, starym budynku przy Birchin Lane, siedzibie banku, i został wprowadzony do gabinetu dyrektora.

– Chciałbym zaciągnąć pożyczkę na hipotekę mojej farmy w Hampshire – oznajmił lord Brigsley.

Dyrektor Philip Izard dobrze znał zarówno lorda Brigsleya, jak i jego ojca. Cenił starszego pana za jego mądrość, ale młodego lorda nie darzył zbytnią estymą. Jednak zgłaszanie obiekcji wobec żądania klienta byłoby niewłaściwe, zwłaszcza że rodzina ta od dawna związana była z jego bankiem.

– Tak, milordzie. A o jaką kwotę chodzi?

– Hm, zdaje się, że grunty rolne w Hampshire mają wartość około tysiąca funtów za akr i wciąż drożeją. Powiedzmy sto pięćdziesiąt tysięcy funtów? Chciałbym te pieniądze ulokować w akcjach.

– Czy wasza lordowska mość zechciałaby zostawić nam akt własności jako zabezpieczenie?

– Oczywiście, przecież to wszystko jedno, gdzie leży.

– A więc jestem pewny, że bank wyrazi zgodę na udzielenie panu pożyczki w wysokości 150 000 funtów na dwa procent powyżej bazowej stopy procentowej.

James wcale nie był pewien, co to takiego, ale wiedział, że warunki oferowane przez bank Williams i Glyn są równie konkurencyjne jak gdzie

indziej i że bank ma nieposzlakowaną opinię.

– Dziękuję panu – powiedział. – Zechce pan nabyć dla mnie trzydzieści pięć tysięcy akcji towarzystwa Prospecta Oil.

– Czy lord zebrał o nich dokładne informacje?

– Oczywiście – uciął lord Brigsley. Nie będzie słuchał pouczeń jakiegoś dyrektora banku.

W Bostonie Harvey Metcalfe został telefonicznie poinformowany przez Silvermana o spotkaniu w Annabel między Davidem a niezidentyfikowanym młodym lordem, który zdawał się mieć więcej pieniędzy niż rozumu. Harvey rzucił na rynek 40 000 akcji po 4,80 funta. Bank nabył dla Jamesa 35 000, a resztę jak poprzednio rozkupili drobni akcjonariusze. Notowania trochę wzrosły. Harveyowi zostało tylko 30 000 akcji. Przez następne cztery dni udało mu się sprzedać wszystko, co do jednej. Wyzbycie się całego portfela z zyskiem nieco powyżej sześciu milionów dolarów zajęło mu czternaście tygodni.

W piątek rano akcje stały po 4,90 funta; Kesler w dobrej wierze zainicjował cztery transakcje na wielką skalę: Harvey Metcalfe przestudiował je dokładnie przed połączeniem się z Jörgiem Birrerem.

Stephen Bradley kupił 40 000 akcji po 6,10 dolara.

Doktor Robin Oakley kupił 35 000 akcji po 7,25 dolara.

Jean-Pierre Lamanns kupił 25 000 akcji po 7,80 dolara.

James Brigsley kupił 35 000 akcji po 8,80 dolara,

a David Kesler nabył 500 akcji po 7,25 dolara.

Razem kupili 135 500 akcji za łączną kwotę nieco powyżej miliona dolarów. Utrzymali tendencję zwyżkową, umożliwiając Harveyowi upłynnienie całego zapasu na rynku, który powstał samoczynnie.

Harveyowi Metcalfe'owi znowu wyszedł ten numer. Jego nazwisko nie figurowało w dokumentach firmy, a teraz nie miał już ani jednej akcji. Nikt nie potrafi mu niczego udowodnić. Nie naruszył prawa i nawet raport geologa zawierał tyle „gdyby" i „ale”, że żaden sąd nie mógłby się przyczepić. A co do Davida Keslera, to przecież Harveya nie można winić za jego młodzieńczą skłonność do przesady. Nawet nie widział go na oczy. Harvey Metcalfe otworzył butelkę szampana Krug Privée Cuvée ze zbiorów 1964 roku, sprowadzonego z firmy londyńskiej Hedges i Butler. Popijał małymi łykami, następnie zapalił cygaro. Rozsiadł się wygodnie, popadł w błogostan.

W błogich nastrojach byli tego weekendu również David, Stephen, Robin, Jean-Pierre i James. Dlaczego nie? Akcje stały po 4,90 funta, a David zapewnił wszystkich, że dojdą do dziesięciu. W sobotę rano David zamówił w Aquascutum pierwszy w życiu garnitur na miarę. Stephen z roztargnieniem przeglądał testy egzaminacyjne na po feriach dla studentów pierwszego roku. Robin pojechał obejrzeć szkolne zawody sportowe. Jean-Pierre oprawił w nową ramę obraz Picassa. James Brigsley wyruszył na polowanie, przekonany, że zarobił punkt w rozgrywce z ojcem.

---

[1] Odpowiednik naszej czwórki z plusem (przyp. tłum.).

---

[2] Podstawową formę obrotu papierami wartościowymi na giełdzie w Londynie stanowią transakcje z odroczonym terminem realizacji, tzw. *system account* (przyp. tłum.).

[3] Uniwersytet nadaje dwa rodzaje dyplomów: typu „Honours”, po stawiających studentowi wyższe wymagania studiach o charakterze specjalistycznym w określonych przedmiotach, oraz typu „Pass”, po mniej intensywnych, wieloprzedmiotowych studiach o charakterze ogólniejszym (przyp. tłum.).

III

W poniedziałek o dziewiątej rano David przyszedł do pracy i zastał drzwi zamknięte. Nie rozumiał dlaczego. Sekretarki powinny być najpóźniej kwadrans przed dziewiątą.

Czekał ponad godzinę, wreszcie poszedł do najbliższej budki telefonicznej i wykręcił numer domowy Silvermana. Nikt nie odpowiadał. Zatelefonował do Richarda Elliotta: cisza. Zadzwonił do filii w Aberdeen – to samo. Postanowił wrócić do biura. Musi być jakieś proste wyjaśnienie, pomyślał. Czy śni na jawie? A może to niedziela? Ale nie – ulice pełne były ludzi i samochodów.

Kiedy zbliżał się do biura, ujrzał młodego człowieka przybijającego tablicę z napisem: „Lokal 2500 stóp kwadratowych do wynajęcia. Zgłoszenia: Conrad Ritblat”.

– Co pan wyprawia? – zdumiał się.

– Poprzedni lokatorzy wymówili i wynieśli się. Szukamy nowych. Chce pan obejrzeć lokal?

– Nie – odparł David, wycofując się w panice. – Nie, dziękuję.

Puścił się pędem, na czoło wystąpiły mu krople potu. Modlił się w duchu, żeby budka telefoniczna nie była zajęta. Błyskawicznie przerzucił książkę telefoniczną – tom z literami od L do R – i znalazł numer sekretarki Silvermana, Judith Lampson. Tym razem miał więcej szczęścia.

– Na Boga, Judith, co się dzieje?

Po jego głosie mogła poznać, jak bardzo jest roztrzęsiony.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Dostałam w piątek wieczorem wymówienie i wypłatę za miesiąc z góry bez słowa wyjaśnienia.

David upuścił słuchawkę. Powoli zaczynało mu świtać w głowie, choć nadal chciał wierzyć, że wszystko się w prosty sposób wyjaśni. Do kogo się zwrócić? Co robić?

Otępiały powlókł się do domu. Pod jego nieobecność doręczono poranną pocztę i wraz z nią list w sprawie mieszkania.

Korporacja miasta Londynu
Administracja Osiedla Barbican
Londyn EC2
tel. 01-628-4341

Szanowny Panie,

Z żalem dowiedzieliśmy się, że wyprowadza się Pan z końcem miesiąca. Pragniemy przy okazji podziękować za opłacenie czynszu z góry.

Bylibyśmy zobowiązani, gdyby zechciał Pan przy najbliższej sposobności zostawić klucze w naszym biurze.

Z poważaniem
C. J. Caselton
Administrator

David znieruchomiał na środku pokoju, spoglądając z nagłą odrazą na obraz Underwooda.

Wreszcie, pełen najgorszych przeczuć, wykręcił numer swojego maklera.

– Jak stoją dzisiaj akcje Prospecta Oil?

– Kurs spadł do trzech osiemdziesiąt – brzmiała odpowiedź.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia, ale spróbuję się dowiedzieć i zadzwonię do pana.

– Proszę natychmiast wystawić na sprzedaż moje pięćset akcji.

– Tak jest, pięćset akcji Prospecta Oil po cenie rynkowej.

David odłożył słuchawkę. Za kilka minut zadzwonił telefon.

Odezwał się makler.

– Udało się sprzedać zaledwie po trzy pięćdziesiąt, czyli dokładnie tyle, ile pan płacił.

– Czy mógłby pan przekazać tę kwotę na moje konto w filii Loyda na Moorgate?

– Oczywiście, proszę pana.

David nie ruszał się z mieszkania do końca dnia i przez całą noc. Leżał na łóżku, paląc papierosa za papierosem i rozmyślając, co powinien uczynić. Od czasu do czasu wyglądał przez małe okno na moknące w deszczu City, siedzibę banków, towarzystw ubezpieczeniowych, domów maklerskich i towarzystw akcyjnych – jego świat, ale na jak długo? Rano, natychmiast po otwarciu giełdy, zadzwonił do maklera, licząc na nowe informacje.

– Ma pan może jakieś nowiny o Prospecta Oil? – Jego głos był napięty i znużony.

– Nowiny są złe, proszę pana. Nastąpiła masowa wyprzedaż akcji. Zaraz na początku kurs spadł do 2,80 funta.

– Dlaczego? Co się, u diabła, dzieje? – Z każdym słowem coraz bardziej podnosił głos.

– Nie mam zielonego pojęcia, proszę pana – powiedział w słuchawce obojętny głos, pewny swego jednego procentu niezależnie od zwyżki czy zniżki.

David odłożył słuchawkę. Tak, a więc wszystkie te lata w Harvardzie miały za jednym podmuchem ulecieć na wiatr. Minęła godzina, lecz nie zauważył tego.

Zjadł obiad w podrzędnej restauracji i przeczytał w londyńskiej „Evening Standard” przygnębiający artykuł pióra Davida Malberta, redaktora działu finansowego, zatytułowany *Zagadka Prospecta Oil*. Do czwartej po południu, godziny zamknięcia giełdy, kurs spadł do 1,60 funta.

Spędził kolejną bezsenną noc. Z goryczą i upokorzeniem rozpamiętywał, jak łatwo za cenę dwumiesięcznej dobrej pensji, rychłej premii i wielu gładkich słówek kupiono jego niezachwianą wiarę w przedsięwzięcie, które od początku powinno było wzbudzić podejrzenia. Dostawał mdłości na wspomnienie poufnych napomknień, jakie szeptał w chętnie nadstawiane uszy.

W środę rano, bojąc się tego, co niechybnie usłyszy, zatelefonował jeszcze raz do maklera. Akcje spadły do jednego funta i nikt już ich kupować nie chciał. David wyszedł z domu, udał się do banku, zlikwidował swój rachunek i podjął pozostałe 1345 funtów. Kasjerka, która podała mu banknoty, uśmiechnęła się do niego i pomyślała, że ten młody człowiek urodził się pod szczęśliwą gwiazdą.

David przejrzał ostatnie wydanie „Evening Standard” (to oznaczone symbolem „7^{RR}” w górnym prawym rogu). Akcje Prospecta Oil spadły znowu, tym razem do 25 pensów. Odrętwiały poszedł do domu. Na schodach spotkał gospodynię.

– Policja pytała o pana, młody człowieku – powiedziała aroganckim tonem.

David wchodził na górę, udając beztroskę.

– Dziękuję, pani Pearson. Pewnie chodzi znowu o mandat za parkowanie, który zapomniałem zapłacić.

Wpadł w dziki popłoch. Nigdy w życiu nie czuł się tak upokorzony, osamotniony i zaszczuty. Spakował cały swój dobytek do walizki, pozostawiając obraz na ścianie, i zarezerwował bilet do Nowego Jorku. Bez powrotnego.

IV

Tego ranka, kiedy David opuszczał Londyn, w Instytucie Matematyki w Oksfordzie Stephen Bradley wygłaszał dla studentów trzeciego roku wykład o teorii grup. Przy śniadaniu ze zgrozą przeczytał w „Daily Telegraph” o krachu Prospecta Oil. Natychmiast zatelefonował do maklera, który usiłował zebrać dla niego pełne informacje. Próbował również dodzwonić się do Davida Keslera, ale ten jakby się zapadł pod ziemię.

Wykład nie szedł Stephenowi dobrze. Umysł miał zaprzątnięty czym innym, łagodnie mówiąc. Mógł mieć tylko nadzieję, że studenci wezmą jego stan za roztargnienie i nie poznają, iż jest pogrążony w głębokiej rozpaczy. Jedyna pociecha, że był to jego ostatni wykład w tym trymestrze zimowym, zwanym trymestrem św. Hilarego.

Co parę minut spoglądał na zegar w głębi sali; gdy wreszcie wskazał koniec zajęć, mógł wrócić do Kolegium Magdaleny. Usiadł w starym, obitym skórą fotelu i zaczął się zastanawiać, co robić. Dlaczego, do diabła, postawił wszystko na jedną kartę? Jak mógł, on, zawsze tak logicznie myślący, być tak bezdennie głupi i zachłanny? Ufał Davidowi i nadal nie bardzo mógł uwierzyć, że jego kolega miał z tym cokolwiek wspólnego. Może nie należało uważać za pewnik, że ktoś, z kim się zadawał w Harvardzie, musi być uczciwy. A może znajdzie się jakieś proste wyjaśnienie tej sytuacji. Może bez trudu odzyska wszystkie pieniądze. Zadzwonił telefon. To chyba makler z bardziej konkretnymi wiadomościami.

Dopiero chwytając słuchawkę, uświadomił sobie, że dłonie ma lepkie od potu.

– Stephen Bradley przy telefonie.

– Dzień dobry panu. Przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Clifford Smith. Jestem inspektorem policji z sekcji oszustw finansowych. Czy zechciałby pan zobaczyć się ze mną dziś po południu?

Stephen zawahał się; przemknęła mu przez głowę szalona myśl, że kupując akcje Prospecta Oil, popełnił przestępstwo.

– Oczywiście, inspektorze – odparł niepewnie. – Czy chciałby pan, żebym przyjechał do Londynu?

– Nie – odparł inspektor. – Przyjedziemy do pana. Możemy być w Oksfordzie przed czwartą, jeśli to panu odpowiada.

– Będę czekał. Do widzenia, inspektorze.

Stephen odłożył słuchawkę. Czego mogą chcieć? Nie znał angielskiego prawa i nie przypuszczał, że będzie miał do czynienia z policją. I to wszystko na sześć miesięcy przed powrotem do Harvardu i objęciem katedry. Zaczynał już wątpić, czy i to dojdzie do skutku.

Inspektor był słusznego wzrostu i wyglądał na czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt lat. Włosy siwiały mu na skroniach, ale dzięki brylantynie siwizna płynnie przechodziła w czerń. Nosił tandetny garnitur, który, jak odgadł Stephen, nie wyrażał jego gustów, lecz raczej stan kieszeni. Masywna budowa inspektora mogła nasunąć większości ludzi mylne przypuszczenie, iż jest niezbyt rozgarnięty. W rzeczywistości przed Stephenem stał człowiek, który jak mało kto w Anglii rozumiał mentalność przestępców. Wiele razy doprowadził do aresztowania malwersantów na międzynarodową skalę. Jego twarz wyrażała znużenie; całymi latami wsadzał za kratki przestępców po to, by niebawem ujrzeć ich znów na wolności, żyjących dostatnio ze swych łupów. Uważał, że przestępstwo popłaca. Wydział cierpiał na taki brak personelu, że część drobniejszych

płotek prześlizgiwała się bezkarnie; często prokuratura dochodziła do wniosku, że właściwie doprowadzenie sprawy do końca byłoby zbyt kosztowne. Kiedy indziej sekcja oszustw finansowych po prostu nie miała personelu pomocniczego, aby należycie wykończyć robotę.

Inspektorowi towarzyszył sierżant Ryder, znacznie od niego młodszy i nieco wyższy, chudy, o szczupłej twarzy. Spojrzenie dużych, brązowych oczu wydawało się bardziej naiwne przy jego ziemistej cerze. Przynajmniej był nieco lepiej ubrany niż inspektor, ale, pomyślał Stephen, zapewne jeszcze się nie ożenił.

– Przepraszam pana za najście – zaczął inspektor, usadowiwszy się wygodnie w przepastnym fotelu, w którym zwykł siadywać Stephen – ale prowadzę śledztwo w sprawie towarzystwa Prospecta Oil. Na wstępie chciałbym panu powiedzieć, że zdajemy sobie sprawę, iż nie miał pan osobiście nic wspólnego ani z kierowaniem firmą, ani też z jej upadkiem. Potrzebna jest nam jednak pańska pomoc, przy czym wolałbym zadać panu raczej szereg pytań, z których wyłonią się kwestie wymagające wyjaśnienia, niż usłyszeć pańską generalną ocenę. Uprzedzam zarazem, że nie musi odpowiadać pan na żadne pytanie, jeśli pan sobie tego nie życzy.

Stephen kiwnął głową.

– Po pierwsze, co skłoniło pana do ulokowania tak wielkiej sumy w akcjach Prospecta Oil?

Inspektor miał przed sobą listę wszystkich osób, które zakupiły akcje towarzystwa w ostatnich czterech miesiącach.

– Rada przyjaciela – odparł Stephen.

– Bez wątpienia Davida Keslera?

– Tak.

– Jak pan go poznał?

– Studiowaliśmy razem na Uniwersytecie Harvarda. Kiedy podjął pracę w towarzystwie naftowym w Anglii, zaprosiłem go do Oksfordu ze względu na pamięć dawnych dni.

Stephen opisał szczegółowo okoliczności przyjaźni z Davidem i wyjaśnił, dlaczego zaryzykował tak poważną lokatę. Zakończył pytaniem, czy inspektor podejrzewa Davida o przestępcze machinacje związane z powstaniem i upadkiem Prospecta Oil.

– Nie, proszę pana. Moim zdaniem Kesler, który notabene ulotnił się po cichu i wyniósł z Anglii, to płotka wystrychnięta na dudka przez grubsze ryby. Niemniej jednak chcielibyśmy go przesłuchać i gdyby skontaktował się z panem, proszę nas natychmiast powiadomić. A teraz – ciągnął inspektor – odczytam panu listę nazwisk i byłbym wdzięczny, gdyby pan powiedział, czy kiedykolwiek pan się spotkał, rozmawiał lub słyszał o którymś z nich... Harvey Metcalfe?

– Nie – powiedział Stephen.

– Bernie Silverman?

– Nie spotkałem go nigdy ani z nim nie rozmawiałem, ale David wymienił to nazwisko, kiedy jedliśmy kolację.

Sierżant powoli i metodycznie notował wszystko, co mówił Stephen.

– Richard Elliott?

– O nim też wspominał.

– Alvin Cooper?

– Nie słyszałem.

Dobrą godzinę inspektor wypytywał o uboczne sprawy, ale Stephen nie mógł mu dużo pomóc, mimo że zachował raport geologa.

– Tak, mamy ten dokument – rzekł inspektor – ale jest on sprytnie sformułowany. Wątpię, byśmy mogli wykorzystać go jako dowód.

Stephen westchnął i poczęstował policjantów whisky, sobie zaś nalał profesorskiej wytrawnej sherry.

– Dowód przeciwko komu albo na co, inspektorze? – zapytał, usiadłszy z powrotem na krześle. – Dla mnie jest jasne, że zostałem nabity w butelkę. Chyba nie muszę panom mówić, jakiego zrobiłem z siebie głupca. Postawiłem wszystko na Prospecta Oil, bo wyglądało, że to stuprocentowy pewniak, spłukałem się do ostatka i teraz nie mam pojęcia, co dalej. Na miły Bóg, co się właściwie stało?

– No cóż – powiedział inspektor – rozumie pan, że o pewnych aspektach tej sprawy nie mogę mówić. W gruncie rzeczy nie wszystko jeszcze jest dla nas jasne. Ale sztuczka nie jest nowa, a tym razem zmajstrował ją stary wyga, bardzo chytry stary wyga. Mniej więcej wygląda to tak: szajka zakłada lub przejmuje firmę, wykupując większość udziałów. Wymyślają jakąś chwytliwą historyjkę o odkryciu czegoś lub superprodukcie, żeby podbić notowania. Puszczają ją w obieg, powierzając „sekret” paru osobom skwapliwie nadstawiającym ucha, rzucają na rynek uprzednio wykupione akcje i pozwalają, by rozchwytane zostały przez takich jak pan po wyższej cenie. Następnie zwiewają z zarobioną forsą, a kurs akcji załamuje się, gdyż firma nie ma żadnego kapitału. Najczęściej kończy się zawieszeniem obrotu akcjami na giełdzie i ostatecznie przymusową likwidacją przedsiębiorstwa. W tym wypadku, jak na razie, do tego nie doszło i może nie dojść. Londyńska giełda jeszcze nie otrząsnęła się po krachu Caplana i wolałaby uniknąć kolejnego skandalu. Przykro mi to mówić, ale prawie nie mamy szans odzyskania pieniędzy, nawet gdybyśmy zgromadzili wystarczające dowody przeciwko oszustom. Rozproszyli łupy po całym świecie prędzej, niż pan wyrecytowałby wskaźnik giełdowy Dow-Jonesa.

– O Boże! – jęknął Stephen. – W pańskim opowiadaniu jest to tak przerażająco proste, inspektorze. Zatem raport geologa to mistyfikacja?

– Niekoniecznie, proszę pana. Bardzo sugestywnie sformułowany i przekonujący, ale obwarowany mnóstwem zastrzeżeń. Jedno jest pewne, że prokuratura nie wyasygnuje milionów na zbadanie, czy w tej części dna morskiego znajduje się ropa naftowa.

Stephen ukrył twarz w dłoniach i przeklął dzień, w którym los zetknął go z Davidem Keslerem.

– Proszę mi powiedzieć, inspektorze, kto napuścił Keslera? Kto był mózgiem całej operacji?

Inspektor aż za dobrze zdawał sobie sprawę z udręki Stephena. W swojej karierze policyjnej zetknął się z wieloma ludźmi w podobnej sytuacji, poza tym wdzięczny był Stephenowi za chęć pomocy.

– Odpowiem na każde pytanie, jeżeli uznam, że nie zaszkodzi to śledztwu – powiedział. – Nie jest tajemnicą, że człowiekiem, którego chcielibyśmy przyskrzynić, jest Harvey Metcalfe.

– Któż to jest, na Boga?

– Amerykanin w pierwszym pokoleniu, który maczał palce w tylu machlojkach w Bostonie, że panu się nie śniło. Został multimilionerem i zbijając fortunę, zrujnował masę ludzi. Jest tak wytrawnym zawodowcem i styl ma tak charakterystyczny, że poznajemy go na milę. Nie ubawi to pana, ale jest hojnym fundatorem Harvardu, niewątpliwie dla spokoju sumienia. Nigdy dotychczas nie mogliśmy mu niczego dowieść i wątpię, żeby teraz było inaczej. Nie był dyrektorem towarzystwa, kupował tylko i sprzedawał akcje na wolnym rynku. O ile wiemy, nigdy nie spotkał Davida Keslera. Wynajął Silvermana, Coopera i Elliotta do brudnej roboty, oni zaś znaleźli bystrego, pełnego entuzjazmu chłopaka, na tyle łatwowiernego, że dał się

użyć w charakterze naganiacza. Niestety, miał pan tę odrobinę pecha, iż człowiekiem tym był pański przyjaciel, David Kesler.

– Dajmy mu spokój, ciężkiemu frajerowi – rzucił Stephen. – A Harvey Metcalfe? Czy znów wykręci się sianem?

– Obawiam się, że tak – odparł inspektor. – Mam nakaz aresztowania Silvermana, Elliotta i Coopera. Zwiali do Ameryki Południowej. Wątpię, czy po klapie z Ronaldem Biggsem uda nam się ruszyć sprawę ekstradycji, chociaż policja Stanów Zjednoczonych i kanady też ich poszukuje. Zachowali się zresztą bardzo sprytnie. Zamknęli londyńskie biuro Prospecta Oil, wypowiedzieli umowę najmu i odesłali ją pośrednikowi, wymówili obu sekretarkom i zapłacili im za miesiąc z góry. Uregulowali rachunki z przedsiębiorstwem Reading i Bates za wypożyczenie platformy wiertniczej. Rozliczyli się ze swym pracownikiem w Aberdeen Markiem Stewartem i w niedzielę rano odlecieli do Rio de Janeiro, gdzie na prywatnym koncie czekał na nich milion dolarów. Za dwa, trzy lata, kiedy skończą się im pieniądze, na pewno znów wypłyną, tyle że pod innymi nazwiskami i w innym towarzystwie. Harvey Metcalfe sowicie ich wynagrodził, a Davidowi Keslerowi kazał pić piwo, którego sam nawarzył.

– Cwane chłopaki – powiedział Stephen.

– O tak – zgodził się inspektor – to czysta robótka. Godna talentów Harveya Metcalfe'a.

– Czy zamierza pan aresztować Davida Keslera?

– Nie, ale jak mówiłem, chcielibyśmy go przesłuchać. Kesler kupił i sprzedał pięćset akcji, ale pewnie tylko dlatego, że sam wierzył, iż odkryto ropę. Gdyby był mądry, wróciłby do Anglii i pomógł nam w śledztwie, ale wpadł biedak w panikę i nawiał. Policja amerykańska rozgląda się za nim.

– I ostatnie pytanie – powiedział Stephen. – Czy ktoś jeszcze zrobił z siebie takiego durnia jak ja?

Inspektor długo się namyślał, zanim odpowiedział na to pytanie. Z trzema pozostałymi, którzy ulokowali majątek w akcjach, nie poszło mu tak gładko jak ze Stephenem. Odpowiadali wymijająco, gdy pytał ich o powiązania z Davidem Keslerem i towarzystwem Prospecta Oil. Kto wie, może gdyby ujawnił ich nazwiska, w jakiś sposób skłoniłoby to ich do większej szczerości.

– Tak, proszę pana, ale... pan rozumie, ja panu nic nie mówiłem.

Stephen skinął głową.

– Dla własnej ciekawości mógłby się pan wywiedzieć dyskretnie na giełdzie. Głównych hazardzistów było czterech, licząc pana. Straciliście razem około miliona dolarów. Ci trzej to: doktor Robin Oakley, londyński marszand Jean-Pierre Lamanns i właściciel dużego gospodarstwa rolnego – najbardziej ze wszystkich poszkodowany. O ile wiem, zaciągnął pożyczkę na hipotekę farmy. Utytułowany wicehrabia James Brigsley. Metcalfe ściągnął mu czepek z głowy, w którym się urodził.

– Nikt więcej?

– Dwa czy trzy banki paskudnie się nacięły, ale żaden z indywidualnych akcjonariuszy nie zaryzykował więcej niż dziesięć tysięcy funtów. Pan, banki oraz ci trzej do spółki zapewniliście stabilność kursu wystarczająco długo, by Metcalfe mógł się pozbyć całego portfela akcji.

– Tak, wiem. Co gorsza, doradziłem jak głupiec kilku przyjaciołom, żeby też kupili akcje.

– Hm... tak, mam tu dwa czy trzy nazwiska z Oksfordu – powiedział inspektor, spoglądając na leżącą przed nim kartkę – ale niech się pan nie obawia, nie będziemy ich indagować. No, to chyba wszystko. Pozostaje mi tylko podziękować za pańską pomoc i dodać, że przypuszczalnie ponownie skontaktujemy się z panem. W każdym razie powiadomimy pana o rozwoju sytuacji i mam nadzieję, że pan to również uczyni.

– Oczywiście, inspektorze. Życzę panom dobrej podróży.

Policjanci dopili whisky i pożegnali się.

Nigdy potem Stephen nie potrafił sobie przypomnieć, w jakim momencie, czy gdy siedział w fotelu, spoglądając na dziedziniec okolony krużgankami, czy gdy już leżał w łóżku, postanowił zaprząc swój akademicki umysł do zbadania, kim jest Metcalfe i kto należy do jego szajki. Przemknęły mu przez głowę słowa dziadka, kiedy jako mały chłopiec przegrał cowieczorną partię szachów: „Stevie, nie trać głowy, odegraj się”. Był zadowolony, że wygłosił już ostatni wykład i zakończył pracę w tym trymestrze, a gdy zasypiał o trzeciej nad ranem, tylko to dźwięczało mu w głowie: Harvey Metcalfe.

V

Stephen zbudził się około pół do szóstej rano. Wydawało się, że spał ciężkim, pozbawionym marzeń snem, ledwie się jednak ocknął, koszmar ogarnął go na nowo. Postanowił zmusić się do konstruktywnego myślenia, przeszłość zdecydowanie zostawić za sobą i zastanowić się nad przyszłością. Umył się, ogolił i ubrał, pomrukując chwilami: „Harvey Metcalfe”. Zrezygnował ze śniadania. Popedałował na stację na wysłużonym rowerze. Był to jego ulubiony środek lokomocji w tym zapchanym olbrzymimi ciężarówkami mieście, w którym panował zawiły system ruchu jednokierunkowego. Przypiął swojego kulawego rumaka łańcuchem do ogrodzenia. Stało tam w rzędach tyle rowerów, ile przed innymi dworcami samochodów.

Złapał pociąg o ósmej siedemnaście, ulubiony przez dojeżdżających codziennie do Londynu. Wydawało się, że wszyscy pasażerowie jedzący śniadanie w wagonie restauracyjnym są dobrymi znajomymi, i Stephen czuł się jak nieproszony gość na przyjęciu urządzonym przez nieznajomego gospodarza. Przez wagon przemknął konduktor i skasował bilet pierwszej klasy Stephena. Mężczyzna z naprzeciwka wysunął spoza płachty „Financial Timesa” bilet drugiej klasy. Konduktor przeciął go z niechęcią.

– Po śniadaniu musi pan przejść do wagonu drugiej klasy. Jak pan wie, wagon restauracyjny to pierwsza klasa.

Stephen rozważył implikacje tej uwagi, patrząc przez okno na uciekający do tyłu krajobraz Berkshire. Filiżanka z kawą tańczyła na spodeczku nietknięta, póki nie zabrał się do porannych gazet. „Times” nie podawał tego rana żadnych wiadomości o Prospecta Oil. Była to, jak

przypuszczał, historia nieważna, a może nawet nudna. Ani porwanie, ani podpalenie czy choćby awantura, po prostu jeden więcej krach podejrzanego przedsięwzięcia. Nic takiego, co by mogło stać się sensacją z pierwszej strony na dłużej niż jeden dzień. Historia ta nie wzbudziłaby również jego zainteresowania, gdyby nie był w nią uwikłany – co nadawało jej wymiar osobistej tragedii.

Utorował sobie drogę przez tłum mrowiący się przed dworcem Paddington, rad, że wybrał spokojne życie akademickie lub, ściślej mówiąc, że został przez nie wybrany. W Londynie czuł się nieswojo, miasto wydawało mu się ogromne i bezosobowe. Zawsze jeździł taksówkami w obawie, że się zgubi, jeśli wsiądzie do autobusu lub metra. Gdyby Anglicy oznaczyli ulice numerami, wówczas Amerykanie czuliby się jak u siebie w domu.

– Redakcja „Timesa”, Printing House Square.

Taksówkarz kiwnął głową i zręcznie manewrując czarnym austinem, pomknął Bayswater Road, wzdłuż moknącego w deszczu Hyde Parku. Krokusy przy Marble Arch, rozpłaszczone pod ciężarem wilgoci na gęstej trawie, miały wygląd posępny i sponiewierany. Stephen podziwiał londyńskie taksówki; nigdy nie miały żadnych rys i zadraśnięć. Ktoś mu kiedyś powiedział, że taksówkarzom nie wolno wozić pasażerów, jeśli samochód nie jest w idealnym stanie. Jaka różnica w porównaniu z pokiereszowanymi żółtymi monstrami w Nowym Jorku, pomyślał. Taksówka dojechała łukiem Park Lane do Hyde Park Corner, minęła siedzibę Izby Gmin, potoczyła się przez Embankment. Na Parliament Square wywieszone były flagi. Stephen zmarszczył brwi. Zaraz, o czym pisano w artykule na czołówce gazety, który tak nieuważnie przejrzał w pociągu? Aha, o spotkaniu szefów państw Commonwealthu. No cóż, świat musi się toczyć dalej.

Stephen nie bardzo wiedział, jak się zabrać do rozszyfrowania Harveya Metcalfe'a. W Harvardzie nie miałby żadnych problemów; poszedłby wprost do Hanka Swaltza, starego przyjaciela ojca, handlowego korespondenta gazety „Herald American”. Hank na pewno dostarczyłby mu niedostępnych dla zwykłych śmiertelników informacji. Reporter kroniki miejskiej dziennika „Times”, Richard Compton-Miller, to nie było z pewnością to, ale był to jedyny brytyjski dziennikarz, którego Stephen znał. Compton-Miller odwiedził ubiegłej wiosny Kolegium Magdaleny, żeby napisać reportaż na czołówkę numeru o uświęconych tradycją uroczystościach pierwszomajowych w Oksfordzie. Gdy rankiem pierwszego maja słońce wyłoniło się zza horyzontu, chór na szczycie kolegium odśpiewał Miltonowskie pozdrowienie:

Witaj, szczodry maju, którego tchnienie
Budzi wesele i lube pragnienie.

Na brzegach rzeki poniżej Magdalen Bridge, gdzie stali Compton-Miller i Stephen, kilka par najwyraźniej szło za głosem lubego pragnienia.

Stephen czuł się później raczej zakłopotany niż pochlebiony opisem własnej osoby w reportażu, jaki ukazał się w „Timesie”; akademicy stronią od określeń w rodzaju „wybitny”, dziennikarze – na odwrót. Co zarozumialsi koledzy Stephena z salonu profesorskiego nie byli zachwyceni, czytając, że jest gwiazdą pierwszej wielkości na nie pierwszej jasności firmamencie.

Taksówka wjechała na podjazd i zatrzymała się blisko potężnego masywu rzeźby dłuta Henry'ego Moore'a. „Times” i „Observer” mieściły się w jednym budynku o osobnych wejściach; to wiodące do redakcji „Timesa” było o wiele okazalsze. Stephen zapytał strażnika w portierni o

Richarda Comptona-Millera i został skierowany na piąte piętro, gdzie na końcu korytarza miał on osobny niewielki pokoik.

Było dopiero po dziesiątej i budynek świecił pustkami. Później Compton-Miller wyjaśnił, że ogólnokrajowa gazeta nie budzi się do życia przed jedenastą i zazwyczaj zapada znowu w letarg w porze lunchu, przeciągającej się aż do trzeciej po południu. Wówczas zaczyna się dopiero właściwa praca, która kończy się około pół do dziewiątej wieczorem wraz z oddaniem numeru, bez pierwszej strony, do składu. Następuje zazwyczaj całkowita zmiana personelu, zaczynająca się stopniowo od piątej; zadaniem dyżurnych dziennikarzy jest wychwytywanie ważnych wiadomości napływających nocą. Trzeba zwłaszcza uważać na to, co się dzieje w Stanach Zjednoczonych, gdy bowiem po południu w Waszyngtonie prezydent składa jakieś ważne oświadczenie, w Londynie oddaje się je natychmiast do druku. Czasem stronę tytułową zmienia się w ciągu nocy aż pięciokrotnie; kiedy zamordowano prezydenta Kennedy'ego – pierwsza wiadomość dotarła do Anglii około siódmej wieczorem 22 listopada 1963 – trzeba było rozsypać cały skład, żeby dać informację o tragedii.

– Richard, to bardzo uprzejmie z twojej strony, że ze względu na mnie przyszedłeś wcześniej. Nie zdawałem sobie sprawy, że zaczynasz pracę tak późno. Mówiąc szczerze, sięgam po dziennik jak po rzecz, która mi się należy.

– Drobiazg – roześmiał się Richard. – Pewnie patrzysz na nas jak na zgraję próżniaków, ale o północy, gdy ty będziesz w najlepsze spał, tu będzie wrzało jak w ulu. Ale w czym mogę ci pomóc?

– Próbuję zgromadzić trochę informacji o moim rodaku nazwiskiem Harvey Metcalfe. Jest on hojnym dobroczyńcą Harvardu i chciałbym po powrocie do Stanów pochlebić staruszkowi, chwaląc się, że wszystko o nim wiem.

Stephen nie lubił kłamać, ale doprawdy okoliczności, w jakich się znalazł, były wyjątkowe.

– Poczekaj, pójdę i zobaczę, czy jest coś o nim w dziale wycinków prasowych.

Stephen zabawiał się odczytywaniem tytułów przypiętych do stołu Comptona-Millera. Widocznie były to tytuły artykułów, z których był szczególnie dumny: *Premier poprowadzi orkiestrę w Royal Festival Hall, Miss świata kocha Toma Jonesa, Muhammad Ali mówi: „Znów zostanę mistrzem świata”*.

Richard wrócił po piętnastu minutach z pękatą teczką.

– No, zabieraj się do tego, Kartezjuszu. Wrócę za godzinę i pójdziemy na kawę.

Stephen kiwnął głową i uśmiechnął się z wdzięcznością. Kartezjusz nigdy nie miał takich problemów.

Teczka zawierała wszystko to, czym Harvey Metcalfe pragnął się pochwalić światu, i bardzo niewiele tego, co chciał przed nim ukryć. Stephen dowiedział się o jego corocznych podróżach do Europy na mistrzostwa tenisowe w Wimbledonie, o zwycięstwach jego koni w Ascot i o jego niezmordowanych poszukiwaniach płócien impresjonistów do własnej kolekcji obrazów. William Hickey uraczył kiedyś czytelników podobizną pulchnego Harveya w bermudach i wzmianką, iż spędza on dwa lub trzy tygodnie w roku na własnym jachcie w Monte Carlo i grywa w tamtejszym kasynie. Ton Hickeya nie był przesadnie pochlebny. Fortuna Metcalfe'a była jego zdaniem zbyt świeżej daty, aby budzić szacunek. Stephen wynotował skrupulatnie wszystkie fakty, które uznał za istotne, i właśnie przeglądał fotografie, gdy wrócił Richard.

Zabrał Stephena na kawę do bufetu na tym samym piętrze. Obłok dymu papierosowego wirował wokół dziewczyny siedzącej przy kasie na końcu

samoobsługowego kontuaru.

– Richard, nie znalazłem wszystkich informacji, które mogą mi się przydać. Uniwersytet chce skubnąć faceta na większą forsę, myślę, że rzędu miliona dolarów. Gdzie jeszcze mógłbym się czegoś o nim dowiedzieć?

– Sądzę, że w „New York Timesie” – powiedział Compton-Miller. – Chodź, wpadniemy do Terry'ego Robardsa.

Londyńskie biuro „New York Timesa” również mieściło się na piątym piętrze budynku, w którym miał siedzibę „Times”. Stephen pomyślał o ogromnym gmachu „New York Timesa” przy Czterdziestej Trzeciej Ulicy. Ciekawe, czy londyński „Times”, na zasadach wzajemności, ma siedzibę w jego suterenach. Terry Robards okazał się kipiącym energią, wiecznie uśmiechniętym Amerykaninem. Stephen natychmiast poczuł się przy nim swobodnie; Terry miał ten dar, jaki wyrobił sobie w ciągu lat prawie nieświadomie, dar nieoceniony, gdy trzeba było wyniuchać jakiś skandalik.

Stephen powtórzył swoją opowiastkę. Terry wybuchnął śmiechem.

– Harvard nie docieka zbytnio, skąd płynie forsa, co? Ten facet odkrył więcej sposobów legalnego złodziejstwa niż urząd skarbowy.

– Co pan mówi? – zdziwił się prostodusznie Stephen.

Kartoteka Harveya w archiwum „New York Timesa” była pękata. „Kariera Metcalfe'a od gońca do milionera”, jak brzmiał jeden z tytułów, udokumentowana była fantastycznie. Stephen wynotował skrupulatnie kolejne fakty. Zafascynowały go zwłaszcza okoliczności przejęcia firmy Sharpley i Syn, informacje na temat pewnych transakcji z bronią podczas wojny oraz charakterystyka żony Harveya Arlene i córki Rosalie. Załączono nawet ich fotografie, ale pochodziły z czasów, gdy Rosalie miała piętnaście lat. Znalazł także dokładne relacje z dwóch procesów sądowych sprzed dwudziestu pięciu lat, w których Harveya oskarżono o nadużycia finansowe, ale niczego nie zdołano mu udowodnić, oraz opis nowszej

sprawy sądowej z 1956 roku, dotyczącej transferu akcji w Bostonie. I tym razem Harvey umknął sprawiedliwości, ale prokurator okręgowy bez ogródek wyłożył ławie przysięgłych, co myśli o panu Metcalfe. Nowsze doniesienia były plotkami z kroniki towarzyskiej i dotyczyły kolekcji obrazów Metcalfe'a, koni, orchidei, sukcesów córki w Vassar, podróży do Europy. Stephen mógł tylko podziwiać zręczność, z jaką Harvey potrafił ukrywać co bardziej podejrzane interesy przed wszędobylską prasą.

Terry zaprosił współtowarzysza wygnańczej niedoli na lunch. Ludzie prasy lubią poznawać nowe twarze, a kontakt ze Stephenem wyglądał obiecująco. Kazał taksówkarzowi jechać na Whitfeld Street. Gdy samochód w ślimaczym tempie przebijał się z City na West End, Stephen zastanawiał się, czy obiad wart będzie podróży. Nie rozczarował się.

Restauracja Lacy'ego była przestronna, na stołach leżały czyste obrusy i stały wazony pełne świeżych żonkili. Terry powiedział, że to ulubione miejsce dziennikarzy. Margaret Costa, autorka książek kucharskich, i jej mąż Bill Lacy, szef kuchni, bez wątpienia znali się na rzeczy. Po wyśmienitej zupie z rzeżuchy wodnej, po *médaillons de veau à la crème au calvados i butelce Château de Péronne*, rocznik 1972, Terry'emu całkiem rozwiązał się język na temat Metcalfe'a. Przeprowadził z nim kiedyś wywiad w Harvardzie z okazji otwarcia Pawilonu Metcalfe'a, mieszczącego salę gimnastyczną i cztery kryte korty tenisowe.

– Ma nadzieję, że sobie zasłuży na tytuł honorowy, ale choćby dał miliard, i tak nie ma szans – podsumował cynicznie.

Stephenowi te słowa zapadły głęboko w pamięć.

– Myślę, że więcej informacji znalazłbyś w ambasadzie amerykańskiej – poradził Terry. Spojrzał na zegarek. – Cholera, bibliotekę zamykają o czwartej. Dziś już za późno. Czas na mnie, już budzi się Ameryka.

Stephen był ciekaw, czy dziennikarze co dzień tak jedzą i piją. Profesorowie uniwersyteccy w porównaniu z nimi żyli jak asceci. I skąd jeszcze biorą czas na przygotowanie gazety do druku?

Wepchnął się do pociągu odjeżdżającego o piątej piętnaście z tłumem pasażerów powracających do Oksfordu i dopiero gdy znalazł się w ciszy swojego pokoju, mógł się spokojnie zastanowić nad tym, czego się dowiedział. Był bardzo zmęczony, ale zmusił się do pracy i wstał od biurka, dopiero gdy pierwszy, staranny szkic zestawu informacji był gotowy.

Następnego dnia znowu wsiadł do pociągu odjeżdżającego o ósmej siedemnaście do Londynu, ale tym razem kupił bilet drugiej klasy. Konduktor polecił mu opuścić wagon restauracyjny po posiłku.

– Oczywiście – obiecał Stephen, po czym siedział nad resztką kawy do końca godzinnej podróży, nie ruszając się z miejsca. Był z siebie zadowolony: zaoszczędził dwa funty, a Harvey Metcalfe właśnie tak by postąpił.

Posłuchał Robardsa i z Paddington pojechał taksówką do ambasady amerykańskiej, która mieściła się w olbrzymim, zwalistym gmaszysku, wysokim na dziesięć pięter i zajmującym całą długość Grosvenor Square, jednak nie tak eleganckim jak wspaniała rezydencja ambasadora amerykańskiego, Winfeld House w Regent's Parku, gdzie Stephen był oficjalnie zaproszony na przyjęcie w zeszłym roku. Kiedyś dom należał do Barbary Hutton, a rządowi amerykańskiemu został sprzedany w 1946 roku. Siedmiu mężów, pomyślał Stephen, mogłoby się swobodnie pomieścić i w jednym, i w drugim.

Drzwi do biblioteki podręcznej na parterze zamknięte były na głucho. Stephen musiał się zadowolić studiowaniem tabliczek pamiątkowych, jakimi uhonorowano ostatnich ambasadorów na dworze monarchy brytyjskiego. Czytając od Waltera Annenberga wstecz, doszedł właśnie do

Josepha Kennedy'ego, gdy drzwi biblioteki otwarły się, niemal jak podwoje banku. Sroga urzędniczka, przed którą stała tabliczka z napisem: „Informacja”, nie paliła się, żeby jej udzielić.

– Do czego panu są potrzebne? – spytała ostro.

Przez moment Stephen poczuł się nieswojo, ale prędko odzyskał pewność siebie.

– Jesienią obejmuję katedrę matematyki na Uniwersytecie Harvarda i chciałbym dowiedzieć się czegoś bliżej o zaangażowaniu pana Metcalfe'a w sprawy uczelni. W tej chwili pracuję naukowo w Kolegium Magdaleny w Oksfordzie.

Odpowiedź Stephena pobudziła dziewczynę do natychmiastowego działania. Po kilku minutach wręczyła mu teczkę, która nie zawierała wprawdzie tylu pikantnych szczegółów co kartoteka „New York Timesa”, ale za to znalazł tam wyliczenie kwot ofiarowanych przez Harveya na cele dobroczynne i ścisłe informacje o darowiznach dla Partii Demokratycznej. Na ogół ludzie nie ujawniają wysokości sum przekazywanych partiom politycznym, lecz Harvey wyraźnie nie wiedział, co to chować się pod korcem – umiał tylko błyszczeć.

Z ambasady Stephen pojechał taksówką na plac św. Jakuba do biur Cunarda, gdzie zamienił parę słów z kasjerką przyjmującą rezerwacje, a następnie na Brook Street do hotelu Claridge, gdzie porozmawiał chwilę z szefem recepcji. Na koniec zatelefonował do Monte Carlo. Wrócił do Oksfordu pociągiem odjeżdżającym z Paddington o piątej piętnaście.

Wreszcie był u siebie. Doszedł do wniosku, że teraz wie o Harveyu Metcalfe tyle, ile mało kto, może z wyjątkiem Arlene i inspektora Smitha ze Scotland Yardu. Siedział znowu do późna, komponując ostateczną wersję dossier Metcalfe'a, które liczyło obecnie ponad czterdzieści stron maszynopisu.

Po skończeniu pracy położył się do łóżka i zasnął kamiennym snem. Wstał wcześnie rano i przeciąwszy dziedziniec, poszedł do jadalni na śniadanie. Zjadł jajka na bekonie i grzanki, wypił kawę. Wybrał się następnie do kwestury i odbił maszynopis w czterech egzemplarzach. W sumie miał pięć kompletów. Wrócił spacerkiem przez Magdalen Bridge, jak zwykle podziwiając wypielęgnowane kwietniki uniwersyteckiego ogrodu botanicznego, rozciągającego się na dole z prawej strony, i wstąpił do księgarni Maxwella za mostem.

Przyniósł do domu pięć zgrabnych teczek, każda w innym kolorze. Ułożył w nich odbitki i schował wszystko w szufladzie biurka, którą zamykał na klucz. Stephen, jako matematyk, miał umysł metodyczny i precyzyjny. Z takim przeciwnikiem Harvey Metcalfe nigdy jeszcze nie miał do czynienia.

Stephen zajrzał następnie do notatek, jakie sporządził po rozmowie z inspektorem Smithem, i zadzwonił do informacji telefonicznej z prośbą o podanie londyńskich adresów i numerów telefonów doktora Robina Oakleya, Jean-Pierre'a Lamannsa i lorda Brigsleya. Panienka z informacji powiedziała, że może podać jedynie dwa numery naraz. Stephen usiłował zrozumieć, jakim cudem Główny Urząd Poczty spodziewa się zysków. W Stanach Zjednoczonych informacja towarzystwa telefonicznego Bella podyktowałaby mu chętnie kilkanaście numerów, a na końcu jeszcze by usłyszał, jak zwykle: „Bardzo nam było miło”.

Udało mu się wydobyć od opryskliwej panienki dwa adresy: gabinetu doktora Robina Oakleya – 122 Harley Street, Londyn Wl i galerii Jean-Pierre'a Lamannsa – 40 New Bond Street, Londyn W1. Po chwili zadzwonił ponownie, prosząc o adres i telefon lorda Brigsleya.

– Taki nie figuruje w spisie centralnego Londynu – powiedziała panienka. – Może ma zastrzeżony numer. Jeśli to rzeczywiście lord –

prychnęła pogardliwie.

Stephen powędrował do salonu profesorskiego, przekartkował najnowsze wydanie *Who's Who* i odnalazł czcigodnego lorda:

BRIGSLEY, wicehrabia: James Clarence Spencer; ur. 11 paźdz. 1942; rolnik; syn i dziedzic 5 earla Louth, tytuł nad. w 1764, q.v. Wykszt.: Harrow, Christ Church Oksford (bak). Prez. Kółka Dramatycznego Uniwersytetu Oksfordzkiego. Por. gren. gwardii 1966–1968. Sporty: polo (nie wodne), myślistwo. Adres: Tathwell Hall, Louth, Lines. Kluby: „Garrick", „Gwardia".

Teraz Stephen powędrował do Christ Church i spytał w kwesturze, czy mają w kartotece londyński adres Jamesa Brigsleya, immatrykulowanego w 1963 roku. Wkrótce go otrzymał: 119 King's Road, Londyn SW3.

Stephen zaczął nabierać ochoty na rozgrywkę z Harveyem. Z Christ Church wyszedł przez Peckwater i Canterbury Gate na High Street i w drodze do kolegium, maszerując z rękoma w kieszeniach, układał w myśli krótki list. Nocni malarze haseł znowu ozdobili mur kolegium. *Deanz meanz feinz*[4] – wieściło starannie namalowane graffiti. Stephen, pełniący – zresztą niechętnie – funkcję prodziekana i odpowiedzialny za dyscyplinę studentów, uśmiechnął się. Jeśli hasła były dowcipne, zezwalał, aby zostały na murze do końca trymestru, jeśli nie – polecał portierowi natychmiast je usunąć. W domu usiadł przy biurku i napisał list, który obmyślił po drodze.

Kolegium Magdaleny
Oksford
15 kwietnia
Szanowny Panie Doktorze!

Wydaję skromną kolację w następny czwartek wieczorem dla kilku osób z doborowego towarzystwa.

Byłoby mi niezmiernie miło, gdyby znalazł pan czas i zechciał przybyć. Myślę, że uzna Pan, iż warto się było pofatygować.

Z poważaniem
Stephen Bradley

PS Żałuję, że David Kesler nie będzie obecny. Obowiązuje strój wieczorowy.

Kolacja zostanie podana o ósmej.

Zmienił arkusik listowego papieru w starym remingtonie i wystukał podobne zaproszenie do Jean-Pierre'a Lamannsa i do lorda Brigsleya. Zastanowił się chwilę, po czym podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu.

– Harry – powiedział do starszego portiera. – Gdyby ktoś dzwonił i pytał, czy jest tu facet o nazwisku Bradley, masz odpowiedzieć: „Tak, proszę pana, nowy matematyk z Harvardu, członek Kolegium Magdaleny, słynny ze swych proszonych kolacji". Jasne, Harry?

– Tak, proszę pana – odparł Harry Woodley, starszy portier. Nigdy nie potrafił zrozumieć Amerykanów, a doktor Bradley nie stanowił wyjątku.

Jak przewidział Stephen, wszyscy trzej telefonowali i dopytywali się o niego. On zrobiłby tak samo na ich miejscu. Harry zapamiętał jego słowa i powtarzał je dokładnie, lecz jego rozmówcy nadal robili wrażenie nieco zaskoczonych.

– Nie bardziej ode mnie – mruczał pod nosem Harry.

W następnym tygodniu wszyscy trzej przysłali Stephenowi zawiadomienie o przyjęciu zaproszenia, James Brigsley na ostatku. W

herbie na papierze listowym wpleciona była obiecująca dewiza – *ex nihilo omnia.*

Odbyła się narada z szefem służby salonu profesorskiego i mistrzem kuchni kolegium. Ustalono menu, zdolne rozwiązać języki najzaciętszych milczków:

Coquilles St. Jacques	*Pouilly Fuissé 1969*
Carrée d'agneau en croûte	*Feux St. Jean 1970*
Casserole d'artichauts et champignons	
Pommes de terre boulangère	
Griestorte z malinami	*Bar sac Ch. d'Yquem 1927*
Camembert frappé	*Port Taylor 1947*
Café	

Wszystko było przygotowane. Stephen mógł tylko czekać na wyznaczoną godzinę.

W czwartek punktualnie co do minuty zjawił się Jean-Pierre. Stephen podziwiał elegancki smoking i dużą, miękko zawiązaną muszkę swego gościa; bezwiednie poprawił swoją skromną, przypinaną. Był zaskoczony, że taki człowiek jak Jean- Pierre również dał się nabrać na Prospecta Oil. Stephen wdał się w monolog o roli trójkąta równoramiennego w sztuce współczesnej, a tymczasem Jean-Pierre gładził swój wąsik. Nie był to temat, na który w normalnych okolicznościach Stephen by się porwał i który kontynuowałby bez przerwy pięć minut. Przed nieuchronnością

obcesowych pytań uratowało go wyłącznie nadejście doktora Robina Oakleya. Wprawdzie Robin zeszczuplał troszeczkę w ostatnim miesiącu, ale mimo to Stephen natychmiast pojął, dlaczego był tak wziętym lekarzem. Jego wygląd pozwalał, jak to określił H. H. Munro (Saki), zapomnieć kobietom o innych błahostkach. Robin przyglądał się badawczo niezgrabnie powłóczącemu nogami Stephenowi, wahając się, czy zapytać od razu, czy już się kiedyś spotkali. Postanowił, że nie. Może w trakcie kolacji z jakiejś aluzji odgadnie, dlaczego został zaproszony. Niepokoił go dopisek o Davidzie Keslerze.

Stephen przedstawił ich sobie z Jean-Pierre'em. Zajęli się rozmową, tymczasem Stephen zlustrował stół biesiadny. Drzwi znów się otworzyły i z respektem trochę większym niż poprzednio portier zaanonsował lorda Brigsleya. Stephen podszedł, aby go przywitać, raptem niepewny, czy się ukłonić, czy podać rękę. Mimo że James nie znał nikogo z tego osobliwego zgromadzenia, nie okazał cienia skrępowania i swobodnie przyłączył się do rozmowy. Nawet Stephenowi zaimponowała zręczność, z jaką poprowadził błahą rozmowę towarzyską, chociaż nie mógł zapomnieć o jego słabych wynikach na studiach i wątpił, czy szlachetny lord będzie przydatny w jego planach.

Magia kulinarna szefa kuchni urzekła biesiadników. Żadnemu z gości nie wypadało zapytać o powód przyjęcia, gdy podawano do stołu tak delikatnie przyprawione czosnkiem jagnię, tak wyśmienity placek z migdałami i tak wyborne wina.

Wreszcie, gdy służba uprzątnęła stół, przy drugiej kolejce porto Robin nie wytrzymał.

– Doktorze Bradley, jeśli nie poczyta pan tego za niegrzeczność...

– Proszę mi mówić Stephen.

– A więc, Stephen, czy mogę zapytać, jaki jest powód tego osobliwego spotkania towarzyskiego?

Trzy pary oczu zwróciły się ku niemu pytająco.

Stephen wstał i powiódł wzrokiem po swych gościach. Dwukrotnie okrążył stół w milczeniu, po czym zaczął przemowę przypomnieniem wydarzeń, jakie rozegrały się w ciągu kilku ostatnich tygodni.

Opowiedział o swoim spotkaniu w tym właśnie pokoju z Davidem Keslerem, o nabyciu akcji Prospecta Oil, o wizycie policjantów, która nastąpiła wkrótce potem, i o ujawnieniu przez nich roli Harveya Metcalfe'a. Zakończył starannie przygotowaną mowę słowami:

– Dżentelmeni, jest faktem, że znaleźliśmy się wszyscy w diablo kłopotliwej sytuacji. – Miał nadzieję, że sformułowanie to przemówi do Anglików.

Jean-Pierre nie pozwolił mu skończyć.

– Proszę mnie w to nie mieszać. Nie wplątałbym się w nic równie absurdalnego. Jestem skromnym marszandem, a nie spekulantem.

Nim Stephen zdążył odpowiedzieć, poderwał się Robin Oakley.

– Nigdy nie słyszałem czegoś tak niedorzecznego. Musiał się pan pomylić. Jestem lekarzem z Harley Street i o ropie naftowej nie mam zielonego pojęcia.

Stephen teraz zrozumiał, dlaczego inspektor z sekcji oszustw miał z tymi dwoma kłopoty i czemu był mu tak wdzięczny za szczerość. Wszyscy spojrzeli na lorda Brigsleya, który podniósł głowę i bardzo spokojnie powiedział:

– Zgadza się co do joty, doktorze Bradley, z tym że ja wpadłem gorzej niż wy. Pożyczyłem na kupno akcji sto pięćdziesiąt tysięcy funtów na hipotekę mojej małej farmy w Hampshire i sądzę, że bank nie będzie długo zwlekał z żądaniem, bym zrzekł się praw własności. Kiedy to się stanie i

mój kochany papcio, piąty earl, dowie się o tym, będę załatwiony, chyba że zostałbym szóstym earlem z dnia na dzień.

– Dziękuję panu – powiedział Stephen. Siadając, zwrócił się do Robina i podniósł pytająco brwi.

– Tam do diabła – odezwał się Robin. – To prawda, wpadłem. David Kesler był moim pacjentem. W chwili zaćmienia umysłu kupiłem akcje Prospecta Oil za sto tysięcy funtów pożyczonych na krótki termin pod zastaw papierów wartościowych. Bóg jeden wie, co mnie napadło. Akcje spadły do pięćdziesięciu pensów, więc nie mogę ich upłynnić. Mam niedobór na koncie i w banku już zaczynają kręcić nosem. Płacę wysokie raty za wiejski dom w Berkshire i czynsz za gabinet lekarski na Harley Street, mam żonę kochającą luksus i dwóch chłopaków w najlepszej szkole prywatnej w Anglii. Od wizyty inspektora Smitha przed dwoma tygodniami nie zmrużyłem oka.

Podniósł głowę. Twarz miał pobladłą, a po krzepiącej pewności siebie doktora z Harley Street nie zostało śladu. Z wolna wszyscy obrócili się i utkwili wzrok w twarzy Jean-Pierre'a.

– Dobrze już, dobrze – przyznał. – Ja też. Byłem w Paryżu, gdy wybuchła ta afera. Zostałem na lodzie z bezwartościowymi papierami i długiem osiemdziesięciu tysięcy funtów, pożyczonych pod zastaw dzieł sztuki znajdujących się w galerii. Co gorsza, doradziłem też kilku przyjaciołom, żeby utopili pieniądze w tych przeklętych akcjach.

Zapadło milczenie. Jean-Pierre odezwał się pierwszy:

– Cóż więc proponujesz, profesorze? – zapytał sarkastycznie. – Urządzenie jubileuszowej kolacji dla upamiętnienia naszej głupoty?

– Nie, nie to miałem na myśli. – Stephen zawahał się, wiedząc, że za chwilę wywoła jeszcze większe wzburzenie. Znowu wstał i powoli, dobitnie powiedział: – Nasze pieniądze zostały skradzione przez bardzo

sprytnego człowieka, wytrawnego eksperta w kombinacjach z akcjami. Żaden z nas nie zna się na walorach giełdowych, ale wszyscy jesteśmy ekspertami w swojej dziedzinie. Panowie, proponuję, żebyśmy odkradli nasze pieniądze. DOKŁADNIE CO DO GROSZA.

Po kilku sekundach ciszy wybuchł zgiełk.

– Po prostu podejść i odebrać, czy tak? – spytał Robin.

– Porwać go – mruknął James.

– Najlepiej zabić go i zażądać wypłaty odszkodowania – powiedział Jean-Pierre.

Upłynęło parę chwil. Stephen czekał, aż zapadnie milczenie, i dopiero wtedy wręczył wszystkim teczkę z napisem „Harvey Metcalfe” i z nazwiskiem każdego z nich. Zieloną Robinowi, niebieską Jamesowi i żółtą Jean-Pierre'owi. Czerwoną, zawierającą pierwszy egzemplarz, zatrzymał dla siebie. Wszyscy byli pod wrażeniem. Podczas gdy oni załamywali ręce w jałowej rozpaczy, Stephen Bradley intensywnie pracował.

Stephen mówił:

– Proszę, przeczytajcie to dokładnie. Zapoznajcie się z wszystkim, co wiadomo o Harveyu Metcalfe. Każdy z was weźmie teczkę ze sobą, przestudiuje informacje i wróci z pomysłem, jak wspólnymi siłami wydostać milion dolarów, tak żeby Metcalfe nigdy się o tym nie dowiedział. Każdy może włączyć pozostałych trzech do swego planu. Spotkamy się tutaj za czternaście dni i przedstawimy swoje propozycje. Każdy członek zespołu wpłaci dziesięć tysięcy dolarów do wspólnej kasy, a ja, jako matematyk, będę prowadził bieżące rachunki. Wszystkimi wydatkami związanymi z odzyskaniem pieniędzy obciążony zostanie pan Metcalfe, począwszy od kosztów waszego przyjazdu do Oksfordu i dzisiejszej kolacji.

Jean-Pierre i Robin zaczęli protestować, ale James przeciął dyskusję, mówiąc po prostu:

– Zgadzam się. Co mamy do stracenia? Każdy osobno nie ma szans, wszyscy razem możemy skubnąć tego drania.

Robin i Jean-Pierre spojrzeli na siebie, wzruszyli ramionami i zgodzili się.

We czwórkę zaczęli szczegółowo omawiać materiały zebrane przez Stephena w ciągu ostatnich kilku dni. Wyszli od niego trochę po północy, z obietnicą, że za czternaście dni przedłożą zespołowi gotowy plan. Żaden z nich nie mógł przewidzieć, jak to się skończy, ale każdy czuł ulgę, że nie jest sam.

Stephen uznał, że pierwsza runda rozgrywki zespołu kontra Metcalfe nie zawiodła jego oczekiwań. Oby tylko spiskowcy zabrali się do roboty. Usiadł w swoim fotelu, spojrzał w sufit i zamyślił się.

---

[4] *Deanz meanz feinz* – dziekani sypią grzywnami, przeróbka znanej reklamy fasolki firmy Heinz. Zgodnie z tradycją na studentów w Oksfordzie nakłada się kary pieniężne za niewłaściwe zachowanie (przyp. tłum.).

VI

Robin wycofał samochód z High Street; nalepka „lekarz z wizytą u chorego”, która ułatwiała parkowanie, przydała mu się nie pierwszy raz. Jechał do domu w Berkshire. Tak, nie ulegało wątpliwości, że Stephen Bradley to imponujący gość. Robin postanowił, że nie da się zakasować.

Pozwolił sobie przez chwilę upajać się marzeniami o odzyskaniu pieniędzy tak niebacznie powierzonych towarzystwu Prospecta Oil i Harveyowi Metcalfe'owi. Warto spróbować. W końcu wszystko jedno, czy wykreślą go z rejestru Głównej Rady Medycznej za usiłowanie rozboju czy za bankructwo. Opuścił trochę szybę w samochodzie, żeby ochłodzić głowę, w której szumiało mu jeszcze wspaniałe czerwone wino, i zamyślił się nad śmiałym projektem Stephena. Podróż z Oksfordu do domu minęła nie wiadomo kiedy. Myśli miał tak zajęte Harveyem Metcalfe'em, że gdy znalazł się u siebie – nie pamiętał całych fragmentów podróży. Oprócz wrodzonego wdzięku Robin miał tylko jeden atut do rozegrania i spodziewał się, iż dzięki niemu zwycięży Harveya. Zaczął na głos recytować zdanie z szesnastej strony maszynopisu Stephena: „Jedną z uporczywych bolączek trapiących Metcalfe'a jest...”

– O czym mówisz, kochanie?

Na głos żony Robin natychmiast oprzytomniał i zatrzasnął aktówkę z zielonym dossier w środku.

– Nie śpisz jeszcze, Mary?

– Przecież nie mówię przez sen, kochanie.

Robin musiał szybko coś wymyślić. Do tej pory nie przyznał się Mary do głupstwa, jakie popełnił z akcjami, ale powiedział jej o zaproszeniu na

kolację w Oksfordzie, nie zdając sobie sprawy, że ma to jakiś związek z Prospecta Oil.

– To była niespodzianka, kochanie. Mój stary kumpel z Cambridge został wykładowcą w Oksfordzie i ściągnął paru kolegów z roku do siebie na kolację. Mieliśmy świetny ubaw. Byli też Jim i Fred z mojej starej budy, ale pewno ich nie pamiętasz.

Trochę to słabe, pomyślał Robin, ale cóż mógł wymyślić lepszego piętnaście po pierwszej w nocy.

– Jesteś pewien, że nie jakaś śliczna dziewczyna? – spytała Mary.

– Nawet zakochane żony nie nazwałyby Johna i Freda ślicznymi.

– Ciszej, Robin, zbudzisz dzieci.

– Pojadę znowu za dwa tygodnie...

– Chodźże do łóżka, opowiesz mi o tym przy śniadaniu.

Robin ucieszył się, że do rana mu się upiekło.

Położył się koło pachnącej perfumami, ubranej w jedwabną bieliznę żony i z oczekiwaniem przeciągnął palcem wzdłuż jej kręgosłupa aż do kości ogonowej.

– Daj spokój, o tej porze? – wymamrotała.

Oboje zasnęli.

Jean-Pierre przenocował w hotelu Eastgat na High Street. Następnego dnia w galerii sztuki w Christ Church otwierano wystawę studentów. Jean-Pierre stale polował na nowe młode talenty z myślą o nawiązaniu współpracy. Galeria Marlborough na Bond Street, którą od jego salonu dzieliło tylko kilka domów, nauczyła londyński świat sztuki dalekowzrocznej taktyki skupywania prac młodych artystów i ścisłego utożsamiania się z ich karierami. Jednak w tej chwili nie przyszłość artystyczna galerii zajmowała najbardziej Jean-Pierre'a. Zagrożone było

samo jej istnienie, a skromny amerykański profesor z Kolegium Magdaleny ukazał mu szansę ratunku. Jean-Pierre zainstalował się w komfortowej sypialni hotelowej i nie zważając na późną porę, zabrał się do czytania dossier i szukania odpowiedniej dla siebie roli. Nie zamierzał dać się zapędzić w kozi róg tym dwu Anglikom i jankesowi. W 1918 roku Anglicy przyszli jego ojcu z odsieczą pod Rochefort, a w 1945 roku Amerykanie uwolnili go z obozu jenieckiego pod Frankfurtem. W żadnym wypadku nie pozwoli się zdystansować. Do późna studiował żółte dossier, aż pewien pomysł zaświtał mu w głowie.

James zdążył na ostatni pociąg odchodzący z Oksfordu. Szukał pustego przedziału, żeby przejrzeć materiały z niebieskiej teczki. Martwił się. Z pewnością tamci trzej wystąpią z błyskotliwymi projektami, a on, jak bywało już wcześniej, znów znajdzie się na szarym końcu. Nigdy przedtem nie miał prawdziwych kłopotów – wszystko przychodziło mu łatwo, teraz równie łatwo przepadło. Obmyślanie niezawodnego sposobu pozbawienia Harveya Metcalfe'a części nadmiernych zysków to nie było to, co tygrysy lubią najbardziej. Jednak przerażająca wizja ojca, który odkrywa, że farma w Hampshire zadłużona jest po ostatnią dachówkę, nie pozwalała na bezczynność. Czternaście dni to tak niewiele; od czego, u licha, zacząć? Nie jest, jak tamci trzej, specjalistą w żadnej dziedzinie i nie może zabłysnąć żadnym talentem. Może tylko jego doświadczenie aktorskie przyda się w którymś momencie.

Wpadł na konduktora, który nie zdziwił się, że James ma bilet pierwszej klasy. Poszukiwania wolnego przedziału nie zdały się na nic. James doszedł do wniosku, że widocznie Richard Marsh, prezes Rady Kolei Brytyjskich, stara się, żeby kolej stała się rentowna. Ciekawe, co jeszcze wymyśli. I pewnie spodziewa się tytułu szlacheckiego w nagrodę za swe trudy.

James zawsze uważał, że przedział z ładną dziewczyną jest prawie tak dobry jak przedział pusty – i tym razem miał szczęście. W jednym z przedziałów zobaczył olśniewającą piękność. Wyglądało na to, że dziewczyna jest samotna. Wprawdzie siedziała tam jeszcze jakaś kobieta zatopiona w „Vogue'u”, ale chyba nie była jej znajomą. James usiadł w rogu, tyłem do kierunku jazdy, świadom, że w pociągu nie przeczyta materiałów o Harveyu Metcalfe. Zobowiązali się do zachowania absolutnej dyskrecji, a Stephen ostrzegł, żeby nikomu nie pokazywać dossier. James obawiał się, że z nich czterech jemu będzie najtrudniej utrzymać tajemnicę; dochowanie sekretu nie leży w naturze człowieka z towarzystwa. Dotknął kieszeni płaszcza, do której schował teczkę. Cóż to za sprawnie działający facet, pomyślał. I ma łeb na karku. Będzie miał na zawołanie mnóstwo błyskotliwych projektów do następnego spotkania. James zmarszczył brwi i spojrzał w okno z nadzieją, że z nieba spadnie mu jakiś pomysł. Ale złapał się na tym, że wpatruje się w odbity w szybie profil siedzącej naprzeciw dziewczyny.

Miała połyskliwe ciemnobrązowe włosy, prosty nos i duże orzechowe oczy utkwione w książce, którą trzymała na kolanach. James zastanawiał się, czy rzeczywiście jest tak całkiem nieświadoma jego obecności, jak się zdawało, ale niechętnie uznał, że tak. Przeniósł wzrok niżej, na łagodną wypukłość jej piersi, miękko otulonych angorą. Wyciągnął trochę szyję, żeby zobaczyć, jakie ma nogi. Do diabła, była w botkach. Znowu zerknął na twarz. Patrzyła na niego z szyby, lekko ubawiona. Speszony spojrzał na drugą towarzyszkę podróży, mimowolną przyzwoitkę, w obecności której nie śmiał nawiązać rozmowy z pięknym profilem.

Zdesperowany popatrzył na okładkę „Vogue'a”, który czytała pani w średnim wieku. Jeszcze jedna piękność. Przyjrzał się dokładniej. To była ta sama dziewczyna. W pierwszej chwili nie uwierzył, ale krótki rzut oka na

oryginał rozwiał wszelkie wątpliwości. Gdy tylko „Vogue” został odłożony, a jego miejsce zajęła „Queen”, James pochylił się do przodu i spytał przyzwoitkę, czy mogłaby mu go pożyczyć.

– Kioski na stacjach zamykają coraz wcześniej – powiedział idiotycznie. – Nie mogłem kupić nic do czytania.

Przyzwoitka zgodziła się niechętnie.

Odwrócił stronę. „Okładka: Wyobraź sobie siebie w tym stroju... suknia z czarnej jedwabnej żorżety wykończona szyfonem. Boa ze strusich piór. Turban ozdobiony kwiatem, dobrany do sukni. Projekt Zandry Rhodes. Fryzura Anne: Jason, salon Vidal Sassoona. Fotograf: Lichfeld. Aparat fotograficzny: Hasselblad".

James nie widział siebie w tym stroju. Ale dowiedział się przynajmniej, że dziewczyna ma na imię Anne. Kiedy oryginał rzucił mu znów spojrzenie, pokazał na migi, że zauważył fotografię. Uśmiechnęła się leciutko i pochyliła głowę nad książką.

W Reading pani w średnim wieku wysiadła, zabrawszy „Vogue'a”.

– Doskonale się składa – mruknął James.

Anne podniosła głowę, troszkę speszona, i uśmiechała się zachęcająco do nielicznych pasażerów kręcących się na korytarzu w poszukiwaniu wolnych miejsc. James piorunował ich wzrokiem. Nikt nie wszedł. James wygrał pierwszą rundę. Kiedy pociąg nabrał szybkości, ruszył do ataku i zdobył się na niezłe jak na niego zagranie:

– To zdjęcie na okładce „Vogue'a” pierwszorzędnie się udało mojemu staremu kumplowi Patrickowi Lichfeldowi.

Anne Summerton podniosła głowę. Była jeszcze ładniejsza niż na fotografii. Miękko układające się ciemne włosy, obcięte według najnowszej mody u Vidal Sassoona, wielkie orzechowe oczy i nieskazitelna karnacja zachwyciły Jamesa. Jej sylwetka była wiotka i pełna gracji jak u

najlepszych modelek, lecz Anne miała ponadto prezencję, o jakiej większość z nich mogłaby tylko marzyć. James był urzeczony i pragnął, by przemówiła.

Anne zdążyła przywyknąć do umizgów mężczyzn, ale wzmianka o lordzie Lichfeldzie zaskoczyła ją. Jeśli to jego przyjaciel, nie może być bezceremonialna. Powściągliwość miała zresztą swój wdzięk. James nieraz stosował tę metodę z dużym powodzeniem, ale tym razem zrobił to szczerze. Spróbował jeszcze raz:

– Praca modelki musi być piekielnie trudna.

Co za idiotyczna odzywka, pomyślał. Dlaczego nie mógł jej po prostu powiedzieć: Myślę, że jesteś absolutnie fantastyczna. Porozmawiajmy serio i jeśli nadal będziesz mi się tak bardzo podobać, przestańmy się bawić w kotka i myszkę. Ale nic z tego. Wiedział, że musi zastosować normalne reguły gry.

– Nie jest tak źle, jeśli kontrakty są korzystne – wyjaśniła Anne. – Ale dzisiaj był wyjątkowo męczący dzień. – Miała miły głos i Jamesowi podobał się lekki amerykański akcent. – Pozowałam do zdjęć reklamujących pastę do zębów Close Up i cały dzień musiałam się śmiać, bo fotograf wciąż był niezadowolony. Na szczęście skończyło się dzień wcześniej, niż planowano. Skąd pan zna Patricka?

– Na pierwszym roku w Harrow wyznaczani byliśmy we dwójkę do obsługi kolegów ze starszych klas. Patrick był lepszy ode mnie w wymigiwaniu się od zajęć.

Anne zaśmiała się – ciepło, subtelnie. Nie ulegało wątpliwości, że dobrze znał lorda Lichfelda.

– Często się widujecie?

– Przypadkowo na przyjęciach. Dużo panią fotografuje?

– Nie – powiedziała Anne. – Zrobił mi tylko to jedno zdjęcie dla „Vogue'a”.

Zajęci rozmową nie zauważyli nawet, kiedy minęło trzydzieści pięć minut podróży z Reading do Londynu. Gdy szli peronem na Paddington, James zaryzykował:

– Czy mógłbym odwieźć panią do domu? Mój samochód stoi niedaleko, na Craven Street.

Anne zgodziła się chętnie, zadowolona, że nie musi szukać taksówki o tak późnej porze.

James odwiózł ją swoim alfa romeo. Postanowił już, że niedługo pozbędzie się owego luksusu ze względu na rosnącą cenę benzyny i malejący dopływ gotówki. Dowcipkował przez całą drogę. Okazało się, że Anne mieszka w bloku na Cheyne Row nad Tamizą. Ku jej zdziwieniu wysadził ją przed bramą i pożegnał się. Nie spytał nawet o numer telefonu, a znał tylko jej imię. Nie wiedziała nawet, jak się nazywa. Szkoda, pomyślała, zamykając za sobą frontowe drzwi. Był inny niż ci wszyscy faceci kręcący się przy reklamie, którym się wydaje, że mogą sobie rościć automatycznie prawa do dziewczyny, skoro pozuje w staniku.

James wiedział, co robi. Przekonał się nieraz, że dziewczynie najbardziej pochlebia, jeśli dzwoni się wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewa. Miał wypróbowaną taktykę. Starał się stworzyć wrażenie – zwłaszcza jeśli pierwsze spotkanie było udane – że widzą się po raz ostatni. Wrócił do siebie na King's Road i ocenił sytuację. W odróżnieniu od Stephena, Robina i Jean-Pierre'a nie miał pojęcia, jak się zabrać do sprawy Harveya Metcalfe'a. Ale za to snuł plany podboju Anne.

Stephen obudził się rano i postanowił zebrać jeszcze trochę informacji. Na początek zapoznał się dokładnie ze strukturą organizacyjną

uniwersytetu. Odwiedził w Gmachu Clarendona biuro wicekanclerza i zarzucił jego osobistą sekretarkę, panią Smallwood, dziwnymi pytaniami. Zaintrygował ją w najwyższym stopniu. Następnie poszedł do biura sekretarza uniwersytetu, gdzie był równie dociekliwy. Zakończył dzień wizytą w Bibliotece Bodleyańskiej, gdzie zajął się kopiowaniem niektórych statutów uniwersyteckich. W najbliższych dwóch tygodniach odwiedził jeszcze zakład krawiecki Shepherda i Woodwarda i spędził dzień w Teatrze Sheldona, by obejrzeć krótką ceremonię nadania grupie studentów bakalaureatu. Przestudiował także rozkład Randolpha, największego hotelu w Oksfordzie. Uczynił to tak gruntownie, że zwrócił na siebie uwagę kierownika i musiał się wynieść, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Na koniec zrobił jeszcze jeden wypad do Gmachu Clarendona, gdzie spotkał się ze strażnikiem szkatuły uniwersytetu, a następnie zwiedził budynek z portierem jako przewodnikiem. Stephen uprzedził go, że przypuszczalnie będzie oprowadzał gościa z Ameryki w dniu uroczystych obchodów Encaenii, nie wdawał się jednak w szczegóły.

– Ale to nie będzie łatwe... – zaczął portier. Stephen powoli i starannie złożył banknot funtowy i podał mu – ...chociaż myślę, że coś da się wykombinować.

W wolnych chwilach między wędrówkami po mieście uniwersyteckim Stephen dużo rozmyślał, zagłębiony w skórzanym fotelu, i jeszcze więcej pisał przy swoim biurku. Przed upływem czternastu dni plan był opracowany w najdrobniejszych szczegółach i gotowy do przedstawienia tamtym trzem. Zmontował przedstawienie, jak by powiedział Harvey Metcalfe, i zamierzał dopilnować, żeby nie zrobiło klapy.

Następnego dnia po kolacji w Oksfordzie Robin wstał wcześnie i przy śniadaniu unikał, jak mógł, kłopotliwych pytań żony na temat wczorajszego wieczoru. Wyrwał się do Londynu najwcześniej, jak się dało. Na Harley

Street powitała go jego sprawna sekretarka i recepcjonistka w jednej osobie, panna Meikle.

Elspeth Meikle była pełną oddania, surową Szkotką, która swoją pracę traktowała jako powołanie. Jej przywiązanie do Robina – nigdy by się tak do niego nie zwróciła, nawet w myślach – rzucało się wszystkim w oczy.

– Panno Meikle, podczas najbliższych dwóch tygodni chcę maksymalnie ograniczyć przyjęcia.

– Rozumiem, doktorze.

– Muszę przeprowadzić pewne badania i nie chciałbym, żeby mi przeszkadzano, kiedy będę sam w gabinecie.

Panna Meikle była trochę zaskoczona. Zawsze uważała doktora Oakleya za dobrego lekarza, ale jak dotąd nigdy nie zauważyła, żeby przesadzał z pracą naukową. Odeszła, bezszelestnie stąpając w swych białych bucikach, ażeby wpuścić pierwszą z gromadki zachwycająco zdrowych dam do pokoju przyjęć.

Robin pozbył się pacjentek w tempie, które trudno by nazwać majestatycznym. Nie poszedł na lunch i rozpoczął popołudnie od wykonania telefonów do szpitala w Bostonie i do wybitnego gastroenterologa, u którego był praktykantem w Cambridge. Następnie uruchomił brzęczyk, wzywając pannę Meikle.

– Czy mogłaby pani wpaść do księgarni Lewisa i przynieść mi dwie książki? Potrzebne mi jest ostatnie wydanie *Toksykologii klinicznej* Polsona i Tattersalla i praca Hardinga Raina na temat jamy brzusznej i pęcherzyka żółciowego.

– Tak, proszę pana – odrzekła, nie przejmując się wcale, że musi przerwać posiłek.

Zanim pozałatwiał telefony, książki leżały już na biurku. Natychmiast zaczął z uwagą czytać dłuższe fragmenty. Następnego dnia odwołał

przedpołudniowe przyjęcia i wybrał się do Szpitala Świętego Tomasza, by asystować swoim dwóm kolegom przy pracy. Był coraz bardziej przekonany, że plan, który obmyślił, ma szanse powodzenia. Powrócił na Harley Street i sporządził notatki na temat metod zaobserwowanych przed południem, zupełnie jak za studenckich lat. Zrobił przerwę i przywołał na myśl słowa Stephena: „Myśl tak, jak by myślał Harvey Metcalfe. Po raz pierwszy w życiu myśl nie jak ostrożny profesjonalista, lecz jak ryzykant, jak człowiek rzucający się na nowe przedsięwzięcie”.

Robin przestrajał się na długość fal Harveya i wiedział, że gdy nadejdzie pora, będzie gotów do konfrontacji z Amerykaninem, Francuzem i lordem. Czy tylko zgodzą się na jego plan? Czekał niecierpliwie na spotkanie.

Jean-Pierre wrócił następnego dnia z Oksfordu. Żaden z młodych artystów nie wywarł na nim specjalnego wrażenia, chociaż martwe natury Briana Davisa uznał za interesujące i zanotował sobie w pamięci, żeby w przyszłości zwrócić na niego uwagę. W Londynie, podobnie jak Robin i Stephen, przystąpił do zbierania informacji. Niejasny pomysł, który zaświtał mu w głowie w hotelu Eastgate, zaczynał się krystalizować. Dzięki swym licznym kontaktom w świecie sztuki ustalił wszystkie transakcje kupna i sprzedaży płócien wybitniejszych impresjonistów w ostatnich dwudziestu latach i sporządził listę obrazów, które przypuszczalnie znajdowały się obecnie na rynku. Następnie skontaktował się z człowiekiem, od którego zależało urzeczywistnienie planu. Na szczęście David Stein, bez którego pomocy Jean-Pierre nie mógłby kiwnąć palcem, był w Anglii i mógł się z nim spotkać: ale czy zgodzi się na jego plan?

Stein zjawił się następnego dnia późnym popołudniem. Spędzili z Jean-Pierre'em dwie godziny sam na sam w małym pokoiku w podziemiu galerii Lamannsa. Po odejściu Steina Jean-Pierre uśmiechnął się pod nosem.

Jeszcze popołudnie spędzone w ambasadzie niemieckiej przy Belgrave Square, jeszcze tylko telefon do doktora Wormita z Preussischer Kulturbesitz w Berlinie i do madame Tellegen z Rijksbureau w Hadze – i wiedział wszystko, co mu było potrzebne. Nawet sam Metcalfe miałby go za co pochwalić. Tym razem nie będzie żadnego ratowania Francuzów. Amerykanin z Anglikiem lepiej niech się pilnują, kiedy im przedstawi swój plan.

Kiedy James obudził się rano, ani mu w głowie była rozgrywka z Metcalfe'em. Myślał o ważniejszych sprawach. Wykręcił numer domowy Patricka Lichfelda.

– Patrick?

– Tak – mruknął zaspany głos.

– James Brigsley przy telefonie.

– O, jak się masz, James. Nie widziałem cię kawał czasu. Dlaczego budzisz człowieka o takiej nieprzyzwoitej porze?

– Już dziesiąta, Patrick.

– Naprawdę? Wczorajszą noc spędziłem na balu przy Berkeley Square i położyłem się spać o czwartej nad ranem. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Fotografowałeś dla „Vogue'a” dziewczynę, ma na imię Anne.

– Summerton – powiedział Patrick bez wahania. – Wziąłem ją z agencji Stacpoole'a.

– Jaka jest?

– Skąd mam wiedzieć – odparł Patrick. – Świetna dziewczyna. Ale uznała, że nie jestem w jej typie.

– Ta kobieta zna się na rzeczy. Śpij dalej. – James odłożył słuchawkę.

Anne Summerton nie figurowała w książce telefonicznej – zatem z tego zagrania nici. James leżał w łóżku, skrobiąc szczeciniasty podbródek; nagle

w jego oczach pojawił się wyraz triumfu. Szybko przerzucił książkę telefoniczną – tom od litery S do Z – i znalazł to, czego szukał. Wykręcił numer.

– Agencja Stacpoole' a.

– Czy mógłbym mówić z dyrektorem?

– Kto dzwoni?

– Lord Brigsley.

– Już łączę, milordzie.

James usłyszał brzęknięcie i za chwilę głos dyrektora:

– Dzień dobry, milordzie. Michael Stacpoole przy telefonie. Czy mógłbym panu w czymś pomóc?

– Mam nadzieję, że tak. W ostatniej chwili zrobiono mi zawód i poszukuję modelki na otwarcie sklepu z antykami. Dziewczyny z klasą. Wie pan, o co chodzi.

James opisał Anne tak, jakby jej nigdy nie spotkał.

– Mamy dwie modelki, które by się nadawały – powiedział Stacpoole. – Pauline Stone i Anne Summerton. Niestety, Pauline jest dzisiaj w Birmingham na prezentacji nowego typu samochodu Allegro, Anne z kolei kończy w Oksfordzie zdjęcia reklamowe pasty do zębów.

– Dziewczyna potrzebna mi jest dzisiaj – oświadczył James. Miał na końcu języka, że Anne już wróciła. – Gdyby któraś z nich była przypadkiem osiągalna, proszę o telefon pod numer 735-7227.

James odłożył słuchawkę, trochę zawiedziony. Pomyślał, że jeśli dzisiaj nic z tego nie wyjdzie, to zajmie się przygotowaniem swojej roli w występie zespołu kontra Metcalfe. Właśnie zrezygnowany zamierzał już pogodzić się z losem, kiedy zadzwonił telefon. Ostry, piskliwy głos oznajmił:

– Tu agencja Stacpoole'a. Szef chce mówić z lordem Brigsleyem.

– Przy telefonie.

– Łączę.

– Lord Brigsley?

– Tak.

– Mówi Stacpoole. Okazało się, że Anne Summerton jest dziś wolna. Kiedy ma przyjść do sklepu?

– Och. – James zawahał się sekundę. – Sklep mieści się przy Berkeley Street, koło restauracji Empress. Zwie się Antyki Albemarle. Może spotkalibyśmy się za piętnaście pierwsza przed sklepem?

– Jestem pewien, że to będzie odpowiadało Anne. Jeśli nie zadzwonię w ciągu dziesięciu minut, sprawa będzie aktualna. Prosimy uprzejmie o wiadomość, czy dziewczyna się nadaje. Na ogół wolimy, żeby klienci zgłaszali się do nas osobiście, ale jestem pewien, że tym razem możemy zrobić wyjątek.

– Dziękuję – powiedział James i zadowolony z siebie położył słuchawkę.

James stanął przy wejściu do hotelu Mayfair, po zachodniej stronie Berkeley Street; mógł stąd zobaczyć, skąd dziewczyna nadejdzie. Gdy szło o pracę, Anne była zawsze punktualna i o dwunastej czterdzieści pojawiła się od strony Piccadilly. Była w spódnicy o najmodniejszej długości i tym razem James mógł się przekonać, że ma szczupłe i zgrabne nogi. Zatrzymała się przed restauracją Empress i zdezorientowana spojrzała na brazylijskie centrum handlowe po prawej stronie i salony wystawowe Rolls-Royce'a po lewej. James dużymi krokami przeciął jezdnię i podszedł do Anne z szerokim uśmiechem.

– Dzień dobry – rzucił beztrosko.

– O, to pan. – Anne była zdziwiona. – Co za przypadek.

– Co pani tu robi sama i zagubiona? – zagadnął James.

– Usiłuję znaleźć sklep Antyki Albemarle. Może pan wie, gdzie to jest? Chyba mi podano inną ulicę. Skoro obraca się pan wśród lordów, może pan zna właściciela, lorda Brigsleya?

James uśmiechnął się.

– To ja.

Anne spojrzała zaskoczona, a po chwili wybuchnęła śmiechem. Odgadła wszystko i czuła się pochlebiona.

Zjedli razem obiad w Empress, gdzie, zdaniem Jamesa, karmiono najlepiej w całym Londynie. Wytłumaczył Anne, dlaczego była to ulubiona restauracja lorda Clarendona. Oświadczył on kiedyś: „Ot, bywają tu milionerzy odrobinę grubsi z kochankami odrobinę chudszymi niż w innych restauracjach w mieście”.

Obiad był świetny, a James musiał przyznać, że Anne to dziewczyna, jakiej nie spotkał od lat. Po obiedzie spytała, na jaki adres agencja ma wysłać rachunek.

– Wziąwszy pod uwagę moje plany, niech się lepiej przygotują na wielkie straty finansowe – odparł James.

VII

Stephen mocno uścisnął dłoń Jamesa, jak to jest w zwyczaju Amerykanów, i podał mu dużą whisky z lodem. Imponująca pamięć, pomyślał James, pociągając łyk dla dodania sobie odwagi, po czym dołączył do Robina i Jean-Pierre'a. Zgodnie z milczącym porozumieniem nikt nie wspomniał o Metcalfe. Gawędzili o błahostkach, każdy ze swoją teczką w ręku, póki Stephen nie zaprosił ich do stołu. Tym razem mistrz kuchni i szef służby nie mieli okazji popisania się swoimi talentami. Na stole stały zgrabnie ustawione talerzyki z kanapkami, piwo i kawa, i nie było widać służby.

– To jest kolacja robocza – oznajmił stanowczym głosem Stephen – a ponieważ rachunki będzie płacił Harvey Metcalfe, postanowiłem zrezygnować z wystawnych przyjęć. Nie możemy utrudniać sobie niepotrzebnie zadania, przejadając setki dolarów za każdym spotkaniem.

Pozostała trójka zajęła w milczeniu miejsca, tymczasem Stephen wyjął gęsto zapisane arkusze.

– Zacznę od uwag ogólnych – zagaił. – Otóż zebrałem dodatkowe dane o planach Metcalfe'a na najbliższe miesiące. Latem każdego roku bierze on udział, jak się zdaje, w podobnej serii wydarzeń towarzyskich i sportowych. Większość udokumentowanych szczegółów macie w swoich teczkach. Ostatnie dane spisałem na osobnej kartce, którą należy włączyć do dossier pod numerem 38A. Oto jej treść:

„Harvey Metcalfe przybędzie do Anglii rankiem 21 czerwca na pokładzie statku *Queen Elizabeth 2*, przypływającego do Southampton. Zarezerwował już luksusową kabinę Trafalgar, a w firmie Guya Salmona zamówił rolls-royce'a z szoferem, który go zawiezie do Claridge'a. Przez

dwa tygodnie będzie mieszkał w Apartamencie Królewskim. Ma miejsce abonamentowe na każdy dzień mistrzostw tenisowych w Wimbledonie. Po ich zakończeniu leci samolotem do Monte Carlo, gdzie spędzi kolejne dwa tygodnie na swym jachcie o nazwie Goniec. Następnie wraca do Londynu i do Claridge'a, żeby obejrzeć wyścig o nagrodę króla Jerzego VI i królowej Elżbiety w Ascot, w którym pobiegnie jego klacz Rosalie. Ma zarezerwowaną lożę na całe pięć dni Tygodnia w Ascot. Powróci do Ameryki odrzutowcem linii Pan American startującym z londyńskiego lotniska Heathrow 29 lipca, godzina 11.15, lot nr 009, lądującym na międzynarodowym lotnisku Logana pod Bostonem".

Trzej pozostali członkowie zespołu włączyli stronę 38A do teczek, pełni podziwu dla Stephena za zdobycie tak szczegółowych informacji. James dostał mdłości, lecz na pewno doskonałe kanapki z łososiem nie miały z tym nic wspólnego.

– Teraz musimy podjąć decyzję, jak rozplanować terminy poszczególnych operacji w czasie pobytu Metcalfe'a w Europie. Robin, jaki byś wybrał okres?

– Monte Carlo – odparł bez wahania Robin. – Muszę dopaść drania na obcym gruncie.

– Czy komuś jeszcze zależy na Monte Carlo?

Nikt się nie odezwał.

– A ty, Jean-Pierre?

– Wybieram dwutygodniowy okres mistrzostw na kortach Wimbledonu.

– Jeszcze ktoś chętny?

Znów odpowiedziało mu milczenie. Mówił dalej:

– Dla mojej operacji najlepszy byłby czas wyścigów w Ascot oraz krótki okres przed powrotem Metcalfe'a do Ameryki. A co z tobą, James?

– Mnie to jest obojętne – odparł niepewnie zapytany.

– W porządku – powiedział Stephen.

Wszyscy z wyjątkiem Jamesa nabierali coraz większego animuszu.

– Teraz sprawa kosztów. Czy wszyscy przynieśli czeki na dziesięć tysięcy dolarów? Uważam, że należy prowadzić obliczenia w dolarach, tak jak Metcalfe.

Każdy z członków zespołu podał Stephenowi czek. Chociaż w tym nie jestem gorszy od innych, pomyślał James.

– Wydatki do dnia dzisiejszego?

Każdy podał mu kartkę z rachunkiem i Stephen zaczął liczyć na zgrabnym małym kalkulatorku HP 65. Cyferki błyskały czerwono w przyćmionym świetle pokoju.

– Na akcje wydaliśmy milion dolarów. Koszty wynoszą na razie sto czterdzieści dwa dolary, czyli pan Metcalfe jest nam winien ni mniej, ni więcej tylko milion sto czterdzieści dwa dolary. Co do grosza – powtórzył. – Teraz przechodzimy do naszych planów. Omówimy je w takiej kolejności, w jakiej odbędzie się egzekucja długu. – Stephen zadowolony był z tego słowa. – Jean-Pierre, Robin, ja i na końcu James. Proszę, twoja kolej, Jean-Pierre.

Jean-Pierre otworzył dużą kopertę i wyjął cztery komplety dokumentów. Postanowił pokazać, że dorównuje zarówno Stephenowi, jak i Metcalfe'owi. Wszystkim wręczył fotografie i mapy drogowe West Endu i Mayfair. Każda ulica oznaczona była cyfrą wskazującą, ile minut trzeba na jej przejście. Jean-Pierre szczegółowo przedstawił swój plan, poczynając od opisu rozstrzygającego spotkania z Davidem Steinem i kończąc na omówieniu ról, jakie przeznaczył pozostałym członkom zespołu.

– Krytycznego dnia wszyscy będziecie mi potrzebni. Robin będzie dziennikarzem, James przedstawicielem domu aukcyjnego Sotheby'ego, a ty, Stephen, wystąpisz w roli kupca. Musisz się nauczyć mówić po

angielsku z niemieckim akcentem. Potrzebne też będą dwa miejsca na cały turniej tenisowy na korcie centralnym Wimbledonu, naprzeciw loży abonamentowej Harveya.

Jean-Pierre zajrzał do notatek.

– Ściślej mówiąc, loży numer siedemnaście. Czy możesz to załatwić, James?

– Bez problemu. Jutro rano pogadam z Mike'em Gibsonem, sędzią klubowym.

– Świetnie. I jeszcze jedno. Musicie wszyscy nauczyć się posługiwać tymi magicznymi pudełeczkami. Są to radiotelefony kieszonkowe firmy Pye i trzeba pamiętać, że ich posiadanie i używanie jest nielegalne.

Jean-Pierre wyjął cztery miniaturowe aparaciki i trzy wręczył Stephenowi.

– Czy są jakieś pytania?

Odpowiedział mu szmer aprobaty. Plan Jean-Pierre'a był zapięty na ostatni guzik.

– Gratuluję – powiedział Stephen. – To powinien być dobry początek. Twoja kolej, Robin.

Robin zaprezentował wyniki pracy, jaką wykonał w ciągu ostatnich czternastu dni. Opowiedział o spotkaniu ze specjalistą i wyjaśnił toksyczne działanie leków w rodzaju antycholinesterazy.

– Ten numer nie przejdzie łatwo. Musimy zachować cierpliwość i czekać na odpowiednią okazję. Ale przez cały czas pobytu Metcalfe'a w Monte Carlo musimy być w każdej chwili gotowi do działania.

– Gdzie zatrzymamy się w Monte Carlo? – spytał James. – Ja mieszkam zazwyczaj w hotelu Metropole. Lepiej się tam nie pokazywać.

– W porządku, James. Wstępnie zarezerwowałem pokoje w Hôtel de Paris między dwudziestym dziewiątym czerwca i czwartym lipca. Ale

przedtem musicie wszyscy wziąć udział w próbnych sesjach w Szpitalu Świętego Tomasza.

Wszyscy zajrzeli do kalendarzy i uzgodnili serię spotkań.

– Proszę, oto egzemplarz *Krótkiego podręcznika medycyny* Houstona dla każdego z was. Przeczytajcie rozdział o ciężkich ranach ciętych i tłuczonych. Nie chcę, żebyście stali jak trąby, kiedy wszyscy będziemy w bieli. Stephen, na początku następnego tygodnia zaczniesz na Harley Street przyspieszony kurs medycyny, gdyż musisz być absolutnie przekonujący jako lekarz.

Robin wybrał Stephena, gdyż uznał, że jako naukowiec przyswoi sobie maksimum wiadomości w krótkim czasie, jaki pozostał.

– Jean-Pierre, przez cały najbliższy miesiąc musisz chodzić co wieczór do klubu gier hazardowych i opanować bezbłędnie bakarata i oko oraz nauczyć się grać bez przerwy przez kilka godzin, nie tracąc pieniędzy. Pomocna byłaby *Encyklopedia gier hazardowych, którą* można kupić u Hatchardsa. James, będziesz ćwiczył jazdę małą furgonetką w godzinach szczytu, zgłosisz się również na Harley Street w przyszłym tygodniu na wspólną próbę.

Zadziwił wszystkich. Jeśli odstawią ten numer, nie będzie dla nich rzeczy niewykonalnych. Robin dostrzegł napięcie w ich twarzach.

– Nie przejmujcie się – powiedział. – Moją profesją przez tysiące lat trudnili się szarlatani. Ludzie nigdy się nie spierają, mając do czynienia z profesjonalistą, a ty, Stephen, nim będziesz.

Stephen potaknął. Naukowcy bywają równie naiwni. Czy właśnie nie to przydarzyło się im wszystkim z Prospecta Oil?

– Zapamiętajcie sobie uwagę Stephena ze strony trzydziestej trzeciej... „Cały czas musimy myśleć tak jak Harvey Metcalfe” – powiedział Robin.

Robin podał im jeszcze trochę szczegółów na temat metod postępowania w pewnych przypadkach. Następnie przez dwadzieścia osiem minut odpowiadał na dociekliwe pytania. W końcu Jean-Pierre zmiękł.

– Myślałem, że żaden z was mnie nie zakasuje, ale muszę przyznać, że plan Robina jest błyskotliwy. Jeśli dobrze wszystko zgramy, wystarczy tylko łut szczęścia.

Samopoczucie Jamesa pogarszało się zdecydowanie, w miarę jak zbliżała się jego kolej. Żałował, że przyjął zaproszenie na kolację i że nakłaniał innych, by podjęli wyzwanie Stephena. Mógł się tylko pocieszać, że zadania, jakie miał spełnić w dwu pierwszych operacjach, go nie przerastają.

– Brawo, panowie – powiedział Stephen – spisaliście się na medal. Ale dopiero realizacja mojego planu będzie nie lada wyczynem.

Stephen zrelacjonował wyniki badań, jakie przeprowadził w ciągu ubiegłych dwu tygodni, i wyjawił założenia swego planu. Czuli się wszyscy niemal jak żacy w obliczu profesora. Stephen przybrał bezwiednie ton protekcjonalny; była to maniera, z której jak tylu innych nauczycieli akademickich nie potrafił się wyzwolić podczas spotkań towarzyskich. Pokazał im terminarz letniego trymestru i plan pracy w poszczególnych tygodniach, rolę kanclerza, wicekanclerza, sekretarza uniwersytetu i strażnika szkatuły uniwersytetu. Tak jak Jean-Pierre każdemu wręczył mapę, tym razem Oksfordu. Dokładnie oznaczył drogę z Teatru Sheldona do kolegium Lincolnu i stamtąd do hotelu Randolph, ponadto naszkicował drugą wersję planu na ewentualność, gdyby Harvey Metcalfe uparł się jechać samochodem mimo skomplikowanego systemu jednokierunkowego.

– Robin, musisz się gruntownie zaznajomić z czynnościami wicekanclerza podczas obchodów Encaenii. Tu będzie tak samo jak w Cambridge; w obu uniwersytetach jest podobnie, ale nie identycznie. Jest

konieczne, abyś dokładnie poznał trasy, którymi może przechodzić tego dnia. Postarałem się, żebyś w decydującym dniu miał do dyspozycji pokój w kolegium Lincolnu. Jean-Pierre, przestudiujesz i opanujesz do perfekcji zakres obowiązków sekretarza Uniwersytetu Oksfordzkiego. Zapoznasz się z wariantem trasy zaznaczonym na twojej mapie, gdyż w żadnym wypadku nie możesz spotkać się twarzą w twarz z Robinem. James, dowiesz się, jak wygląda praca strażnika szkatuły uniwersytetu – ustalisz, gdzie się mieści jego biuro, z jakimi bankami współpracują i jak realizowane są czeki. Trasy, jakie prawdopodobnie wybierze w dniu święta, musisz znać tak, jakby znajdowały się w posiadłości twego ojca. Moja rola jest najłatwiejsza, ponieważ będę sobą – prócz nazwiska. Koniecznie musicie się nauczyć prawidłowo zwracać do siebie. Zrobimy próbę kostiumową dziewiątego tygodnia trymestru, w czwartek, gdy na uniwersytecie jest spokojnie. Czy macie jakieś pytania?

Panowało milczenie. Milczenie pełne respektu. Dla wszystkich było oczywiste, że scenariusz Stephena wymaga synchronizacji co do ułamka sekundy i że należy go kilkakrotnie wypróbować, biorąc pod uwagę nieprzewidziane zwroty sytuacji. Jeśli jednak wypadną przekonywająco, zatriumfują.

– Zagrywka w Ascot będzie prosta. Tyle tylko, że Jean-Pierre i James powinni być w sektorze klubowym. Potrzebne mi będą dwa bilety i liczę w tej sprawie na ciebie, James.

– Nie bilety, tylko odznaki klubowe, Stephen – poprawił go James.

– Ach tak? Poza tym któryś z was powinien wysłać bardzo ważny telegram z Londynu. To musisz być ty, Robin.

– Załatwione – zgodził się Robin.

Prawie godzinę zarzucali Stephena pytaniami, chcieli bowiem tak dobrze poznać plan Stephena jak on sam.

James o nic nie pytał. Siedział rozkojarzony i marzył, żeby zapaść się pod ziemię. Zaczął już żałować, że poznał Anne, chociaż trudno było ją tu o coś winić. Zresztą, prawdę mówiąc, nie mógł się doczekać, kiedy ją znów zobaczy. Co by tu rzec, gdy...

– Obudź się, James – powiedział ostro Stephen. – Wszyscy czekamy.

Utkwili w nim wzrok. Rzucili na stół asa kier, karo i pik. Czy przebije ich asem atutowym? Wpadł w panikę i sięgnął po whisky.

– Ty tępy arystokratyczny bubku – nie wytrzymał Jean-Pierre. – Nie masz żadnego pomysłu, co?

– No cóż, poświęciłem temu problemowi wiele uwagi, ale nic nie przyszło mi do głowy.

– Do niczego – żachnął się Robin. – Beznadziejna sprawa.

James żałośnie się jąkał. Stephen mu przerwał.

– Słuchaj, James, słuchaj uważnie. Spotkamy się tu znowu za dwadzieścia jeden dni. Do tej pory każdy musi znać plany innych jak własną kieszeń. Jeden błąd i leżymy. Rozumiesz?

James kiwnął głową – postanowił, że w tym ich nie zawiedzie.

– Co więcej – dodał stanowczo Stephen – twój plan musi być do tego czasu gotowy.

– Tak – wybąkał James.

– Czy są jakieś pytania?

Nie było.

– Dobrze. Omówimy jeszcze raz wszystkie trzy operacje w całości.

Stephen zignorował pomruki niezadowolenia.

– Pamiętajcie, porywamy się na człowieka, który nie zwykł przegrywać. Mamy tylko jedną szansę.

Przez półtorej godziny omawiali szczegółowo każdą operację w kolejności realizacji – najpierw Jean-Pierre'a podczas mistrzostw w Wimbledonie, potem Robina w Monte Carlo i wreszcie Stephena w trakcie i po wyścigach w Ascot.

Kiedy w końcu wstali od stołu, zrobiło się późno i wszyscy byli zmęczeni. Rozchodzili się sennie, każdy miał do spełnienia kilka zadań przed następnym spotkaniem. Każdy poszedł w swoją stronę, ale wszyscy mieli się znów zobaczyć w następny piątek w sali operacyjnej Jerycho Szpitala Świętego Tomasza.

VIII

Przez całe dwadzieścia dni wszyscy pracowali jak opętani. Każdy z nich musiał się wyuczyć kilku ról i dopracować własny plan. W piątek przybyli na pierwszą z licznych praktyk w Szpitalu Świętego Tomasza, która byłaby w pełni udana, gdyby nie to, że James zemdlał. To nie widok krwi tak na niego podziałał, wystarczyło, że ujrzał skalpel. Tyle tylko zyskał, że nie musiał się tłumaczyć, dlaczego jeszcze niczego nie wymyślił.

W następnym tygodniu byli zajęci niemal od rana do wieczora. Stephen odbywał kieszonkowy kurs w pewnej dziedzinie medycyny, kurs na całkiem wysokim poziomie.

James przez kilka godzin w porze szczytu kursował starą furgonetką między Szpitalem Świętego Tomasza i Harley Street, ćwicząc do rajdu po ulicach Monte Carlo, który, jak podejrzewał, będzie znacznie łatwiejszy. Spędził też tydzień w Oksfordzie, zgłębiając tajniki urzędu strażnika szkatuły uniwersyteckiej i badając zwyczaje pana Castona, który ów urząd pełnił.

Jean-Pierre, za cenę dwudziestu pięciu funtów z kiesy Metcalfe'a, po dwóch dobach oczekiwania został zagranicznym członkiem najszacowniejszego w Londynie klubu gier hazardowych The Claremont i spędzał wieczory, patrząc, jak bogaci i leniwi rżną w oko i bakarata przy stawkach często sięgających tysiąca funtów. Po trzech tygodniach obserwacji zdobył się na odwagę i zapisał do Złotej Bryłki, kasyna gry w Soho, gdzie stawki rzadko przekraczały pięć funtów. Po miesiącu miał za sobą pięćdziesiąt sześć godzin gry i tylko drobne straty.

James miał wciąż to samo zmartwienie – brak własnego planu. Im dłużej zmagał się z tym problemem, tym bardziej mu się wymykał. Myślał o tym bezustannie nawet wówczas, gdy pełnym gazem jeździł po ulicach Londynu. Któregoś wieczoru po odprowadzeniu furgonetki do Carniego na Lots Road w Chelsea wsiadł do alfy romeo i pojechał nad rzekę, do Anne, bijąc się z myślami, czy jej się zwierzyć.

Anne przyrządziła mu na kolację coś specjalnego. Zdawała sobie sprawę, że James nie tylko ceni sobie dobrą kuchnię, ale że w ogóle nie wyobraża sobie innej. Hiszpańskie gazpacho, które ugotowała, miało doskonały aromat, a *coq au vin* było już prawie gotowe. Ostatnio Anne unikała zleceń wymagających wyjazdu z Londynu, gdyż nie chciała nawet na krótko rozstawać się z Jamesem. Był od dłuższego czasu pierwszym mężczyzną, z którym miała ochotę iść do łóżka – ale on jak do tej pory nie starał się wyjść poza jadalnię.

James przyniósł butelkę Beaune Montée Rouge z roku 1971 – nawet jego zapasy wina były na wyczerpaniu. Miał nadzieję, że się nie skończą, nim zaowocują plany zespołu. Nie żeby przyznawał sobie automatycznie prawo do swej doli, skoro sam nic jeszcze nie wniósł, co to, to nie.

Anne wyglądała olśniewająco. Miała na sobie długą czarną suknię z miękkiego materiału, która z prowokującą dyskrecją opływała figurę. Była bez makijażu, bez żadnej biżuterii, jej gęste włosy połyskiwały w blasku świec. Kolacja była triumfem Anne; James czuł narastające pożądanie. Ona robiła wrażenie wzburzonej; rozsypała trochę mielonej kawy, filtrując dwie mocne porcje do filigranowych filiżanek. O czym myślała? Nie chciał się narzucać z niewczesnymi zalotami. James miał o wiele większe doświadczenie, jak być kochanym, niż jak kochać. Przywykł do uwielbienia, często lądował w łóżku z dziewczynami, których widok w jasnym, chłodnym świetle poranka przyprawiał go o dreszcz zgrozy. Z nią

było zupełnie inaczej. Chciał, żeby była blisko, mieć ją dla siebie, kochać. A ponad wszystko pragnął, żeby była przy nim rano.

Sprzątnęła ze stołu, unikając wzroku Jamesa. Pili teraz koniak i słuchali Leny Horn, która śpiewała: *Doskonale radzę sobie bez ciebie*. Anne, obejmując rękami kolana, siedziała u stóp Jamesa i wpatrywała się w ogień. Z wahaniem wyciągnął rękę i pogładził jej włosy. Przez moment trwała nieporuszona, a potem przechyliła głowę do tyłu i przyciągnęła go, zbliżając jego twarz do swojej. Pochylił się, ujął w dłonie jej głowę, musnął ustami policzek i nos, delikatnie błądząc palcami po szyi i uszach dziewczyny. Skóra Anne pachniała delikatnie jaśminem, usta rozchylone w uśmiechu zalśniły w blasku ognia z kominka. Pocałował ją i przesunął dłońmi w dół. Wydała mu się drobna i delikatna. Łagodnie popieścił jej piersi, zsunął się z krzesła i mocno do niej przylgnął. Bez słowa sięgnął ręką do jej pleców, rozsunął zamek błyskawiczny i patrzył, jak suknia opada na podłogę. Wstał, nie spuszczając z Anne wzroku, i szybko zrzucił ubranie. Zerknęła na niego i uśmiechnęła się spłoszona.

– Najmilszy – powiedziała miękko.

Kochali się jak dwoje zakochanych, których łączy nie tylko namiętność; potem Anne położyła mu głowę na ramieniu i zaczęła gładzić koniuszkami palców włosy na jego piersi.

– O co chodzi, James? Wiem, że jestem dość nieśmiała, ale to...

– Byłaś cudowna. Fantastyczna. Nie w tym rzecz. Anne, muszę ci coś powiedzieć. Leż spokojnie i słuchaj.

– Jesteś żonaty.

– Nie, dużo gorzej. – James zamilkł, zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Bywają w życiu sytuacje, kiedy wyznania przychodzą łatwiej; James wyrzucał z siebie słowa gorączkowo i chaotycznie. – Anne,

kochanie, postąpiłem jak kretyn, dałem się wykiwać szajce oszustów, którzy nacięli mnie na duże pieniądze. Nie przyznałem się nawet rodzinie, okropnie by się zmartwili, gdyby to wyszło na jaw. Na dobitek dogadałem się z trzema facetami, którzy wpadli tak jak ja, i teraz usiłujemy razem odzyskać nasze pieniądze. To świetne chłopaki, sypią pomysłami na zawołanie, a ja nie mam bladego pojęcia, jak odzyskać swoją dolę. Nie dość, że się zadręczam, bo wyrzuciłem w błoto sto pięćdziesiąt tysięcy funtów, to jeszcze muszę sobie łamać głowę, usiłując coś sensownego wymyślić. Od miesiąca chodzę jak obłąkany. Tylko dzięki tobie nie postradałem zmysłów.

– James, opowiedz to jeszcze raz od początku, ale wolniej – poprosiła.

James wyjawił jej całą historię z Prospecta Oil, od spotkania Davida Keslera w Annabel po zaproszenie do Stephena Bradleya na kolację do Kolegium Magdaleny, i wyjaśnił, dlaczego jak maniak jeździ po mieście wynajętą furgonetką w godzinach szczytu. Jedyne, co pominął, to nazwisko przyszłej ofiary zespołu. Czuł, że zatajając je, nie łamie do końca przyrzeczenia dochowania tajemnicy, jakie dał trzem towarzyszom.

Anne zaciągnęła się bardzo głęboko papierosem.

– Nie wiem nawet, co powiedzieć. To nieprawdopodobne. Tak niewiarygodne, że wierzę w każde słowo.

– Ulżyło mi, że mogłem komuś się zwierzyć, ale byłoby fatalnie, gdyby tamci się dowiedzieli.

– James, wiesz, że nie powiem słowa nikomu. Strasznie mi przykro, że wplątałeś się w takie kłopoty. Zobaczymy, może mnie coś wpadnie do głowy? Dlaczego nie mielibyśmy popracować nad tym we dwójkę, nie mówiąc nic tamtym?

James już czuł się lepiej.

Pogładziła go po udzie. Po dwudziestu minutach błogo zasnęli, śniąc o tym, jak zwyciężyć Harveya Metcalfe'a.

IX

W Lincoln w stanie Massachusetts Harvey Metcalfe zaczął się przygotowywać do swej dorocznej podróży do Anglii. Zamierzał zabawić się szampańsko i nie żałować pieniędzy. Planował przekazanie dodatkowych kwot z tajnych kont w Zurychu do banku Barcleya przy Lombard Street w Londynie, by dokupić dla swej stadniny w Kentucky ogiera z irlandzkiej hodowli. Arlene zdecydowała, że nie pojedzie z Harveyem; nie interesowały jej specjalnie wyścigi w Ascot, a Monte Carlo jeszcze mniej. Poza tym chciała skorzystać z okazji i pojechać do Vermont, do chorej matki, która zresztą do tej pory nie przekonała się do swego opływającego w dostatki zięcia.

Harvey upewnił się, czy sekretarka załatwiła wszystkie sprawy związane z jego wyjazdem na wakacje. Co prawda nigdy nie było potrzeby kontrolowania panny Fish, ale Harvey miał po prostu taki zwyczaj. Panna Fish pracowała u niego od dwudziestu pięciu lat, od czasu, gdy przejął Lincoln Trust. Większość uczciwych pracowników odeszła z firmy z chwilą pojawienia się Harveya albo wkrótce potem, ale panna Fish została, skrywając w głębi mało powabnego łona słabnącą nadzieję poślubienia Harveya. Zanim Arlene pojawiła się na widowni, panna Fish była już sprawnym, absolutnie dyskretnym wspólnikiem sprawek Harveya, bez którego trudno byłoby mu się obejść. Opłacał ją odpowiednio, przełknęła więc gorycz zawodu, gdy Harvey wybrał inną, i została.

Panna Fish zarezerwowała już bilet na krótki lot do Nowego Jorku i kabinę Trafalgar na *Queen Elizabeth 2*. Harvey bywał odcięty od telefonu czy teleksu bodaj tylko w czasie podróży przez Atlantyk. Personel banku

dostał polecenie, żeby jedynie w wyjątkowo ważnym przypadku alarmować wielki statek pasażerski. W Southampton, jak zwykle, będzie czekał rolls-royce, który zawiezie Harveya do Londynu, a tam apartament u Claridge'a, należącego obok Connaught i Browna do ostatnich hoteli angielskich, gdzie dzięki swym pieniądzom mógł się otrzeć o towarzystwo, które określał mianem „pańskich sfer”.

Leciał do Nowego Jorku w doskonałym humorze; odprężył się i wypił kilka koktajli manhattan. Na pokładzie statku wszystko było jak zwykle bez zarzutu. Zawsze pierwszego wieczoru kapitan Peter Jackson zapraszał pasażerów z kabin Trafalgar i Queen Anne do swego stołu. Przy cenie 1250 dolarów za dobę nie był to ze strony towarzystwa linii okrętowych Cunard gest nazbyt ekstrawagancki. Harvey w takich okolicznościach starał się przybierać najlepsze maniery, choć i tak na postronnych robił wrażenie cokolwiek nieokrzesanego.

Jednego z włoskich stewardów obarczono zadaniem zaaranżowania drobnej rozrywki dla Metcalfe'a, najlepiej w postaci wysokiej blondyny z dużym biustem. Aktualna stawka wynosiła dwieście dolarów za noc, ale Włoch mógł bezkarnie ściągnąć z niego dwieście pięćdziesiąt. Harvey, który przy niskim wzroście ważył ponad dwieście funtów, miał znikome szanse poderwania jakiejś młódki w dyskotece, a na kolację i trunki mógłby roztrwonić tyle samo pieniędzy, i to bez żadnego efektu. Mężczyźni z pozycją Metcalfe'a nie mają czasu na tego rodzaju porażki i uważają, że wszystko w życiu można kupić za odpowiednią cenę. Pasażerowie spędzali na statku tylko pięć nocy, dzięki czemu steward mógł zadowolić Harveya, cieszył się jednak, że to nie trzytygodniowy rejs po Morzu Śródziemnym.

W dzień Harvey nadrabiał zaległości, czytając najnowsze powieści, jak mu przykazano, trochę ćwiczył – rano pływał, a po południu mozolił się w sali gimnastycznej. Postanowił schudnąć parę funtów w czasie podróży

morskiej, co byłoby miłą perspektywą, gdyby nie to, że u Claridge'a jakoś zawsze wracał do normalnej wagi jeszcze przed odlotem do Ameryki. Na szczęście ubierał się u Bernarda Weatherhilla z Dover Street na Mayfair, a ten, wytężając cały swój kunszt krawiecki, wyczarowywał garnitury, w których Harvey wyglądał raczej na mężczyznę mocno zbudowanego niż na zapasionego grubasa. Płacąc trzysta funtów za garnitur, doprawdy mógł tego wymagać.

Zbliżał się piąty, ostatni dzień podróży i Harvey nie mógł się już doczekać, kiedy znajdzie się na lądzie. Kobiety, ćwiczenia i świeże powietrze odrodziły go. Stracił podczas rejsu całe jedenaście funtów. Podejrzewał, że zawdzięcza to głównie młodej Hindusce, z którą spędził poprzednią noc; przy jej inwencji *Kamasutra* wyglądała na podręcznik dla harcerzy.

Jednym z przywilejów prawdziwego bogactwa jest to, że prace służebne zawsze można zlecić komuś innemu. Harvey już nie pamiętał, kiedy ostatnio pakował czy rozpakowywał walizkę, i gdy statek przybił do nabrzeża, nie zdziwił się, że wszystko jest przyszykowane i gotowe do okazania celnikom. Studolarowy banknot, jaki wsunął starszemu stewardowi, sprawił, że zewsząd zlatywali się ku niemu mężczyźni w białych kusych kurteczkach.

Harvey zawsze lubił wychodzić na ląd w Southampton. Anglicy byli plemieniem, do którego czuł sympatię, chociaż obawiał się, że nigdy nie zdoła ich zrozumieć. Dziwił się, że tak ochoczo pozwalają poniewierać sobą światu. Po zakończeniu drugiej wojny światowej wyrzekli się potęgi kolonialnej z nonszalancją, z jaką żaden biznesmen amerykański nie opuściłby nigdy sali posiedzeń rady nadzorczej. Harvey ostatecznie zrezygnował z prób zrozumienia brytyjskiego stylu prowadzenia interesów podczas dewaluacji funta w 1967 roku. Każdy najgłupszy spekulant na kuli

ziemskiej skorzystał na przeciekach informacji. We wtorek rano Harvey wiedział, że Harold Wilson może przeprowadzić dewaluację w każdej chwili po piątej po południu czasu Greenwich w piątek, kiedy Bank Anglii zamyka swe podwoje na weekend. We czwartek wiedział już o tym każdy aplikant w Lincoln Trust. Nic dziwnego, że Stara Dama z Threadneedle Street, Bank Anglii, została zniewolona i obrabowana z mniej więcej półtora miliarda funtów w ciągu kilku dni. Harveyowi nieraz przychodziło do głowy, że gdyby tylko Brytyjczycy ożywili atmosferę posiedzeń rad nadzorczych i prawidłowo ustawili strukturę podatków, mieliby szansę zostać najbogatszym narodem świata, a nie krajem, który – według „The Economist" – Arabowie mogliby sobie kupić za dziewięćdziesięciodniowe dochody z ropy naftowej. Dopóki Brytyjczycy flirtowali z socjalizmem i podtrzymywali uparcie *folie de grandeur*, zdawali się skazani na nicość. Ale mimo to Harvey ich uwielbiał.

Kroczył zamaszyście pomostem jak człowiek czynu. Nigdy nie potrafił całkiem się odprężyć, nawet podczas wakacji. Mógł wytrwać pięć dni w odcięciu od świata, ale gdyby został dłużej na *Queen Elizabeth 2*, rozpocząłby negocjacje w sprawie kupna Towarzystwa Parostatków Cunarda. Harvey spotkał kiedyś prezesa Cunarda Vica Matthewsa w Ascot i z zakłopotaniem wysłuchiwał jego gadaniny o prestiżu i reputacji towarzystwa. Spodziewał się, że Matthews pochwali się raczej bilansem. Naturalnie prestiż interesował Harveya, ale on sam zawsze najpierw informował, ile jest wart.

Odprawa celna przebiegła szybko jak zawsze. Harvey nigdy nie miał nic specjalnego do zadeklarowania, przybywając do Europy, i celnik po skontrolowaniu jego dwóch walizek firmy Gucci przepuścił bez sprawdzania pozostałych siedem. Szofer otworzył drzwi białego rolls-royce'a corniche. Mknęli szybko przez Hampshire i wpadli do Londynu po

dwu godzinach z niewielkim okładem, tak że Harvey miał jeszcze czas wypocząć przed kolacją.

Gdy samochód zajechał pod hotel, Albert, starszy portier u Claridge'a, wyprężył się i przytknął rękę do czapki. Znał Harveya od dawna i wiedział, że przyjechał jak zwykle obejrzeć mistrzostwa w Wimbledonie i wyścigi w Ascot. Za każdym razem, gdy otworzy drzwi białego rollsa, nieodmiennie dostanie pięćdziesiąt pensów napiwku. Harvey nie odróżniał monety pięćdziesięciopensowej od dziesięciopensowej – różnica, która była dla Alberta źródłem radości od momentu wprowadzenia w Wielkiej Brytanii systemu dziesiętnego.

Ponadto zawsze po zakończeniu mistrzostw w Wimbledonie Harvey wręczał Albertowi pięć funtów, jeśli w singlach zwyciężył Amerykanin. Jakiś Amerykanin nieodmiennie dochodził do finałów, więc Albert stawiał u Ladbrokesa na innego finalistę i tak czy tak wygrywał. Hazard pociągał jednakowo Harveya i Alberta, tyle że różnili się stawkami.

Albert dopilnował, żeby bagaż zaniesiono do Apartamentu Królewskiego, gdzie w tym roku mieszkali już król Grecji Konstantyn, księżna Grace z Monako i cesarz Etiopii, Hajle Sellasje – wszyscy z o wiele większym przekonaniem niż Harvey. Ale Harvey i tak był zdania, że on ma zagwarantowany doroczny pobyt u Claridge'a – oni nie.

Apartament królewski znajduje się na pierwszym piętrze; można tam dojść eleganckimi szerokimi schodami z parteru lub pojechać przestronną windą z osobnym miejscem siedzącym. Harvey zawsze jechał na górę windą, a na dół schodził. Uważał, że w ten sposób zażywa przynajmniej trochę ruchu. Apartament składał się z czterech pomieszczeń: niewielkiej garderoby, sypialni, łazienki i wytwornego salonu z oknami wychodzącymi na Brook Street. Meble i obrazy stwarzają złudzenie, że to wciąż jeszcze Anglia epoki wiktoriańskiej. W salonie jest dość miejsca i na przyjęcia

popołudniowe, i dla grubych ryb, zapraszanych przez przybywających z wizytą mężów stanu. Nie dalej jak przed czterema tygodniami Henry Kissinger podejmował tutaj Harolda Wilsona. Harveyowi ta myśl sprawiała przyjemność. Już bliżej nie mógł się o nich otrzeć.

Wziął prysznic, przebrał się, a potem przejrzał czekającą na niego korespondencję i teleksy z banku, w których nie było nic nowego. Uciął sobie krótką drzemkę przed zejściem na kolację, którą jadał w głównej sali restauracyjnej.

W ogromnym foyer ujrzał ten sam co zawsze kwartet smyczkowy; muzycy wyglądali na bezrobotnych uchodźców z Węgier. Harvey pamiętał nawet ich twarze. Osiągnął już wiek, kiedy nie lubi się zmian. Kierownictwo Claridge'a, świadome, że większość gości hotelowych przekroczyła pięćdziesiątkę, wychodziło naprzeciw ich upodobaniom. François, starszy kelner, zaprowadził Harveya do stolika, który zwykle zajmował.

Harvey uporał się z niedużą porcją sałatki z krewetek i średnio wysmażonym befsztykiem z polędwicy, do którego zamówił butelkę wina Mouton Cadet. Pochylając się nad ruchomym stolikiem ze słodyczami, nie dostrzegł czterech młodych mężczyzn, którzy jedli kolację we wnęce na drugim końcu sali.

Stephen, Robin, Jean-Pierre i James mieli doskonały widok na Harveya, on natomiast, żeby ich zobaczyć, musiałby się zgiąć wpół i odsunąć trochę do tyłu.

– Nieco inaczej sobie go wyobrażałem – zauważył Stephen.

– Ociupinę grubszy niż na fotografach, które skombinowałeś – odezwał się Jean-Pierre.

– Wydaje mi się nierealny po tym wszystkim – powiedział Robin.

– Nie martw się, ten łobuz żyje i w dodatku ma kieszenie wypchane naszymi pieniędzmi – uspokoił go Jean-Pierre.

James milczał. Wciąż był w niełasce od czasu ostatniej odprawy generalnej, na której nie zaprezentował żadnego pomysłu, tylko same wymówki, chociaż musieli przyznać, że gdziekolwiek z nim poszli, wszędzie ich pierwszorzędnie obsługiwano. U Claridge'a było podobnie.

– Jutro zaczyna się Wimbledon – odezwał się Jean-Pierre. – Ciekaw jestem, kto wygra pierwszą rundę.

– Na pewno ty – powiedział James. Chciał ułagodzić Jean-Pierre'a, który bezlitośnie szydził z jego nieudolności.

– Twoją rundę wygramy, jeśli zgłosisz nas do zawodów, James.

James znów pogrążył się w milczeniu.

– Przy tej tuszy Metcalfe'a numer Robina może nam ujść na sucho – odezwał się Stephen.

– Jeżeli wcześniej nie umrze na marskość wątroby – zauważył Robin. – Stephen, co myślisz o szansach powodzenia planu oksfordzkiego teraz, kiedy go zobaczyłeś?

– Trudno mi powiedzieć. Poczuję się pewniej po wizycie w jaskini lwa w Ascot. Chciałbym usłyszeć, jak mówi, zobaczyć, jak się zachowuje w swoim normalnym otoczeniu, wyczuć faceta. Nie można tego zrobić z drugiego końca sali restauracyjnej.

– Może nie będziesz musiał długo czekać. Niewykluczone, że jutro o tej porze będziemy wiedzieć wszystko albo wylądujemy w komisariacie policji na West Endzie – powiedział Robin. – Może nawet nie uda się nam wystartować w tej grze, wybulimy najwyżej dwie stówki.

– Musimy. Nie mogę sobie pozwolić na kaucję – oświadczył Jean-Pierre.

Harvey wychylił kielich przedniego koniaku Remy Martin i wstał od stołu, wsunąwszy starszemu kelnerowi nowiutki, szeleszczący banknot funtowy.

– A to drań – powiedział z pasją Jean-Pierre. – Nie dość, że skradł nam forsę, to jeszcze musimy patrzeć na to, jak ją wydaje.

Cel wyprawy został osiągnięty, szykowali się do wyjścia. Stephen zapłacił kelnerowi i skrupulatnie zapisał tę sumę na poczet rachunku Harveya Metcalfe'a. Wyszli z hotelu oddzielnie i jak najdyskretniej. Tylko James miał z tym pewne kłopoty, jako że kelnerzy i portierzy kłaniali się jeden przez drugiego, życząc jego lordowskiej mości dobrej nocy.

Harvey przechadzał się wokół Berkeley Square, ale nie zauważył młodego człowieka, który ukrył się przed nim w wejściu do kwiaciarni Moysesa Stevensa. Harvey nigdy nie potrafił się oprzeć pokusie zagadnięcia angielskiego policjanta o drogę do pałacu Buckingham, po to tylko, żeby porównać jego reakcję z zachowaniem gliny nowojorskiego, opartego niedbale o latarnię, żującego gumę, z kaburą na biodrze. Jak powiedział kiedyś Lenny Bruce, gdy deportowano go z Anglii: „Nasi gliniarze to o wiele gorsze świnie od waszych gliniarzy”. Tak, Harvey lubił Anglię.

Wrócił do hotelu kwadrans po jedenastej, wziął prysznic, położył się w ogromnym podwójnym łożu i z rozkoszą wyciągnął się w pachnącej świeżością pościeli. Tu trzeba było się obejść bez kobiet; gdyby złamał tę zasadę, musiałby pożegnać się raz na zawsze z Apartamentem królewskim. Pokój troszkę się zakołysał, ale po pięciodniowej podróży morskiej niepodobna, by było inaczej. Mimo to Harvey spał dobrze, z głową wolną od trosk.

X

Harvey obudził się o wpół do ósmej z nawyku, którego nie umiał się wyzbyć, ale za to pozwolił sobie na wakacyjny luksus śniadania w łóżku. W dziesięć minut po wezwaniu obsługi hotelowej zjawił się kelner z wózkiem, na którym znajdowało się pół grejpfruta, jajka na bekonie, grzanki, parująca filiżanka czarnej kawy, egzemplarz wczorajszego „Wall Street Journal” i poranne wydania dzienników „Times”, „Financial Times” oraz „International Herald Tribune”.

Metcalfe nie wyobrażał sobie pobytu w Europie bez „International Herald Tribune”, znanej w branży pod skrótem „Trib”. Ta jedyna w swoim rodzaju, wychodząca w Paryżu gazeta jest wspólną własnością „New York Timesa” i „Washington Post”. Wprawdzie drukuje się tylko jedno wydanie w nakładzie 120 000 egzemplarzy, ale z oddaniem do składu czeka się do chwili zamknięcia giełdy nowojorskiej. Dzięki temu żaden Amerykanin przebywający w Europie nie musi budzić się rano pozbawiony wiadomości. Kiedy w 1966 roku splajtowała „New York Herald Tribune”, Harvey był wśród tych, którzy doradzili Johnowi H. Whitneyowi zachowanie „Trib” ukazującej się w Europie. Jak zwykle jego sąd okazał się trafny. „International Herald Tribune” wchłonęła w końcu swego słabnącego rywala „New York Timesa”, który nie miał nigdy powodzenia w Europie. Od tej pory pozycja gazety wciąż rosła.

Harvey rzucił wprawnym okiem na kolumny notowań giełdowych w dzienniku „Wall Street Journal” i „Financial Times”. Miał w banku bardzo mało akcji, bowiem – jak Jim Slater, znany w Anglii finansista – podejrzewał, że giełdowy wskaźnik Dow-Jonesa spadnie na łeb na szyję,

upłynnił więc prawie wszystko, zachowując tylko trochę akcji złota południowoafrykańskiego i pieczołowicie wybranych papierów giełdowych, co do których miał informacje z samego źródła. Jedyne, co ryzykował teraz, przy tak chwiejnym rynku, to spekulacja na zmiennych kursach złota za pomocą kredytu – w odpowiednim momencie, tak by nie stracić jeszcze na spadku dolara, a zyskiwać na zwyżce złota. W Waszyngtonie krążyły pogłoski, że prezydent Stanów Zjednoczonych za radą sekretarza skarbu George'a Schultza zamierza z końcem tego roku lub na początku przyszłego zezwolić obywatelom na zakup złota w wolnym obrocie. Harvey kupował złoto od piętnastu lat i dla niego decyzja prezydenta oznaczała jedynie, że przestanie łamać prawo. Uważał, że z chwilą gdy Amerykanie zaczną kupować złoto, bańka mydlana pryśnie i cena spadnie – prawdziwą forsę można zbijać dopóty, dopóki spekulanci będą liczyć na zwyżkę; Harvey zamierzał pozbyć się swoich zapasów na długo przed pojawieniem się złota na rynku amerykańskim. Skoro prezydent miał to zalegalizować, Harvey nie widział w tym interesu.

Sprawdził notowania giełdy towarowej w Chicago. Przed rokiem zrobił grubszą forsę na miedzi. Skorzystał z poufnej informacji od ambasadora pewnego państwa afrykańskiego, informacji zbyt szeroko puszczonej w obieg. Harvey wcale się nie zdziwił, gdy przeczytał, że ambasador został odwołany do kraju i rozstrzelany.

Jak zwykle Harvey nie umiał oprzeć się pokusie sprawdzenia notowań Prospecta Oil, obecnie najniższych – ⅛ dolara; nie było obrotu akcjami po prostu dlatego, że wszyscy chcieli sprzedawać, nikt kupować. W istocie akcje nie miały żadnej wartości. Uśmiechnął się sardonicznie i zajrzał na sportową kolumnę „Timesa”. W artykule na temat zbliżających się mistrzostw w Wimbledonie Rex Bellamy typował Johna Newcombe'a na faworyta, a wschodzącą gwiazdę amerykańską, Jimmy'ego Connorsa, który

właśnie wygrał w Otwartych Mistrzostwach Włoch, na najlepszego spoza czołówki. Dziennikarze brytyjscy byli za trzydziestodziewięcioletnim Kenem Rosewallem. Harvey doskonale pamiętał heroiczny mecz finałowy między Rosewallem i Drobnym w 1954 roku, ciągnący się przez pięćdziesiąt osiem gemów. Jak większość kibiców był za trzydziestotrzyletnim Drobnym, który po trzech godzinach gry w końcu zwyciężył przy stanie setów 13-11, 4-6, 6-2, 9-7. Harvey pragnął, żeby historia się powtórzyła i by tym razem wygrał Rosewall, chociaż sądził, że szansa zwycięstwa wymknęła się popularnemu Australijczykowi w czasie tych dziesięciu lat, kiedy zawodowców nie dopuszczano do turnieju wimbledońskiego. Tak czy owak, dwutygodniowe mistrzostwa będą interesującym wydarzeniem i jeśli Rosewallowi nie uda się zwyciężyć, to może poszczęści się Amerykaninowi.

Nim skończył śniadanie, zdążył jeszcze przejrzeć recenzje w dziale sztuki i rzucił gazetę na podłogę. Spokojna elegancja wnętrza w stylu regencji, kulturalna obsługa oraz Apartament królewski nie wpłynęły na obyczaje Harveya. Poczłapał do łazienki, żeby się ogolić i wziąć prysznic. Arlene wprawdzie mówiła, że większość ludzi robi to w innej kolejności – najpierw prysznic, a potem śniadanie. Na co Harvey powiedział, że większość ludzi postępuje inaczej niż on również w innych sprawach – no i proszę, co z tego mają.

Rano, w dniu rozpoczęcia mistrzostw na kortach Wimbledonu, Harvey zazwyczaj udawał się na Letnią Wystawę w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych przy Piccadilly. Następnie robił obchód większości ważniejszych galerii West Endu – jak Agnew, Tooth, Marlborough, Wildenstein – gdzie można było dojść spacerkiem od Claridge'a. Dziś też się tam wybrał. Nie ma co mówić. Harvey był człowiekiem o ustalonych przyzwyczajeniach, o czym zespół szybko się przekonał.

Harvey ubrał się, zwymyślał pokojowego, który nie zostawił w kredensie tyle whisky, ile należało, po czym zszedł na dół po schodach, wyłonił się z drzwi wahadłowych wychodzących na Davies Street i pomaszerował w stronę Berkeley Square. Nie zauważył zaaferowanego młodego człowieka z radiotelefonem, stojącego po drugiej stronie ulicy.

– Wyszedł z hotelu na Davies Street – powiedział Stephen cicho do kieszonkowego aparaciku firmy Pye – i zmierza w twoim kierunku, James.

– Będę go miał na oku, jak tylko pokaże się na Berkeley Square. Robin, słyszysz mnie?

– Tak.

– Dam ci znać, jak go zobaczę. Nie ruszaj się spod Akademii.

– Tak jest – odparł Robin.

Harvey okrążył plac, wszedł w Piccadilly i znikł pod palladiańskimi arkadami Burlington House. Z ociąganiem ustawił się w kolejce i przesuwał się wolno wraz z tłumem obok Towarzystwa Astronomicznego i Towarzystwa Zbieraczy Starożytności. Nie zwrócił uwagi na innego młodego człowieka stojącego po drugiej stronie przy wejściu do Towarzystwa Chemicznego, zagłębionego w lekturze *Chemii w Wielkiej Brytanii*. Wreszcie wszedł po pochyłości wyłożonej czerwonym dywanem do drzwi Akademii. Wręczył kasjerowi pięć funtów na bilet wielokrotny, gdyż zamierzał przyjść tutaj co najmniej jeszcze trzy lub cztery razy. Spędził resztę przedpołudnia na oglądaniu 1182 obrazów, zgodnie z surowymi zasadami Akademii niewystawianych nigdzie na świecie przed zgłoszeniem na tutejszą wystawę. Ale i tak komisja kwalifikacyjna Akademii mogła wybierać spośród 5000 dzieł.

Przed miesiącem, w dniu otwarcia wystawy, za pośrednictwem swego agenta Harvey kupił akwarelę Alfreda Danielsa przedstawiającą siedzibę

Izby Gmin, w cenie trzysta pięćdziesiąt funtów i dwa oleje Bernarda Dunstana ze scenami z prowincji angielskiej po sto dwadzieścia pięć funtów. Zdaniem Harveya na Letniej Wystawie wciąż kupowało się obrazy najlepiej na świecie. Gdyby nawet nie chciał wszystkich zachować dla siebie, wspaniale będą się nadawały na prezenty, kiedy wróci do Ameryki. Akwarela Danielsa przypomniała mu obraz Lowry'ego, który kupił w Akademii za osiemdziesiąt funtów jakieś dwadzieścia lat temu – była to jeszcze jedna mądra lokata.

Harvey przede wszystkim chciał obejrzeć obrazy Bernarda Dunstana. Wszystkie oczywiście były już sprzedane. Dunstan należał do artystów, których prace rozchodziły się w parę minut po otwarciu wystawy. Harvey nie był wprawdzie w tym dniu w Londynie, ale bez kłopotu kupił to, na co miał ochotę. Jego człowiek ustawił się na początku kolejki z katalogiem, gdzie zaznaczył pozycje, które, jak wiedział – Harvey bądź łatwo odprzeda, jeśli się pomylił – bądź sobie zatrzyma, jeśli wybrał trafnie. Z chwilą otwarcia wystawy, punktualnie o dziesiątej rano, agent Harveya poszedł prosto do kantoru sprzedaży i zakupił w ciemno pięć czy sześć obrazów, których nie oglądał jeszcze nikt poza organizatorami wystawy. Harvey długo się przyglądał swoim nowym, kupionym na odległość nabytkom. Tym razem z chęcią zatrzyma wszystkie. Gdyby jakiś nie pasował do jego kolekcji, zgłosiłby go do odprzedania, zobowiązując się, że weźmie go z powrotem, jeśli nie będzie nabywcy. W ciągu dwudziestu lat Harvey kupił tym sposobem ponad setkę obrazów, a zwrócił zaledwie kilkanaście, ani razu nie mając kłopotu ze sprzedażą. Harvey na wszystko miał metodę.

O pierwszej, spędziwszy nader udane przedpołudnie, Harvey wyszedł z Akademii. Biały rolls-royce czekał na podjeździe.

– Wimbledon.

– Gówno.

– Co takiego? – dopytywał się Stephen.

– Gówno. Pojechał do Wimbledonu. Dzisiejszy dzień mamy z głowy – powiedział Robin.

Znaczyło to, że Harvey nie wróci do hotelu przed siódmą lub ósmą wieczorem. Ustalili dyżury i Robin, na którego wypadła kolej, zabrał swego rovera 3500 V8 spod licznika na parkingu przy placu św. Jakuba i pojechał do Wimbledonu. James zdobył na każdy dzień turnieju bilety na dwa miejsca naprzeciw loży Harveya.

Robin przybył do Wimbledonu parę minut po Harveyu. Zajął miejsce na korcie centralnym, niewidoczny w tłumie. Rosło już podniecenie przed meczem otwierającym mistrzostwa. Wimbledon zdawał się zyskiwać z każdym rokiem na popularności i trybuny kortu centralnego wypełnione były do ostatniego miejsca. W loży królewskiej siedziała księżna Aleksandra z premierem, oczekując wyjścia gladiatorów na arenę. Małe zielone tablice na południowym końcu kortu wyświetlały nazwiska Kodesza i Stewarta, arbiter spotkania zajął miejsce na wysokim krześle sędziowskim w połowie kortu ponad siatką. Na kort weszli dwaj ubrani na biało zawodnicy, każdy z czterema rakietami w ręku, i rozległy się oklaski. Organizatorzy turnieju nie pozwalają zawodnikom ubierać się inaczej niż na biało, chociaż i tak złagodzili rygory, dopuszczając kolorowe lamówki w kostiumach kobiet.

Robin z zainteresowaniem obejrzał inauguracyjny mecz między Kodeszem i nierozstawionym tenisistą ze Stanów Zjednoczonych, który mocno dał się we znaki mistrzowi, nim przegrał w stosunku 6-3, 6-4, 9-7. Żałował, gdy Harvey wyszedł w połowie emocjonującej gry podwójnej. Pierwsza rzecz obowiązek, powiedział sobie i pojechał, zachowując dystans, za białym rollsem do Claridge'a. Zatelefonował następnie do

mieszkania Jamesa, które służyło zespołowi za londyńską kwaterę główną, i zdał relację Stephenowi.

– Na dzisiaj koniec – orzekł Stephen. – Jutro próbujemy od nowa. Biedny Jean-Pierre, dziś rano puls skoczył mu do stu pięćdziesięciu uderzeń na minutę. Nie wiem, jak wytrzyma więcej fałszywych alarmów.

Rano następnego dnia Harvey wyszedł z hotelu, przeciął Berkeley Square, skręcił w Bruton Street, a następnie w Bond Street i zatrzymał się nieopodal salonu Jean-Pierre'a. Zamiast na zachód zwrócił się jednak na wschód i wszedł do galerii Agnew, gdzie był umówiony z głową rodzinnej firmy, Geoffreyem Agnew, by się wywiedzieć, co z impresjonistów jest na rynku. Sir Geoffrey spieszył się na kolejne spotkanie i mógł poświęcić Harveyowi tylko kilka minut. Nie miał nic interesującego do zaoferowania.

Harvey pojawił się niebawem w drzwiach z modelem rzeźby Rodina w ręku, bagatelką za osiemset funtów, którą kupił sobie na otarcie łez.

– Wychodzi – odezwał się Robin. – kieruje się we właściwą stronę.

Jean-Pierre wstrzymał oddech, ale Harvey przystanął znowu, tym razem przed galerią Marlborough, gdzie chciał obejrzeć najnowszą wystawę prac Barbary Hepworth. Podziwiał je ponad godzinę, ale doszedł do wniosku, że ceny są skandalicznie wysokie. Zaledwie przed dziesięciu laty kupił dwie jej rzeźby raptem za osiemset funtów. Teraz ceny w galerii wahały się od siedmiu do dziesięciu tysięcy funtów. Wyszedł i powędrował dalej Bond Street.

– Jean-Pierre?

– Tak – odpowiedział zdenerwowany głos.

– Jest na rogu Conduit Street, w odległości kilkudziesięciu kroków od twoich drzwi.

Jean-Pierre przygotował wystawę, usuwając akwarelę Grahama Sutherlanda, przedstawiającą Tamizę i przewoźnika.

– Skręcił w lewo, drań – oznajmił James, który miał stanowisko naprzeciw galerii. – Idzie prawą stroną Bruton Street.

Jean-Pierre z powrotem umieścił w oknie wystawowym akwarelę i wycofał się do ubikacji, mrucząc pod nosem:

– Trudno sobie radzić z dwoma gównami naraz.

Harvey tymczasem otworzył niepozornie wyglądające drzwi na Bruton Street i wszedł po schodach do Tootha, galerii słynącej z doskonałych płócien impresjonistów. Klee, Picasso, dwa obrazy Salvadora Dali – nie, nie tego szukał. Klee doskonały był pod względem techniki malarskiej, ale nie umywał się do tego, który wisiał u niego w jadalni w Lincoln. Poza tym nie harmonizowałby ze stylem, w jakim Arlene urządziła dom. Nicholas Tooth, dyrektor galerii, obiecał, że się rozejrzy i jeśli znajdzie coś ciekawego, zadzwoni do Harveya do hotelu.

– Wyszedł na ulicę, ale chyba wraca do Claridge'a.

James zaklinał go w duchu, żeby zawrócił w kierunku galerii Jean-Pierre'a, ale Harvey zdecydowanie kroczył ku Berkeley Square, zboczył jedynie do salonu Sztuki O'Hana. Albert, starszy portier, powiedział mu, że mają na wystawie Renoira – i rzeczywiście. Ale było to na pół skończone płótno, na którym Renoir najwyraźniej robił wprawki albo też obraz mu się nie podobał i go nie skończył. Harvey ciekaw był, ile kosztuje, i wszedł do środka.

– Trzydzieści tysięcy funtów – rzucił lekko subiekt takim tonem, jakby chodziło o dziesięć funtów i jakąś szaloną okazję.

Harvey świsnął przez szparę w przednich zębach. Jak zawsze nie mógł się nadziwić, że podrzędny obraz pierwszorzędnego malarza mógł

kosztować trzydzieści tysięcy funtów, a wybitny obraz nieznanego malarza najwyżej kilkaset. Podziękował i skierował się do drzwi.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie Metcalfe.

Harveyowi zawsze pochlebiało, jeśli ktoś pamiętał jego nazwisko. Ale, do licha, powinni pamiętać – rok temu kupił u nich obraz Moneta za sześćdziesiąt dwa tysiące funtów.

– Zdecydowanie wraca do hotelu – stwierdził James.

Harvey wpadł do hotelu tylko na chwilę, by wziąć z sobą na kort specjalnie przyrządzony zestaw obiadowy, z jakich słynął Claridge; ten, który wybrał, składał się z kawioru, wołowiny, kanapek z serem i ciasta czekoladowego.

Dyżur w Wimbledonie przypadł tym razem Jamesowi, który zdecydował, że zabierze ze sobą Anne. Dlaczego by nie – przecież ją wtajemniczył. Był to dzień rozgrywek kobiet, rozpoczynający się pojedynkiem Billie Jean King, pełnej werwy mistrzyni amerykańskiej, z nierozstawioną Amerykanką Kathy May, która wyglądała, jakby szła na ścięcie. Oklaski dla Billie Jean nie dorównywały jej talentowi; nie wiadomo czemu, nigdy nie została ulubienicą publiczności Wimbledonu. Harvey miał gościa, mężczyznę w typie, jak osądził James, środkowoeuropejskim.

– Gdzie ta twoja ofiara? – spytała Anne.

– Siedzi prawie naprzeciw nas, rozmawia z facetem w jasnoszarym garniturze, który wygląda na urzędnika Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.

– Ten niski gruby?

– Tak – odparł James.

Zanim Anne zdążyła cokolwiek powiedzieć, rozległ się okrzyk sędziego: „Grać!” i uwaga wszystkich skupiła się na Billie Jean. Była punkt druga.

– Miło, że zaprosiłeś mnie na turniej, Harvey – powiedział Jörg Birrer. – Jakoś ostatnio nie mam okazji, żeby się odprężyć. Jak tylko człowiek się oderwie na kilka godzin od interesów, zaraz gdzieś na świecie wybucha panika.

– Jeśli tak myślisz, to znaczy, że powinieneś przejść na emeryturę – zauważył Harvey.

– Nie ma nikogo na moje miejsce – wyjaśnił Birrer. – Jestem prezesem banku od dziesięciu lat i znalezienie następcy będzie chyba moim najtrudniejszym zadaniem.

– Pierwszy gem dla pani King. Pani King prowadzi jeden do zera w pierwszym secie.

– No, Harvey, znam cię za dobrze, żeby sądzić, że zaprosiłeś mnie tu tylko dla rozrywki.

– Jakiś ty nieufny, Jörg.

– W moim zawodzie to konieczne.

– Chciałem tylko sprawdzić stan trzech moich rachunków i zapoznać cię z moimi planami na najbliższe miesiące.

– Gem dla pani King. Pani King prowadzi dwa do zera w pierwszym secie.

– Na oficjalnym rachunku numer jeden masz kilka tysięcy dolarów. Na rachunku towarowym na hasło cyfrowe – tu Birrer rozwinął tajemniczy karteluszek z kolumną starannie wypisanych liczb – masz niedobór 3 726 000 dolarów, ale za to posiadasz 37 000 uncji złota po aktualnej cenie sprzedaży 135 dolarów za uncję. – Co mi radzisz? – Trzymaj się złota, Harvey. Przy czym sądzę, że wasz prezydent albo ustanowi nowy parytet, albo zezwoli Amerykanom na zakup złota w wolnym obrocie gdzieś w przyszłym roku.

– Też tak uważam, ale jestem przekonany, że należy sprzedać wszystko parę tygodni przed pojawieniem się tłumu nabywców na rynku. Mam na ten temat teorię.

– Przypuszczam, że jak zwykle słuszną.

– Gem dla pani King. Pani King prowadzi trzy do zera w pierwszym secie.

– Ile sobie liczycie za taki niedobór?

– Półtora procent powyżej międzybankowej stopy procentowej, która obecnie wynosi 13,25 procent, czyli 14,75 procent rocznie, podczas gdy cena złota rośnie o blisko 70 procent rocznie. To nie może potrwać długo, ale na pewno jeszcze kilka miesięcy.

– W porządku – rzekł Harvey. – Zaczekajmy do pierwszego listopada, wówczas omówimy sprawę ponownie. Zaszyfrowany teleks, jak zwykle. Nie wiem, jak świat poradziłby sobie bez Szwajcarów.

– Miej się na baczności, Harvey. Czy wiesz, że w naszej policji jest więcej speców od przestępstw finansowych niż od zabójstw?

– Martw się lepiej o swoją skórę, Jörg, ja pomyślę o sobie sam. Jakbym zaczął trząść portkami przed garstką nędznie opłacanych zurzędniczałych niedorajdów, dam ci znać. No, zjedz coś teraz i obejrzyj mecz. O drugim rachunku pogadamy potem.

– Gem dla pani King. Pani King prowadzi cztery do zera w pierwszym secie.

– Są bardzo zajęci rozmową – zauważyła Anne. – Wątpię, żeby zainteresował ich mecz.

– Pewnie usiłuje kupić Wimbledon po cenie kosztów – zaśmiał się James. – kiedy widzi się tego faceta codziennie, zaczyna się go po trochu szanować. To najlepiej zorganizowany człowiek, z jakim się kiedykolwiek zetknąłem. Jeśli taki jest na wakacjach, to jaki, u diabła, jest przy pracy?

– Nie mogę sobie wyobrazić – powiedziała Anne.

– Gem dla pani May. Pani King prowadzi cztery do jednego w pierwszym secie.

– Nic dziwnego, że jest taki otyły. Popatrz tylko, jak się opycha. – James opuścił zaissowską lornetkę. – À propos, kochanie, co mamy do jedzenia?

Anne sięgnęła do koszyka i wyjęła bagietkę z kruchą sałatą dla Jamesa, a sama zadowoliła się łodyżką selera.

– Za bardzo utyłam – wyjaśniła. – Za nic nie zmieszczę się w zimowe stroje, które mam reklamować w przyszłym tygodniu. – Dotknęła kolana Jamesa i uśmiechnęła się. – To pewnie dlatego, że jestem taka szczęśliwa.

– No, uważaj. Wolę cię szczupłą.

– Gem dla pani King. Pani King prowadzi pięć do jednego w pierwszym secie.

– Pobije tamtą na głowę – powiedział James. – Często tak bywa na meczach inauguracyjnych. Ludzie przychodzą tylko po to, by się upewnić, czy mistrz jest w dobrej formie. Trudno ją będzie zwyciężyć, skoro chce pobić rekord ośmiokrotnej mistrzyni Wimbledonu Helen Moody.

– Gem i set dla pani King, sześć do jednego. Pani King prowadzi w setach jeden do zera. Nowe piłki, proszę. Serwuje pani May.

– Czy mamy go pilnować cały dzień? – zagadnęła Anne.

– Nie, musimy się tylko upewnić, czy wrócił do hotelu i czy nie zmieni nagle swoich planów albo nie wytnie jakiego numeru. Jeśli przegapimy moment, kiedy będzie przechodził koło galerii Jean-Pierre'a, szansa może się już nie powtórzyć.

– Co zrobicie, jeśli zmieni plany?

– Bóg wie, a ściśle mówiąc, Stephen. On jest mózgiem.

– Gem dla pani King. Pani King prowadzi jeden do zera w drugim secie.

– Biedna pani May, tak się jej wiedzie jak tobie z twoim planem. A jak operacja Jean-Pierre'a?

– Fatalnie. Metcalfe nie zbliżył się do galerii. Dzisiaj był tuż-tuż, ale zrobił w tył zwrot i odmaszerował w przeciwnym kierunku. Nieszczęsny Jean-Pierre o mało nie dostał zawału. Ale może jutro się poszczęści. Jak do tej pory Harvey obszedł Piccadilly i przyległą do niej część Bond Street, a jedno jest pewne – że to człowiek systematyczny. Czyli że prawie na pewno traf do nas, wcześniej czy później.

– Każdy z was powinien ubezpieczyć się na życie na milion dolarów, upoważniając pozostałych trzech do podjęcia tej sumy – powiedziała Anne. – Gdyby któremuś z was zmarło się na serce, cała trójka odzyskałaby pieniądze.

– To wcale nie jest zabawne, Anne. Można się wykończyć nerwowo, chodząc za nim krok w krok, zwłaszcza że się nie wie, co on za chwilę zrobi.

– Gem dla pani King. Pani King wygrywa dwa do zera w drugim secie i jeden do zera w setach.

– A co z twoim planem?

– Nic. Zero. A od kiedy przystąpiliśmy do realizacji tamtych trzech, nie mam czasu, żeby skoncentrować się na własnym.

– A może go uwiodę?

– Niezły pomysł, ale musiałabyś użyć nadzwyczajnych sztuczek, żeby wydębić od niego sto pięćdziesiąt tysięcy funtów, gdy może się przejść koło Hiltona albo po Shepherd Market i mieć to samo za trzydzieści. Poznaliśmy go już na tyle, że wiemy, iż jak płaci, to wymaga. Przy trzydziestu funtach za noc spłacenie mojego udziału zabrałoby ci prawie piętnaście lat, a nie

jestem pewien, czy tamci trzej zechcą tak długo czekać. Nie wiem nawet, czy poczekają piętnaście dni.

– Nie martw się, coś wymyślimy – pocieszyła go Anne.

– Gem dla pani May. Pani King prowadzi dwa do jednego w drugim secie i jeden do zera w setach.

– No, no. Pani May wygrała drugi gem. Doskonały lunch, Harvey.

– Specjalność Claridge'a – powiedział Harvey. – O wiele lepiej zjeść tu, niż tłoczyć się w restauracji i w dodatku zrezygnować z oglądania tenisa.

– Patrz, Billie Jean urządza rzeź niewiniątek.

– Niczego innego się nie spodziewałem. Pogadajmy teraz o moim drugim tajnym koncie.

Znów pojawił się tajemniczy karteluszek zapisany cyframi. To właśnie dyskrecja Szwajcarów sprawia, że pół świata, od przywódców państw po arabskich szejków, powierza im pieniądze. Szwajcarzy zaś utrzymują swoją gospodarkę w stanie tak kwitnącym jak rzadko która na świecie. System funkcjonuje dobrze, po co więc zwracać się gdzie indziej? Birrer rzucił okiem na zapiski.

– Pierwszego kwietnia – tylko ty mogłeś wybrać ten dzień – przekazałeś 7 486 000 dolarów na rachunek numer dwa, na którym miałeś już 2 791 428 dolarów. Drugiego kwietnia zgodnie z twoim poleceniem wpłaciliśmy milion dolarów do Banco do Minas Gerais na nazwiska Silvermana i Elliotta. Zapłaciliśmy rachunek w wysokości 420 000 dolarów wystawiony przez firmę Reading i Bates za wypożyczenie sprzętu wiertniczego, uregulowaliśmy pozostałe rachunki na łączną kwotę 104 112 dolarów. Stan twojego konta numer dwa wynosi obecnie 8 753 316 dolarów.

– Gem dla pani King. Pani King prowadzi trzy do jednego w drugim secie i jeden do zera w setach.

– Bardzo dobrze – powiedział Harvey.

– Mówisz o tenisie czy o pieniądzach? – spytał Birrer.

– O jednym i drugim. Słuchaj, Jörg. Obliczyłem, że w ciągu najbliższych sześciu tygodni będę potrzebował około dwóch milionów dolarów. Chcę kupić w Londynie jeden, może dwa obrazy. Widziałem płótno Klee, które mi się dosyć spodobało, poza tym odwiedzę jeszcze kilka galerii. Gdybym wiedział, że Prospecta Oil przyniesie mi tyle pieniędzy, przelicytowałbym Armanda Hammera na aukcji w Sotheby-Parke Bernet w zeszłym roku i kupiłbym tego van Gogha. Będę potrzebował gotówki na zakup koni wyścigowych na aukcji w Ascot. Moja hodowla podupada, a wygrana w wyścigu o nagrodę króla Jerzego i Elżbiety jest nadal jedną z moich największych ambicji życiowych. (James by się wzdrygnął, gdyby mógł usłyszeć, jak Harvey zniekształca nazwę gonitwy). Największy sukces odniosłem wtedy, gdy mój koń uplasował się na trzecim miejscu. To mi nie wystarcza. W tym roku zgłosiłem do wyścigu Rosalie, moją najlepszą klacz od lat. Jeśli przegram, będę musiał od początku odtwarzać hodowlę, ale niech mnie diabli wezmą, jeśli Rosalie w tym roku nie będzie pierwsza na celowniku.

– Gem dla pani King. Pani King prowadzi cztery do jednego w gemach i jeden do zera w setach.

– No, King ma zwycięstwo w kieszeni – odezwał się Birrer. – Powiadomię starszego kasjera, że w najbliższych tygodniach będziesz podejmował większe sumy.

– Jeśli idzie o pozostałe pieniądze, to lepiej, żeby nie leżały bezużytecznie. Kupuj ostrożnie złoto z myślą o sprzedaży po Nowym Roku. Zatelefonuję do Zurychu, gdyby wystąpiła tendencja zniżkowa. Codziennie z chwilą zamknięcia biznesu pożyczaj nadwyżkę renomowanym bankom i firmom o najwyższym standingu finansowym na procent krótkoterminowy „overnight”.

– Co zamierzasz zrobić z tą forsą, Harvey, jeżeli nie wykończą cię przedtem cygara?

– Och, daj spokój, Jörg. Jakbym słyszał mojego lekarza. Powtarzałem ci sto razy, że w przyszłym roku się wycofuję, rezygnuję, koniec, kropka.

– Nie chce mi się wierzyć, żebyś dobrowolnie wycofał się z konkurencji. Zazdrość mnie ogarnia, jak pomyślę, ile teraz możesz być wart.

Harvey się roześmiał.

– Nie potrafię tego powiedzieć, Jörg. Powtórzę ci słowa Arystotelesa Onassisa: jeśli możesz policzyć, ile masz, jesteś biedakiem.

– Gem dla pani King. Pani King prowadzi w gemach pięć do jednego i jeden do zera w setach.

– A co słychać u Rosalie? Mamy twoje polecenie, żeby przekazać pieniądze do Bostonu, w razie gdyby coś ci się stało.

– Wszystko w porządku. Zatelefonowała dziś rano, żeby mi powiedzieć, że nie przyjedzie do Wimbledonu, gdyż pracuje. Myślę, że wyjdzie za mąż za jakiegoś bogatego Amerykanina i wówczas rzuci pracę. Niejeden już chciał się z nią ożenić. Trudno jej będzie się połapać, czy chodzi im o nią czy o moją forsę. Niestety, pokłóciliśmy się o to parę lat temu i wciąż czuje do mnie żal.

– Gem, set i mecz dla pani King. Pani King wygrywa sześć do jednego, sześć do jednego.

Harvey, Jörg, James i Anne wraz z tłumem oklaskiwali dwie zawodniczki, gdy schodziły z kortu i przed lożą królewską składały ukłony prezesowi All England Club i Jego Wysokości księciu Kentu. Harvey i Jörg Birrer obejrzeli jeszcze następny mecz, debla, a potem wrócili do Claridge'a na kolację.

James i Anne upewnili się, czy Harvey z przyjacielem dotarli bez przygód do Claridge'a, po czym zadowoleni z popołudnia w Wimbledonie wrócili do mieszkania Jamesa.

– Stephen, jestem w domu. Metcalfe wrócił na noc do hotelu. Jutro rano o ósmej trzydzieści zbiórka.

– Dobrze się spisałeś, James. Może jutro połknie haczyk.

– Miejmy nadzieję.

Szum wody zaprowadził Jamesa do kuchni. Anne miała ręce po łokcie w pianie, szorowała ostrym zmywakiem półmisek po suflecie. Odwróciła się i zamachnęła na niego.

– Kochanie, nie chcę obgadywać twojej dochodzącej, ale nie znam drugiej takiej kuchni, w której naczynia zmywa się przed kolacją.

– Wiem. Ona sprząta tylko tam, gdzie jest czysto, i w miarę upływu czasu ma coraz mniej pracy. – Usiadł na kuchennym stole i podziwiał jej smukłą figurę. – Wyszorowałabyś mi plecy, gdybym wziął kąpiel przed kolacją?

– Tym skrobakiem?

Woda była cudownie gorąca i sięgała prawie po brzegi wanny. James zanurzył się z rozkoszą, poddając się dłoniom Anne. Potem wyszedł z wanny, ociekając wodą.

– Kochanie, jak na kąpielową jesteś zbyt wystrojona – powiedział. – Czy nie można by czegoś z tym zrobić?

Anne rozebrała się, podczas gdy James się wycierał. Kiedy wszedł do sypialni, leżała skulona w pościeli.

– Zimno mi – poskarżyła się.

– Nie martw się – uspokoił ją James. – Zaraz cię ogrzeję.

Objęła go.

– Ty kłamco, jesteś lodowaty.

– Jesteś śliczna – szepnął James, usiłując przylgnąć do niej całym ciałem.

– Co z twoim planem, James?

– Poczekaj, powiem ci za dwadzieścia minut.

Nie odezwała się ani słowem przez blisko pół godziny. Potem powiedziała:

– Wstawaj. Zapiekanka z sera powinna być gotowa, poza tym muszę poprawić pościel.

– Nie ma sensu zawracać sobie tym głowy, niemądra kobieto.

– Nieprawda. Ostatniej nocy nie zmrużyłam oka. Ściągnąłeś na siebie wszystkie koce i błogo spałeś, a ja okropnie zmarzłam. Kochać się z tobą to wcale nie takie szczęście, jak opisują w romansach.

– Kiedy skończysz gderać, kobieto, nastaw budzik na siódmą.

– Siódmą? Przecież masz być przed Claridge'em dopiero o wpół do dziewiątej.

– Wiem, ale nie przełknę jajka bez popieprzenia.

– Dałbyś spokój tym sztubackim dowcipom, James.

– O, myślałem, że to zabawne.

– Tak, kochanie. Może byś się ubrał, zanim kolacja spali się na węgiel.

James był przed hotelem już o ósmej dwadzieścia dziewięć. Wprawdzie nie miał pomysłu dla siebie, ale innych stanowczo nie zawiedzie. Nastawił aparat, żeby sprawdzić, czy Stephen jest na Berkeley Square, a Robin na Bond Street.

– Dzień dobry – odezwał się Stephen. – Jak spędziłeś noc?

– Bajecznie.

– Dobrze spałeś? – spytał Stephen.

– Nie zmrużyłem oka.

– Przestań nas drażnić i zajmij się Harveyem – powiedział Robin.

James stanął u wejścia do sklepu futrzarskiego Slatera; mijały go sprzątaczki wracające już do domu i pierwsi urzędnicy spieszący do pracy.

Harvey Metcalfe jadł tymczasem śniadanie i czytał gazety. Wczoraj, gdy kładł się do łóżka, zatelefonowała żona z Bostonu, a dziś podczas śniadania córka – dzień zaczął się dobrze. Postanowił szukać dalej obrazów impresjonistów w galeriach przy Cork Street i Bond Street. Może dowie się czegoś u Sotheby'ego?

O dziewiątej czterdzieści siedem wyszedł z hotelu swoim energicznym krokiem.

– Pogotowie bojowe.

Stephen i Robin otrząsnęli się z zadumy.

– Wchodzi w Bruton Street. Idzie w kierunku Bond Street.

Harvey żwawo maszerował Bond Street, mijając galerie, które już odwiedził.

– Niespełna pięćdziesiąt kroków od ciebie, Jean-Pierre – meldował James – czterdzieści, trzydzieści, dwadzieścia... o cholera, wszedł do Sotheby'ego. Dzisiaj wystawili na sprzedaż średniowieczne malarstwo tablicowe. Nie wiedziałem, że on się tym interesuje.

Spojrzał na stojącego dalej Stephena, który już trzeci dzień z rzędu czekał w gotowości. Pogrubiony, postarzony, miał wygląd bogatego biznesmena. Krój kołnierzyka i szkła bez oprawek wskazywały, że przybył z Niemiec Zachodnich. W głośniku rozległ się jego głos:

– Idę do galerii Jean-Pierre'a. James, zajmij pozycję na północ od Sotheby'ego po drugiej stronie ulicy i składaj meldunki co piętnaście minut. Robin, wejdź do środka i puść temu chartowi sztucznego zająca.

– Ale tego nie było w planie – wyjąkał Robin.

– Rusz głową i działaj, bo inaczej będziesz za darmo leczył Jean-Pierre'a na serce. Zgoda?

– Zgoda – powiedział niepewnie Robin.

Robin wszedł do domu aukcyjnego Sotheby i przejrzał się ukradkiem w najbliższym lustrze. W porządku, nikt go nie pozna. Na górze dostrzegł Harveya siedzącego w głębi sali, gdzie odbywały się aukcje. Ulokował się w pobliżu, w następnym rzędzie.

Sprzedaż malowanych tablic trwała w najlepsze. Harvey wiedział, że powinien się nimi zachwycać, ale nie podzielał zamiłowania gotyku do klejnotów i ostrych, złotych barw. Z tyłu Robin wahał się przez moment, wreszcie przyciszonym głosem zwrócił się do swego sąsiada:

– Bardzo to piękne, ale nie znam się na malarstwie tego okresu. Muszę jednak coś wymyślić dla moich czytelników.

Sąsiad Robina uprzejmie się uśmiechnął.

– Czy musi pan oglądać wszystkie aukcje?

– Prawie wszystkie, szczególnie jeśli liczę na jakieś niespodzianki. W każdym razie tutaj zawsze można się dowiedzieć, co w trawie piszczy. Nie dalej jak dziś rano jeden z pracowników Sotheby'ego dał mi cynk, że u Lamannsa mogą mieć coś sensacyjnego z impresjonistów.

Robin wyszeptał tę informację, celując w prawe ucho Harveya, odchylił się do tyłu i czekał. Po chwili ujrzał, że Harvey podnosi się i przeciska do wyjścia. Robin odczekał, póki nie zlicytowano trzech kolejnych pozycji, i wyszedł za nim z kciukami zaciśniętymi na szczęście.

Na zewnątrz James wytrwale stał na posterunku.

– Dziesiąta trzydzieści, ani śladu Metcalfe'a.

– Tak, zrozumiałem.

– Dziesiąta czterdzieści pięć i wciąż go nie widać.

– Zrozumiałem.

– Jedenasta. Nadal jest w środku.

– Tak, zrozumiałem.

– Jedenasta dwanaście. Pogotowie bojowe, pogotowie bojowe.

James wśliznął się do galerii Lamannsa w chwili, gdy Jean-Pierre znowu zdejmował z wystawy akwarelę Sutherlanda przedstawiającą Tamizę i przewoźnika i stawiał na jej miejsce obraz olejny van Gogha, wspaniały okaz talentu genialnego artysty, jakiego nie oglądały nigdy galerie Londynu. Oto nadchodzi decydująca próba – jej obiekt właśnie się zbliżał, krocząc zamaszyście Bond Street.

Obraz był dziełem Davida Steina, głośnego w świecie sztuki z fałszerstw trzystu obrazów i rysunków sławnych impresjonistów, za co otrzymał w sumie 864 000 dolarów, a później – cztery lata. Przyłapany został dopiero w 1969 roku, gdy urządził wystawę płócien Chagalla w galerii Niveaie przy Madison Avenue. Nie wiedział, że akurat sam Chagall był w Nowym Jorku w związku z wystawą w muzeum w Lincoln Center, na której pokazano dwie z jego najsłynniejszych prac. Gdy dowiedział się o wystawie w galerii Niveaie, wpadł w furię i zawiadomił prokuraturę. Stein zdążył już sprzedać jeden falsyfikat Louisowi D. Cohenowi za prawie sto tysięcy dolarów, a do dziś dnia w Galeria d'Arte Moderna w Mediolanie wiszą Chagall oraz Picasso pędzla Steina. Jean-Pierre był przekonany, że swój wyczyn z Nowego Jorku i Mediolanu Stein śmiało może powtórzyć w Londynie.

Stein nadal malował w stylu impresjonistycznym, ale teraz podpisywał obrazy własnym nazwiskiem; jego niewątpliwy talent przynosił mu niezłe dochody. Znał Jean-Pierre'a od paru lat i bardzo go lubił; gdy usłyszał o Metcalfe i towarzystwie Prospecta Oil, zgodził się podrobić obraz van

Gogha i słynny podpis artysty „Vincent” za opłatą dziesięciu tysięcy dolarów.

Jean-Pierre zadał sobie wiele trudu, aby prześledzić losy obrazu van Gogha zaginionego w tajemniczych okolicznościach; Stein zaś miał go wskrzesić, by skusić Harveya. Zaczął od przestudiowania obszernego katalogu de la Faille'a *Malarstwo Vincenta van Gogha*. Wytypował trzy płótna, które wisiały w Galerii Narodowej w Berlinie przed drugą wojną światową. W katalogu oznaczone były następująco: nr 485, *Les Amoureux* („Kochankowie”); nr 628 *La Moisson* („Żniwa”) i nr 766, *Le jardin de Daubigny* („Ogród Daubigny'ego”). O dwóch ostatnich wiadomo było, że w 1929 roku zakupiła je galeria berlińska, *Les Amoureux* prawdopodobnie kupiono w mniej więcej tym samym czasie. Po wybuchu wojny wszystkie trzy znikły.

Jean-Pierre skontaktował się z profesorem Wormitem z Preussischer Kulturbesitz. Profesor, światowy autorytet w sprawach zaginionych dzieł sztuki, zdołał wykluczyć jedną z trzech możliwości. *Le jardin de Daubigny* wkrótce po wojnie znalazł się w zbiorach Siegfrieda Kramarsky'ego w Nowym Jorku, ale nie było wiadomo, w jaki sposób tam trafił. Kramarsky sprzedał później obraz galerii Nichido w Tokio, gdzie obecnie się znajduje. Profesor potwierdził, że los dwu pozostałych płócien jest nieznany.

Teraz Jean-Pierre zwrócił się do madame Tellegen z holenderskiego Rijksbureau voor Kunsthistorische Documentatie. Madame Tellegen była uznanym autorytetem w sprawach malarstwa van Gogha. Stopniowo, dzięki jej światłej pomocy, Jean-Pierre odtworzył historię zaginionych obrazów. W 1937 roku zostały one usunięte z berlińskiej Galerii Narodowej przez nazistów, mimo energicznych protestów dyrektora, doktora Hanfstaengla, i kustosza, doktora Hentzena. Obrazy napiętnowane przez prostackich sługusów narodowego socjalizmu jako wytwór zdegenerowanej sztuki

umieszczone zostały w magazynie przy Kopenickerstrasse w Berlinie. Sam Hitler pofatygował się tam osobiście w styczniu 1938 roku i uznał te poczynania za oficjalną konfiskatę.

Nikt nie wiedział, co się potem stało z płótnami van Gogha. Joseph Angerer, agent Hermanna Göringa, sprzedał cichcem za granicę wiele skonfiskowanych dzieł sztuki, żeby zdobyć wielce potrzebne Führerowi dewizy. Część upłynniono 30 czerwca 1939 roku na wyprzedaży zorganizowanej przez galerię sztuki Fischera w Lucernie. Wiele eksponatów złożonych w składzie przy Kopenickerstrasse po prostu spalono, rozkradziono – a los niektórych do tej pory pozostał nieznany.

Jean-Pierre'owi udało się zdobyć czarno-białe reprodukcje *Les Amoureux i La Moisson*: nie przetrwały żadne kolorowe klisze, jeśli kiedykolwiek istniały. Wydawało mu się nieprawdopodobne, aby ktoś na świecie miał kolorowe reprodukcje obu obrazów, ostatnio widzianych w 1938 roku. Teraz należało rozstrzygnąć, który z nich wybrać.

Les Amoureux, o rozmiarach 76 na 91 cm, był większy. Van Gogh nie był z niego, jak się zdaje, zadowolony. W listopadzie 1889 roku (w liście nr 556) wspominał o „nieudanym szkicu”. Ponadto nie można było odgadnąć koloru tła. Za to La Moisson van Gogh lubił. Skończył olej we wrześniu 1889 roku i pisał o nim: „Mam wielką ochotę namalować żniwiarza jeszcze raz dla mojej matki” (list nr 604). W istocie namalował już trzy bardzo podobne obrazy przedstawiające żniwiarza podczas zbiorów. Jean-Pierre'owi udało się uzyskać kolorowe przezrocza dwu z nich, jedno z Luwru, drugie z Rijksmuseum, gdzie obrazy znajdują się obecnie. Przestudiował kompozycję. Praktycznie dzieła różniły się tylko pozycją słońca i grą światła. Jean-Pierre mógł sobie teraz wyobrazić, jak wyglądał zaginiony obraz w kolorze.

Stein zgodził się z wyborem Jean-Pierre'a. Przed przystąpieniem do pracy długo i drobiazgowo studiował czarno-białą reprodukcję *La Moisson* i kolorowe przezrocza obu bliźniaczych obrazów. Następnie wyszukał nieprzedstawiający żadnej wartości obraz malarza francuskiego z końca dziewiętnastego wieku i zręcznie usunął z niego warstwę farby, pozostawiając czyste płótno z oryginalnym stemplem z tyłu, którego nawet on nie był w stanie podrobić. Oznaczył na płótnie wymiary oryginału: 48,5 na 53 cm i dobrał szpachlę i pędzel, jakimi posługiwał się van Gogh. Po sześciu tygodniach obraz był gotów. Stein zawerniksował swoje dzieło i przez cztery dni podpiekał w piecu w umiarkowanej temperaturze 30°C, aby je postarzyć. Jean-Pierre wynalazł bogato złoconą ramę, w jakie teraz oprawia się impresjonistów, i obraz był gotów do zaprezentowania Harveyowi.

Niechcący podsłuchawszy elektryzującą informację, Harvey uznał, że nie zaszkodzi wpaść do galerii Lamannsa. Był już w odległości paru kroków, gdy ujrzał, że obraz zdejmują z wystawy. Nie wierzył własnym oczom. Bez wątpienia van Gogh, i to najwyższej klasy. *La Moisson* wystawiony był w rzeczywistości tylko dwie minuty.

Harvey prawie wbiegł do galerii, gdzie ujrzał Jean-Pierre'a zajętego rozmową ze Stephenem i Jamesem. Żaden z nich nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Usłyszał gardłowy głos Stephena, który właśnie mówił do Jean-Pierre'a:

– Sto siedemdziesiąt tysięcy gwinei to wysoka cena, ale obraz jest piękny. Czy pan jest pewien, że to ten sam, który znikł z galerii berlińskiej w 1937 roku?

– Nigdy nie można być niczego pewnym, ale na płótnie z tyłu widnieje pieczęć berlińskiej Galerii Narodowej, a Bernheim Młodszy potwierdził, że obraz sprzedany został Niemcom w 1927 roku. Cała jego historia wstecz, aż

do roku 1890, jest dobrze udokumentowana. Wydaje się pewne, że zagrabiono go z muzeum z chwilą wybuchu wojny.

– Jak do pana trafił?

– Z prywatnych zbiorów pewnego angielskiego arystokraty, który chce pozostać anonimowy.

– Doskonale – powiedział Stephen. – Prosiłbym o rezerwację obrazu do godziny czwartej. Przyniosę czek na sto siedemdziesiąt tysięcy gwinei wystawiony przez Dresdner Bank A. G. Czy to panu odpowiada?

– Oczywiście, proszę pana – odparł Jean-Pierre. – Przyjmę go. James w najwytworniejszym garniturze i zabójczym kapeluszu kręcił się przy Stephenie z miną konesera.

– Ten obraz bez wątpienia należy do najwspanialszych prac artysty – powiedział przymilnie.

– Tak, podobał się Julianowi Barronowi u Sotheby'ego, któremu go pokazałem.

James drobnym kroczkiem odszedł w głąb galerii, rozkoszując się rolą konesera. W tym momencie wszedł Robin, z „Guardianem” wystającym z kieszeni.

– Dzień dobry, panie Lamanns. U Sotheby'ego usłyszałem pogłoskę o obrazie van Gogha; zawsze sądziłem, że jest w Rosji. Chciałbym napisać coś do jutrzejszego numeru o historii obrazu i w jaki sposób trafił do pana. Zgadza się pan?

– Będę zachwycony – rzekł Jean-Pierre – aczkolwiek przed chwilą zarezerwowałem obraz dla pana Drossera, znanego niemieckiego marszanda, za sto siedemdziesiąt tysięcy gwinei.

– Cena doprawdy umiarkowana – odezwał się z drugiego końca galerii James tonem znawcy. – Jest to najlepszy obraz van Gogha, jaki widziałem w Londynie po *Mademoiselle Revoux*, i żałuję, że nie będzie wystawiony na

sprzedaż w moim domu aukcyjnym. Zazdroszczę panu, panie Drosser. Gdyby chciał pan kiedyś odprzedać obraz, proszę bezzwłocznie skontaktować się ze mną. – James wręczył wizytówkę Stephenowi i posłał uśmiech Jean-Pierre'owi.

Jean-Pierre spojrzał z uznaniem na Jamesa. Doskonale odgrywał swoją rolę. Robin zaczął robić notatki z nadzieją, że wygląda to na stenografowanie, i ponownie zwrócił się do Jean-Pierre'a.

– Czy ma pan fotografię obrazu?

– Naturalnie.

Jean-Pierre otworzył szufladę, wyjął kolorową fotografię z załączonym opisem, sporządzonym na maszynie, i wręczył Robinowi.

– Proszę zwrócić uwagę na pisownię mego nazwiska, dobrze? Ciągle mylą mnie z miejscowością francuską, w której odbywają się wyścigi samochodowe. To nudne. – Odwrócił się do Stephena. – Herr Drosser, przepraszam, że kazałem panu czekać. W jaki sposób dostarczyć panu obraz?

– Proszę mi go przysłać jutro rano do hotelu Dorchester, pokój numer 120.

Stephen zabierał się do wyjścia.

– Przepraszam – odezwał się Robin – czy mógłby pan podać mi pisownię swego nazwiska?

– DROSSER.

– Czy mogę wspomnieć o panu w artykule?

– Może pan. Jestem bardzo zadowolony z zakupu. Do widzenia panom.

Stephen skłonił się zgrabnie i skierował do drzwi. Wyszedł na Bond Street, a Harvey, ku zgrozie pozostałych, bez wahania wyszedł za nim.

Jean-Pierre ciężko opadł na mahoniowe georgiańskie biureczko i z rozpaczą spojrzał na Robina i Jamesa.

– Boże wszechmocny, to zupełna klęska. Sześć tygodni przygotowań, trzy dni udręki, a potem ten wychodzi sobie jakby nigdy nic. – Jean-Pierre popatrzył na *La Moisson* ze złością.

– O ile pamiętam, Stephen zapewniał nas, że Harvey zostanie i zacznie się targować z Jean-Pierre'em. To w jego stylu – przedrzeźniał James ponuro. – Ani na chwilę nie spuści z obrazu oka.

– Kto, u diabła, wymyślił tę idiotyczną zabawę? – mruknął Robin.

– Stephen! – wykrzyknęli wszyscy naraz i pobiegli do okna.

– Jaki interesujący model rzeźby Henry'ego Moore'a – orzekła obciśnięta gorsetem dama w średnim wieku, kładąc zdecydowanie rękę na lędźwiach nagiego akrobaty z brązu. Weszła niepostrzeżenie do galerii, kiedy z zapamiętaniem oddawali się narzekaniom. – Ile pan sobie za to życzy?

– Proszę chwileczkę poczekać, madame – powiedział Jean-Pierre. – O cholera, chyba Metcalfe idzie w ślad za Stephenem. Robin, wywołaj go.

– Stephen, słyszysz mnie? Pod żadnym pozorem nie oglądaj się za siebie. Wydaje się nam, że Harvey idzie tuż za tobą.

– Co to, u diabła, znaczy, że idzie za mną? Przecież ma być w galerii i kupować van Gogha. Co jest grane?

– Nie dał nam szansy. Wyszedł natychmiast za tobą, zanim którykolwiek z nas mógł zagrać zgodnie ze scenariuszem.

– Znakomicie. I co mam teraz zrobić?

Jean-Pierre przejął inicjatywę.

– Idź lepiej do hotelu Dorchester, na wypadek gdyby szedł za tobą celowo.

– Nie mam pojęcia, gdzie to jest – jęknął Stephen.

Robin pospieszył na ratunek.

– Skręć w pierwszą przecznicę na prawo. Dojdziesz do Bruton Street. Idź cały czas prosto, aż wejdziesz na Berkeley Square. Nie wyłączaj się. I nie oglądaj się za siebie, bo zamienisz się w słup soli.

– James – rzucił Jean-Pierre, nie po raz pierwszy w życiu wykazując się błyskawicznym refleksem. – Wsiadaj natychmiast w taksówkę i jedź do hotelu Dorchester. Wynajmij pokój 120 na nazwisko Drossera. Gdyby Stephen pojawił się w drzwiach, podaj mu klucz i zmykaj. Stephen?

– Tak?

– Słyszałeś wszystko?

– Tak. Powiedz jeszcze Jamesowi, żeby wziął pokój 119 albo 121, gdyby 120 był zajęty.

– Zrozumiałem – powiedział Jean-Pierre. – Leć, James!

James wypadł z galerii, odepchnął kobietę, która zatrzymała właśnie taksówkę – nigdy w życiu tego nie zrobił – i krzyknął:

– Dorchester! Piorunem!

Taksówka pomknęła jak ścigana.

– Stephen, James już pojechał. Wysyłam teraz Robina, żeby szedł za Harveyem, informował cię i wskazywał drogę do hotelu. Ja tkwię tutaj. Wszystko w porządku?

– Nie – powiedział Stephen. – Zacznij się modlić. Jestem na Berkeley Square. Co dalej?

– Przetnij park i idź prosto Hill Street.

Robin wyszedł z galerii i biegł do Bruton Street, póki nie znalazł się jakieś pięćdziesiąt kroków za Harveyem.

– Pomówmy o modelu rzeźb Henry'ego Moore'a – odezwała się dama w gorsecie.

– Pieprzyć Moore'a – warknął Jean-Pierre, nawet się nie oglądając.

Biust wsparty na metalowej konstrukcji gniewnie zafalował.

– Młody człowieku, nikt nigdy do mnie w ten sposób...

Ale Jean-Pierre dopadł już ustępu i zamknął za sobą drzwi.

– Teraz przecinasz South Audley Street, wchodzisz w Deanery Street. Idź prosto, nie skręcaj w prawo ani w lewo i nie oglądaj się przypadkiem do tyłu. Harvey podąża kilkadziesiąt kroków za tobą, ja kilkadziesiąt kroków za nim – tłumaczył Robin. Przechodnie oglądali się za mężczyzną, który mówił do małego aparaciku.

– Czy pokój sto dwadzieścia jest wolny?

– Tak, proszę pana. Dziś rano został zwolniony, ale nie jestem pewien, czy można w nim już zamieszkać. Chyba nie jest jeszcze posprzątany. Muszę sprawdzić – powiedział wysoki recepcjonista, który miał na sobie marynarkę, co znaczyło, że jest szefem piętra.

– Och, to drobnostka – powiedział James z niemieckim akcentem, który wychodził mu o niebo lepiej niż Stephenowi. – Zawsze zajmuję ten pokój. Czy mógłbym zatrzymać się na jedną noc? Nazywam się Drosser, Herr... Hm... Helmut Drosser.

Położył dyskretnie banknot funtowy.

– Oczywiście, proszę pana.

– To już Park Lane, Stephen. Spójrz w prawo. Wielki hotel na rogu to Dorchester, a ten łuk na wprost to główne wejście. Wejdź po schodach, miń tego osiłka w zielonym płaszczu, pchnij obrotowe drzwi. Recepcja jest z prawej strony. Tam powinien czekać James.

Jak dobrze, że w zeszłym roku Królewskie Towarzystwo Lekarskie urządziło doroczną uroczystą kolację właśnie tutaj, pomyślał Robin.

– Gdzie jest Harvey? – bąknął Stephen.

– Niecałe trzydzieści kroków za tobą.

Stephen przyspieszył kroku, wbiegł po schodach i tak mocno pchnął obrotowe drzwi, że goście wychodzący z hotelu wypadli na zewnątrz o wiele szybciej, niż zamierzali. Dzięki Bogu James czekał już z kluczem.

– Winda jest tam – pokazał. – Wybrałeś jeden z najdroższych apartamentów.

Stephen spojrzał w kierunku, który wskazał mu James, i odwrócił się, żeby podziękować. Ale James szedł już spiesznie do Amerykańskiego Baru; nie chciał się natknąć na Harveya.

Stephen wysiadł z windy na pierwszym piętrze i stwierdził, że Dorchester, w którym nigdy jeszcze nie był, urządzony jest równie tradycyjnie jak Claridge. Korytarz, wyłożony grubymi, szafirowo-złotymi dywanami, prowadził do wspaniałego, narożnego apartamentu z widokiem na Hyde Park. Stephen opadł na fotel, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać. Nic nie poszło zgodnie z planem.

Jean-Pierre czekał w galerii, James w barze, a Robin kręcił się po Park Lane koło banku Barclaya, pseudoelżbietańskiego budynku, nieopodal hotelu Dorchester.

– Czy tu mieszka pan Drosser? Pokój numer sto dwadzieścia? – warknął Harvey.

Recepcjonista zajrzał do spisu gości.

– Tak, proszę pana. Czy oczekuje pana?

– Nie, ale zadzwonię do niego na górę.

– Proszę bardzo. Zechce pan pójść w lewo, w tej niszy znajdzie pan pięć kabin telefonicznych. W jednej jest aparat do rozmów wewnętrznych.

Harvey pomaszerował we wskazanym kierunku.

– Pokój sto dwadzieścia – rzucił siedzącemu w małym boksie telefoniście w zielonym mundurze ze złotymi wieżami na wyłogach.

– Proszę do pierwszej kabiny.

– Pan Drosser?

– Przy telefonie – powiedział Stephen, przybierając na zawołanie niemiecki akcent.

– Moje nazwisko Metcalfe. Czy mógłbym wpaść do pana, by zamienić parę słów? Chodzi o obraz van Gogha, który kupił pan dziś rano.

– Hm, trochę mi to nie na rękę. Właśnie idę pod prysznic i umówiony jestem na lunch.

– Zajmę panu tylko parę minut.

Zanim Stephen zdążył odpowiedzieć, rozległ się stuk odkładanej słuchawki. Po kilku minutach usłyszał pukanie. Nogi się pod nim uginały. Zdenerwowany otworzył drzwi. Miał na sobie biały szlafrok hotelowy, a jego brązowa czupryna była trochę rozwichrzona i przyciemniona. Nic ponadto nie był w stanie tak prędko wymyślić, gdyż pierwotny scenariusz nie dopuszczał możliwości spotkania twarzą w twarz z Harveyem.

– Proszę mi wybaczyć to najście, panie Drosser, ale musiałem natychmiast się z panem zobaczyć. Wiem, że kupił pan właśnie obraz van Gogha w galerii Lamannsa, i pomyślałem, że jako marszand zechce pan go z miejsca odprzedać z zyskiem.

– Nie, skądże – odparł Stephen i kamień spadł mu z serca. – Od wielu lat pragnąłem, żeby ten obraz wisiał w mojej galerii w Monachium. Przykro mi, panie Metcalfe, ale nie zamierzam go sprzedać.

– Słuchaj pan, zapłacił pan sto siedemdziesiąt tysięcy gwinei. Ile to będzie w dolarach?

Stephen zamilkł na chwilę.

– Około czterystu trzydziestu pięciu tysięcy dolarów.

– Dam piętnaście tysięcy kawałków odstępnego. Wystarczy, żeby pan zadzwonił do galerii i powiedział, że obraz jest teraz mój i że ja za niego zapłacę.

Stephen siedział milczący, niepewny, jak rozegrać sytuację, żeby nie popełnić błędu. Myśl jak Harvey Metcalfe, powiedział sobie.

– Dwadzieścia tysięcy gotówką i interes ubity.

Harvey zawahał się. Stephenowi znów zadrżały nogi.

– Zgoda – powiedział Harvey. – Niech pan natychmiast telefonuje do galerii.

Stephen podniósł słuchawkę.

– Proszę mnie pilnie połączyć z galerią Lamannsa na Bond Street, spieszę się na lunch.

Po kilku sekundach odezwał się głos:

– Galeria Lamannsa.

– Chciałbym mówić z właścicielem.

– No wreszcie, Stephen. Co z tobą, do licha?

– A, pan Lamanns, tu Drosser. Pamięta pan, byłem rano w pańskiej galerii?

– Jasne, że pamiętam, ty idioto. Czemu się wygłupiasz? To ja, Jean-Pierre.

– Jest tu u mnie pan Metcalfe.

– Chryste, wybacz, Stephen. Nie wie...

– I za parę minut przyjdzie do galerii.

Stephen spojrzał na Harveya, który kiwnął głową.

– Zrzekam się kupionego rano obrazu van Gogha na rzecz pana Metcalfe'a, który wystawi panu czek na pełną sumę stu siedemdziesięciu tysięcy gwinei.

– Po klęsce... zwycięstwo – szepnął Jean-Pierre.

– Bardzo żałuję, że obraz nie będzie mój, ale, jak mówią Amerykanie, dostałem ofertę nie do odrzucenia. Dziękuję za pańską uprzejmość – zakończył Stephen i odłożył słuchawkę.

Harvey wypisał czek na dwadzieścia tysięcy dolarów płatne gotówką.

– Dziękuję panu. Jestem uszczęśliwiony.

– Ja też nie mogę się skarżyć – szczerze powiedział Stephen.

Odprowadził Harveya do drzwi, uścisnęli sobie ręce.

– Do widzenia panu.

– Do widzenia, panie Metcalfe.

Stephen zamknął drzwi i chwiejnym krokiem zbliżył się do fotela. Usiadł, nagle osłabły.

Robin i James widzieli, jak Harvey wychodzi z hotelu. Robin szedł w ślad za nim w kierunku galerii i z każdym krokiem rosły jego nadzieje. James pojechał windą na pierwsze piętro i dopadł pokoju numer 120. Zaczął walić w drzwi. Stephen poderwał się. Nie czuł się na siłach, by jeszcze raz zmierzyć się z Harveyem. Otworzył drzwi.

– O, to ty, James! Odwołaj pokój, zapłać za jedną noc i przyjdź do koktajlbaru.

– Dlaczego? Po co?

– Na szampana Krug, rocznik 1964, Privée Cuvée.

Pierwsza przeszkoda wzięta, zostały jeszcze trzy.

XI

Jean-Pierre przybył ostatni do mieszkania lorda Brigsleya na King's Road. Uważał, że ma prawo do uroczystego entrée. Wartość czeków Harveya została zapisana na konto galerii Lamannsa i obecnie saldo wynosiło 447 560 dolarów. Obraz van Gogha znalazł się w rękach Harveya i jakoś świat jeszcze się nie zawalił. Jean-Pierre zagarnął więcej pieniędzy w ciągu dwu miesięcy przestępczych kombinacji niż podczas dziesięciu lat uczciwego handlu.

Oczekująca go trójka urządziła mu huczne powitanie, co najmniej jakby był gwiazdą sportu, i poczęstowała kieliszkiem szampana Veuve Clicquot rocznik 1959 – z ostatniej już butelki, jaka została Jamesowi.

– Mieliśmy szczęście – powiedział Robin.

– Nic podobnego – sprzeciwił się Stephen. – Zszarpaliśmy sobie nerwy i nauczyliśmy się jedynie, że on potrafi w połowie meczu zmienić reguły gry.

– O mało co nie zmienił samej gry.

– Racja. Dlatego cały czas musimy pamiętać, że jeśli nie wygramy cztery razy, to przegramy. Nie możemy lekceważyć przeciwnika tylko dlatego, że powiodło nam się w pierwszej rundzie.

– Odpręż się, profesorze – odezwał się James. – O interesach pomówimy po kolacji. Anne specjalnie przyszła dziś po południu, żeby przyrządzić mus łososiowy, a rozmowa o Harveyu zepsuje nam smak.

– Kiedyż poznamy tę nieziemską istotę? – spytał Jean-Pierre.

– Jak to wszystko będzie już za nami.

– Nie żeń się z nią, James. Ona leci na nasze pieniądze.

Wybuchnęli śmiechem. James pomyślał, że nadejdzie chyba dzień, kiedy będzie mógł im powiedzieć, iż Anne wiedziała o wszystkim od początku. Podał na stół *boeuf en croûte* i dwie butelki wina Echezeaux rocznik 1970. Jean-Pierre z uznaniem powąchał sos.

– Po namyśle doszedłem do wniosku, że należałoby się poważnie zastanowić nad jej kandydaturą, jeśli w łóżku jest choćby w połowie taka sprawna jak w kuchni.

– Nie będziesz miał szansy, żeby to ocenić, Jean-Pierre. Musisz się zadowolić podziwianiem jej kunsztu kulinarnego.

– James, byłeś dziś rano naprawdę doskonały. – Stephen postanowił odwrócić uwagę od ulubionego tematu Jean-Pierre'a. – Powinieneś pójść na scenę. Marnujesz talent, poprzestając na roli brytyjskiego arystokraty.

– Zawsze o tym marzyłem, ale mój staruszek jest przeciwny. Jeśli się czeka na odziedziczenie fortuny, trzeba się wykazać synowskim posłuszeństwem.

– A może byś odegrał sam wszystkie cztery role w Monte Carlo? – rzucił Robin.

Na wzmiankę o Monte Carlo spoważnieli.

– Do roboty – rzekł Stephen. – Jak na razie zainkasowaliśmy 447 560 dolarów. Wydatki związane z obrazem i niespodzianym wynajęciem pokoju hotelowego wyniosły 11 142 dolary, czyli Metcalfe jest nam dłużny jeszcze 563 582 dolary. Myślcie o tym, ile jesteśmy stratni, a nie ile uzyskaliśmy. Teraz przejdźmy do operacji w Monte Carlo, która zależy od idealnej synchronizacji i od tego, czy będziemy w stanie utrzymać się w swoich rolach przez kilka godzin. Robin wyda nam dyspozycje.

Robin wydobył zielone dossier z teczki, którą miał przy sobie, i chwilę przeglądał notatki.

– Jean-Pierre, musisz zapuścić brodę. Zacznij od dzisiaj. Za trzy tygodnie zmienisz się do niepoznania. Musisz się krótko ostrzyc. – Robin uśmiechnął się bez współczucia na widok krzywej miny Jean-Pierre'a. – Tak, będziesz odrażający.

– To wykluczone – powiedział skromnie Jean-Pierre.

– Jak ci idą bakarat i oko? – spytał Robin.

– Straciłem trzydzieści siedem funtów w ciągu pięciu tygodni, wliczając wpisowe do Claremont i Złotej Bryłki.

– Dopisujemy do kosztów – odezwał się Stephen. – To zwiększa rachunek do 563 619 dolarów.

Wszyscy trzej się roześmiali. Tylko Stephenowi nawet usta nie drgnęły. Był śmiertelnie poważny.

– James, jak sobie radzisz z prowadzeniem furgonetki?

– Ze Szpitala Świętego Tomasza na Harley Street jadę czternaście minut. Trasę w Monte Carlo powinienem przejechać w jedenaście minut, chociaż w przeddzień muszę trochę poćwiczyć. Najważniejsze, żebym opanował jazdę po niewłaściwej stronie.

– Dziwne, że wszyscy prócz Brytyjczyków jeżdżą po niewłaściwej stronie – zauważył Jean-Pierre.

James zignorował go.

– Kontynentalne znaki drogowe też są dla mnie problemem.

– Przecież masz je w przewodniku Michelina, który ci dałem.

– Tak, ale poczuję się pewniej, gdy poznam trasę w rzeczywistości, a nie tylko z mapy. W Monako jest sporo ulic jednokierunkowych, a nie chcę, żeby mnie zatrzymano, kiedy będę jechał pod prąd z nieprzytomnym Harveyem z tyłu.

– Nie martw się. Będziesz miał sporo czasu, gdy znajdziesz się na miejscu. No, to został tylko Stephen, który notabene jest chyba najzdolniejszym studentem medycyny, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Mam nadzieję, że jesteś pewien swojej nabytej ostatnio wiedzy, prawda?

– Tak mniej więcej jak ty, Robin, swego amerykańskiego akcentu. W każdym razie liczę na to, że zanim dojdzie do naszego spotkania, Harvey Metcalfe nie będzie miał głowy, żeby zajmować się takimi błahostkami.

– Nie przejmuj się. Wierz mi, gdybyś nawet miał pod każdą pachą obraz van Gogha i przedstawił się jako Herr Drosser i tak by cię nie rozpoznał.

Robin rozdał wszystkim plan ostatnich już praktyk na Harley Street i w Szpitalu Świętego Tomasza i ponownie zajrzał do zielonej teczki.

– Zarezerwowałem w Hôtel de Paris cztery jednoosobowe pokoje na różnych piętrach i potwierdziłem ustalenia w Center Hospitalier księżny Grace. Hotel cieszy się opinią jednego z najlepszych na świecie. Jest naturalnie drogi, ale za to położony blisko kasyna. Lecimy do Nicei w poniedziałek, następnego dnia po przybyciu Harveya do Monte Carlo.

– Co robimy z resztą tygodnia? – spytał niewinnie James.

Stephen zabrał głos.

– Wkuwamy na blachę materiały z zielonej teczki i przygotowujemy się idealnie na próbę generalną w piątek. Ty zaś, James, musisz wreszcie wziąć się w garść i powiedzieć nam, co masz zamiar robić.

James pogrążył się w ponurym milczeniu.

Stephen energicznie zamknął teczkę.

– To chyba wszystko na dzisiaj.

– Chwileczkę, Stephen – powiedział Robin. – Rozbierzemy cię jeszcze raz. Chciałbym sprawdzić, czy uda się w dziewięćdziesiąt sekund.

Lekko się ociągając, Stephen położył się na środku pokoju, a James i Jean-Pierre rozebrali go sprawnie i uważnie.

– Osiemdziesiąt siedem sekund. Doskonale – powiedział Robin, spoglądając na Stephena, który nie miał na sobie nic prócz zegarka. – Do diabła, ale się zrobiło późno. Muszę wracać do Newbury. Żona pomyśli, że mam kochankę, a do żadnego z was nie czuję pociągu.

Stephen szybko się ubrał, pozostali szykowali się do wyjścia. Parę minut później James stał w drzwiach frontowych, odprowadzając ich wzrokiem. Gdy tylko Stephen znikł z pola widzenia, James zbiegł po parę stopni naraz do kuchni.

– Słyszałaś?

– Tak, kochanie. Są całkiem sympatyczni i nic dziwnego, że się na ciebie irytują. Podchodzą do tej imprezy jak eksperci, tylko ty robisz wrażenie amatora. Musimy coś wymyślić, coś takiego, żebyś im dorównał. Mamy ponad tydzień do wyjazdu Metcalfe'a do Monte Carlo i trzeba ten czas wykorzystać konstruktywnie.

James westchnął.

– Ale dziś wieczór cieszmy się. Przynajmniej ten ranek przyniósł sukces.

– Tak, ale nie tobie. Od jutra pracujemy.

XII

– Pasażerowie udający się do Nicei, lot zero siedemnaście, proszeni są o zgłoszenie się do wyjścia numer siedem – zahuczał głośnik na dworcu lotniczym nr 1 na Heathrow.

– To my – powiedział Stephen.

Wjechali windą na pierwsze piętro i powędrowali długim korytarzem. Po skontrolowaniu, czy nie mają przy sobie broni, bomb i tego wszystkiego, o co podejrzewa się terrorystów, zeszli pochylnią na pokład samolotu.

James wpatrywał się melancholijnie w bezchmurne niebo i rozmyślał. Razem z Anne przejrzeli wszelkie możliwe książki, które choćby aluzyjnie wspominały o skradzionych pieniądzach albo udanym podstępie, lecz nie znaleźli niczego, co mogliby naśladować. Nawet Stephena, gdy go rozbierali i przeprowadzali na nim ćwiczenia w Szpitalu Świętego Tomasza, dręczyła myśl, czy potrafi znaleźć skuteczny plan dla Jamesa.

Trident wylądował w Nicei o trzynastej czterdzieści, podróż koleją z Nicei do Monte Carlo trwała dwadzieścia minut. Każdy z nich poszedł osobno do eleganckiego Hôtel de Paris przy Place du Casino. O ósmej wieczorem spotkali się wszyscy w pokoju 217.

– Wszyscy ulokowani w swoich pokojach? – pozostali trzej kiwnęli głowami. – Jak na razie wszystko gra – powiedział Robin. – Dobrze, sprawdzimy scenariusz. Jean-Pierre, idź dziś wieczór do kasyna i rozegraj kilka partii bakarata i oka. Spróbuj się zaaklimatyzować i rozejrzyj się. Zwróć szczególną uwagę na różnice w szczegółach gry w porównaniu z

Claremont i uważaj, żeby nie odezwać się po angielsku. Czy przewidujesz jakieś trudności?

– Nie, nie sądzę. Właściwie mogę zaraz iść i poćwiczyć.

– Nie przepuść za dużo forsy – upomniał go Stephen.

Jean-Pierre, który wyglądał olśniewająco w smokingu i z brodą, błysnął zębami w uśmiechu, wymknął się z pokoju 217 i zszedł po schodach, stroniąc od windy. Udał się spacerkiem do słynnego kasyna, znajdującego się tuż koło hotelu.

Robin mówił dalej:

– James, przejedź się taksówką spod kasyna do szpitala. Każ taksówkarzowi poczekać parę minut przed szpitalem, a potem wrócić do kasyna. Taksówkarze wybierają zazwyczaj najkrótszą trasę, ale dla pewności powiedz, że to nagły wypadek. Dowiesz się w ten sposób, którędy jedzie, kiedy się naprawdę spieszy. Gdy przywiezie cię pod kasyno, przejdź się na piechotę do szpitala i z powrotem. Zorientujesz się, jak rozplanować jazdę. Tak samo zapoznaj się z trasą od szpitala do przystani, gdzie przycumowany jest jacht Harveya. W żadnym wypadku nie wchodź do kasyna ani nie zbliżaj się do jachtu. Pamiętaj, że jeśli teraz cię zobaczą, później cię mogą rozpoznać.

– Skąd będę wiedział, jak się poruszać po kasynie krytycznej nocy?

– Jean-Pierre o to zadba. Wyjdzie po ciebie do drzwi, gdyż Stephen nie będzie mógł odejść od Harveya. Nie sądzę, żeby ci kazali zapłacić dwanaście franków za wstęp, skoro będziesz w białym kitlu i z noszami, ale na wszelki wypadek miej te pieniądze przy sobie. Dzisiaj, po przejściu obu tras, wróć do swego pokoju i nie wychodź nigdzie aż do naszego spotkania jutro rano o jedenastej. Ja i Stephen także pojedziemy do szpitala, by sprawdzić, czy wszystko przygotowano tak, jak uzgodniłem z Londynu. Gdybyś nas przypadkiem zobaczył, nie zwracaj na nas uwagi.

W chwili gdy James opuszczał pokój 217, Jean-Pierre stanął przed kasynem.

Kasyno wznosi się nad morzem, w otoczeniu wspaniałych ogrodów, w sercu Monte Carlo. Budynek składa się z kilku skrzydeł, najstarsze zaprojektował Charles Garnier, twórca Opery Paryskiej. Sale gry, dobudowane w 1910 roku, połączone są galerią z Salle Garnier, gdzie wystawiane są opery i przedstawienia baletowe.

Jean-Pierre wszedł po marmurowych schodach i zapłacił dwanaście franków wstępu. Sale gry są rozległe i tchną atmosferą dekadencji i przepychu z przełomu wieku. Grube czerwone dywany, posągi, obrazy i stare tkaniny nadają wnętrzu splendor niemal królewski, a portrety wiszące na ścianach wnoszą nastrój wciąż zamieszkanego dworu. Do klienteli kasyna, jak przekonał się Jean-Pierre, należą przedstawiciele wszelkich możliwych narodowości; Arabowie i Żydzi siedzieli obok siebie przy ruletce i gawędzili ze swobodą, jaka byłaby nie do pomyślenia w gmachu ONZ. W nierealnym świecie bogaczy Jean-Pierre poczuł się całkowicie odprężony. Robin ocenił go właściwie i obdarzył rolą, którą mógł odegrać błyskotliwie.

Jean-Pierre poświęcił ponad trzy godziny na przestudiowanie rozkładu kasyna – sal gry, barów, restauracji, telefonów, wejść i wyjść. Następnie zaczął się przyglądać grze. Stwierdził, że w Salons Privés gra się przy dwu stołach w bakarata od trzeciej po południu i od jedenastej w nocy, a od Pierre'a Cattalano, szefa służby informacyjnej kasyna, dowiedział się, gdzie najczęściej grywa Harvey Metcalfe.

W dwadzieścia jeden grywa się w Salon des Amériques codziennie od jedenastej rano. Cattalano powiedział Jean-Pierre'owi, że Harvey zawsze siada przy stole numer 2 na miejscu 3. Jean-Pierre pograł trochę w bakarata i oko, by wykryć ewentualne drobne różnice w regułach gry

obowiązujących w kasynie i w Claremont. Nie było jednak żadnych, gdyż w klubie londyńskim nadal przestrzega się zasad francuskich.

Harvey Metcalfe wkroczył szumnie do kasyna tuż po dwudziestej trzeciej, zostawiając za sobą smugę popiołu z cygara, urywającą się przy stole do bakarata. Jean-Pierre, ukryty w barze, widział, jak szef krupierów najpierw z rewerencją zaprowadził Harveya na zarezerwowane miejsce, a następnie przeszedł do Salon des Amériques i umieścił na jednym z krzeseł przy stole numer 2 dyskretną białą kartkę z napisem *Réservé*. Najwyraźniej Harvey cieszył się tutaj szczególnymi względami. Dyrekcja kasyna orientowała się równie dobrze jak Jean-Pierre, w co grywa Harvey Metcalfe. O jedenastej dwadzieścia Jean-Pierre cicho wyszedł i powrócił do swej samotni w hotelu, gdzie pozostał do jedenastej następnego dnia. Nigdzie nie telefonował i nie wzywał obsługi hotelowej.

Jamesowi wieczór również się udał. Taksówkarz był pierwszorzędny. Na słowo „wypadek” przedzierzgnął się w Waltera Mitty'ego; gnał przez Monte Carlo, jakby to był rajd. Gdy James po ośmiu minutach i czterdziestu czterech sekundach jazdy znalazł się w szpitalu, czuł się rzeczywiście nie najlepiej i musiał odpocząć parę minut w poczekalni izby przyjęć, nim wrócił do taksówki.

– Z powrotem do kasyna, ale o wiele wolniej, proszę.

Jazda powrotna przez rue Grimaldi trwała nieco ponad jedenaście minut; James zadecydował, że on poprzestanie na dziesięciu. Zapłacił taksówkarzowi i przystąpił do wykonania dalszych instrukcji.

Spacer do szpitala i z powrotem zajął mu niewiele ponad godzinę. Na twarzy czuł łagodny, nocny powiew, ulice pełne były ożywionych, rozgadanych ludzi. Turystyka jest głównym źródłem dochodu księstwa i Monakijczycy bardzo dbają o dobre samopoczucie swoich gości. James przechodził obok niezliczonych małych restauracyjek ze stolikami na

chodnikach i koło sklepów z pamiątkami pełnych kosztownych, banalnych bibelotów, o których zapomina się lub gubi w tydzień po kupieniu. Hałaśliwe grupy turystów wędrowały trotuarami, wielojęzyczny szmer ich niezrozumiałych rozmów wtórował jego myślom o Anne. Po powrocie do kasyna James wsiadł do taksówki i pojechał na przystań, by odnaleźć Gońca, jacht Harveya, po czym wrócił do szpitala, następnie przeszedł tę trasę pieszo i, jak Jean-Pierre, przed północą znalazł się w zaciszu swego pokoju po wykonaniu pierwszego zadania.

Robin i Stephen wędrowali z hotelu do szpitala przeszło czterdzieści minut. W szpitalu Robin spytał recepcjonistkę, czy zastał administratora szpitala.

– Tak, ma nocny dyżur – powiedziała francuska pielęgniarka w świeżo wykrochmalonym czepku. – kogo mam powiedzieć?

Miała doskonały akcent angielski i słysząc jej drobny lapsus, powstrzymali się od śmiechu.

– Doktor Wiley Barker z Uniwersytetu Kalifornijskiego.

Robin modlił się w duchu, żeby Francuz przypadkiem nie wiedział, że Wiley Barker, lekarz prezydenta Nixona i jeden z najbardziej cenionych chirurgów na świecie, objeżdża właśnie Australię, wygłaszając cykl wykładów w większych uniwersytetach.

– Bon soir, docteur Barker. Monsieur Bartise à votre service. Votre visite fait grand honneur à notre hôpital humble.

Nowo nabyty akcent amerykański Robina powstrzymał potok francuskiej konwersacji.

– Chciałbym obejrzeć salę operacyjną i potwierdzić tymczasową rezerwację na pięć nocy od jedenastej wieczorem do czwartej rano, od jutra począwszy.

– Zgadza się, docteur Barker – powiedział pan Bartise, zajrzawszy do notatnika. – Do sali wchodzi się z następnego korytarza. Proszę za mną.

Blok operacyjny nie różnił się specjalnie od tego, w którym odbywali praktyki w Szpitalu Świętego Tomasza, i składał się z dwu sal oddzielonych hermetycznymi drzwiami. Sala operacyjna była doskonale wyposażona i Robin kiwnięciem głowy dał Stephenowi znak, że zawiera wszystkie potrzebne instrumenty. Robin był zachwycony. Chociaż szpital miał tylko dwieście łóżek, sala operacyjna odpowiadała najwyższym standardom. Widać było, że leczy się tu bogaczy.

– Czy będzie panu, docteur Barker, potrzebny anestezjolog albo instrumentariuszki?

– Nie – odparł Robin. – Mam własnego anestezjologa i swój personel, ale prosiłbym o przygotowanie co wieczór instrumentów do laparotomii. Uprzedzę pana jednak co najmniej godzinę wcześniej, kiedy wszystko ma być ostatecznie gotowe.

– To mnóstwo czasu. Czy coś jeszcze będzie potrzebne?

– Tak, specjalny samochód, który zamówiłem. Czy mój kierowca może się po niego zgłosić jutro po dwunastej?

– Tak, docteur Barker. Znajdzie go na małym parkingu za szpitalem, a kluczyki będzie mógł odebrać w recepcji.

– Czy może mi pan polecić agencję, w której mógłbym zamówić pielęgniarkę do opieki pooperacyjnej?

– Ależ tak, nicejska Auxiliaire Médicale będzie do pańskich usług, za określoną cenę oczywiście.

– Oczywiście – powiedział Robin. – À propos, czy nie jestem nic winien?

– Nie. W ubiegły czwartek otrzymaliśmy z Kalifornii czek na siedem tysięcy dolarów.

To było doskonałe posunięcie. I takie proste. Stephen porozumiał się z bankiem harwardzkim i poprosił o przesłanie czeku wystawionego przez First National City Bank w San Francisco do administracji szpitala w Monte Carlo.

– Dziękuję za pańską pomoc, monsieur Bartise. Ogromnie pan uprzejmy. Widzi pan, nie jestem całkiem pewien, którego wieczoru przywiozę mojego pacjenta. Jest chorym człowiekiem, chociaż o tym nie wie, i muszę go przygotować do operacji.

– Naturalnie, *mon cher docteur.*

– I jeszcze jedno. Byłbym wdzięczny, gdyby jak najmniej osób wiedziało o mojej obecności w Monte Carlo. Chciałbym mimo wszystko chociaż trochę odpocząć.

– Rozumiem, docteur Barker. Może pan liczyć na moją dyskrecję.

Robin i Stephen pożegnali pana Bartise'a i wsiedli do taksówki, która zawiozła ich do hotelu.

– Zawsze czuję się nieswojo, gdy myślę, jak dobrze Francuzi mówią po angielsku i jak my źle mówimy po francusku – wyznał Stephen.

– To wszystko wasza wina, cholerni Amerykanie – zakpił Robin.

– Nie, nie masz racji. Gdyby to Francja podbiła Amerykę, mówiłbyś doskonale po francusku. To sprawka Ojców Pielgrzymów.

Robin się roześmiał. Póki nie znaleźli się w pokoju 217, nie odezwali się więcej z obawy, żeby ktoś ich nie usłyszał. Stephen był w pełni świadom odpowiedzialności i ryzyka, jakie niósł ze sobą plan Robina.

Harvey Metcalfe opalał się na pokładzie jachtu i czytał poranne gazety. „Nice-Matin”, co irytujące, wychodziła w języku francuskim. Harvey czytał z mozołem, zaglądając do słownika; ciekaw był okazji towarzyskich, na które warto by się wprosić. Grał w kasynie do późna, a teraz wylegiwał się,

wystawiając tłuste plecy do słońca. Gdyby to za pieniądze można było zmienić się w wysokiego, smukłego faceta o bujnej czuprynie! Niestety, nawet tony olejku do opalania nie ochroniłyby jego łysiejącej głowy przed oparzeniem, przykrył ją więc czapką z napisem „Jestem sexy”. Gdyby go teraz zobaczyła panna Fish...

O jedenastej, gdy Harvey przewrócił się na plecy i ukazał słońcu swój potężny brzuch, James wkroczył do pokoju 217, gdzie czekała reszta zespołu.

Jean-Pierre zaznajomił wszystkich z rozkładem kasyna i zwyczajami Metcalfe'a. James opowiedział o szaleńczej jeździe poprzedniego wieczoru i oznajmił, że zdoła przejechać tę trasę w niespełna jedenaście minut.

– Świetnie – powiedział Robin. – Ze szpitala do hotelu jechaliśmy taksówką piętnaście minut, jeśli więc Jean-Pierre zawiadomi mnie natychmiast, jak tylko w kasynie zaczną się kłopoty, zdążę przygotować wszystko przed waszym przyjazdem.

– Mam nadzieję, że kłopoty nie zaczną się, lecz skończą w kasynie – wtrącił Jean-Pierre.

– Zamówiłem za pośrednictwem agencji pielęgniarkę, która od jutrzejszego wieczoru będzie czekać na wezwanie. W szpitalu jest wszystko, czego potrzebuję. Przejście z noszami od drzwi frontowych do sali operacyjnej zajmie około dwóch minut, zatem od chwili, gdy James opuści parking, powinienem mieć co najmniej szesnaście minut, by się przygotować. James, samochód będzie na parkingu szpitalnym od dwunastej w południe. Kluczyki w recepcji na nazwisko doktora Barkera. Zaryzykuj dwie próbne jazdy, nie więcej. Nie chcę, żeby zwrócono na ciebie uwagę. I połóż, proszę, z tyłu tę paczkę.

– Co w niej jest?

– Trzy białe kitle i stetoskop dla Stephena. Przy okazji sprawdź, czy nosze się nie zacinają. Po zakończeniu dwóch jazd odstaw samochód na parking i zostań w hotelu do jedenastej w nocy. Od tej chwili do czwartej rano będziesz musiał wyczekiwać na parkingu na sygnał Jean-Pierre'a „Pogotowie bojowe” lub „Pogotowie odwołane”. Kupcie baterie do swoich aparatów. Nie chciałbym, żeby wszystko wzięło w łeb z braku groszowej bateryjki. Obawiam się, Jean-Pierre, że nie masz do wieczora nic do roboty, odpręż się... Może masz w pokoju coś ciekawego do czytania?

– Czy mógłbym pójść do kina Princess na film François Truffaut *Noc amerykańska*? Wprost uwielbiam Jacqueline Bisset. *Vive la France!*

– Mój drogi Jean-Pierre, Bisset pochodzi z Reading – sprostował James.

– Nic mnie to nie obchodzi. Chcę ją zobaczyć.

– „Pan Żaba miał chrapkę na małą żabkę” – zakpił James.

– Ale dlaczego nie? – powiedział Robin. – Trudno przypuścić, żeby Harveya zainteresował intelektualizujący film francuski bez angielskich napisów. Mam nadzieję, że ci się spodoba, Jean-Pierre. I życzę szczęścia wieczorem.

Jean-Pierre znikł równie bezszelestnie, jak się zjawił, zostawiając ich trzech w pokoju 217.

– Dobrze, James. Wypróbuj trasę, kiedy będziesz chciał. Pamiętaj, bądź czujny w nocy.

– Jasne. Pójdę już i wezmę kluczyki z recepcji. Miejmy tylko nadzieję, że nikt mnie nie zatrzyma do prawdziwego wypadku.

– A więc, Stephen, powtórzmy wszystko jeszcze raz. Ryzykujemy nie tylko pieniądze, jeśli coś pójdzie nie tak. Zaczynamy od najważniejszego. Co zrobisz, gdy poziom podtlenku azotu spadnie poniżej pięciu litrów...

– Kontrola gotowości bojowej, kontrola gotowości bojowej, operacja Metcalfe. Tu Jean-Pierre. Stoję na stopniach kasyna. Słyszysz mnie, James?

– Tak. Jestem na parkingu szpitalnym. Wyłączam się.

– Tu Robin. Jestem na balkonie pokoju 217. Czy Stephen jest z tobą, Jean-Pierre?

– Tak, pije sok w barze.

– Życzę powodzenia. Wyłączam się.

Jean-Pierre przeprowadzał kontrolę gotowości co godzina od siódmej wieczorem do jedenastej, po to tylko, by informować Robina, że Harvey jeszcze nie przyszedł.

Pokazał się wreszcie o jedenastej szesnaście i zajął zarezerwowane miejsce przy stole do bakarata. Stephen przestał popijać sok pomidorowy, a Jean-Pierre stanął w pobliżu i cierpliwie czekał, kiedy sąsiad z prawej lub lewej strony Harveya wstanie od stołu. Upłynęła godzina. Harvey trochę przegrywał, ale nie rezygnował. Podobnie wysoki Amerykanin siedzący z jego prawej strony i Francuz z lewej. Znów minęła godzina i znów nikt się nie ruszył. Nagle Francuz, który miał wyjątkowo złą passę, zebrał nieliczne żetony, jakie mu zostały, i wstał od stołu. Jean-Pierre ruszył do przodu.

– Obawiam się, monsieur, że to miejsce jest zarezerwowane dla kogo innego – powiedział krupier. – Może pan usiąść z tamtej strony stołu.

– To nieważne – zbagatelizował Jean-Pierre, wycofując się, by go nie zapamiętano, i przeklinając uniżoność, z jaką Monakijczycy traktują bogaczy. Stephen widział z baru, co się święci, i ukradkiem dał znak do wyjścia. Zebrali się wszyscy w pokoju 217 tuż po drugiej w nocy.

– Co za cholernie głupi błąd. *Merde, merde, merde*. Powinienem pomyśleć o zarezerwowaniu sobie miejsca natychmiast, gdy dowiedziałem się, że Harvey to uczynił.

– Nie, to moja wina. Nie znam się na organizacji kasyna i powinienem był zapytać o to podczas prób – powiedział Robin, szarpiąc swój świeżo

wyhodowany wąs.

– Nikt nie jest winien – wtrącił się Stephen. – Przed nami jeszcze trzy wieczory, nie ma powodu do paniki. Po prostu należy się zastanowić, jak rozwiązać ten problem, ale teraz prześpijmy się i spotkajmy o dziesiątej rano w tym pokoju.

Rozeszli się trochę przygnębieni. Robin przez cztery godziny siedział w hotelu jak na szpilkach. James zmarzł i wynudził się na parkingu. Stephen miał wstręt do soku pomidorowego, a Jean-Pierre wystał się przy stole do bakarata, czekając na miejsce, które i tak było niedostępne.

Harvey znów wylegiwał się na słońcu. Był teraz lekko zaróżowiony i miał nadzieję, że do końca tygodnia skóra mu ściemnieje. W „New York Timesie” wyczytał, że złoto nadal zwyżkuje, marka zachodnioniemiecka i frank szwajcarski stoją dobrze, a dolar spada w stosunku do wszystkich walut z wyjątkiem funta szterlinga. Kurs funta wynosił 2,42 dolara. Harvey uważał, że bardziej odpowiadałby rzeczywistości kurs 1,80 dolara, a im szybciej funt spadnie do tego poziomu, tym lepiej.

Nic nowego, pomyślał, gdy wtem poderwał go świdrujący dźwięk francuskiego telefonu. Nigdy nie mógł przywyknąć do zagranicznych telefonów. Usłużny steward wbiegł na pokład z aparatem na długim przewodzie.

– Cześć, Lloyd. Nie wiedziałem, że jesteś w Monte... Czemu nie mielibyśmy się spotkać... o ósmej wieczorem?... Ja też... Trochę mnie chwyciło... Starzeję się... Co?... Klawo, no to do zobaczenia.

Harvey odłożył słuchawkę i poprosił stewarda o dużą whisky z lodem. W błogim nastroju zabrał się znowu do czytania złych nowin finansowych.

To rozwiązanie wydaje się oczywiste – stwierdził Stephen. Wszyscy się zgodzili.

– Jean-Pierre zrezygnuje z bakarata i zarezerwuje miejsce obok Harveya Metcalfe'a przy stole do gry w oko w Salon des Amériques, i będzie czekał, póki Metcalfe nie zmieni stołu. Wiemy, gdzie siedzi Harvey przy obu grach, i odpowiednio dostosujemy nasze plany.

Jean-Pierre wykręcił numer kasyna i poprosił do telefonu Pierre'a Cattalano.

– *Réservez-moi la deuxième place à la table deux pour le vingt-et-un ce soir et demain soir, s' il vous plaît.*

– *Je pense que cette place est déjà réservée, monsieur. Un instant, s'il vous plaît, je vais vérifier.*

– *Peut-être que cent francs la rendera libre* – zaoferował Jean-Pierre.

– *Mais certainement, monsieur. Présentez-vous à moi dès votre arrivée, et le nécessaire sera fait.*

– *Merci* – powiedział Jean-Pierre i odłożył słuchawkę. – No, załatwione.

Jean-Pierre oblał się potem, chociaż nie byłoby o tym mowy, gdyby chodziło tylko o rezerwację miejsca. Rozeszli się wszyscy do swoich pokoi.

Gdy zegar na miejskim placu wydzwaniał dwunastą, Robin czekał samotnie w pokoju 217, James stał na parkingu, nucąc piosenkę *Doskonale radzę sobie bez ciebie*, Stephen w barze Salon des Amériques sączył kolejny sok pomidorowy, a Jean-Pierre siedział na miejscu przy stole numer dwa i grał w oko. Stephen i Jean-Pierre równocześnie dostrzegli Harveya, który wszedł, rozmawiając z mężczyzną we wdzianku w krzykliwą kratę; tylko Teksańczyk mógł wyjść w czymś takim poza własny ogród na tyłach domu. Harvey z towarzyszem usiedli razem przy stole do bakarata. Jean-Pierre w popłochu wycofał się do baru.

– O nie, poddaję się.

– Nie ma mowy – syknął Stephen. – Wracamy do hotelu.

W pokoju 217, gdzie się zgromadzili, panował ponury nastrój, lecz decyzję Stephena przyjęto bez sprzeciwu. Nie można było ryzykować całego przedsięwzięcia pod bacznym okiem przyjaciela Harveya.

– Pierwsza operacja wydaje się zbyt piękna, aby była prawdziwa – odezwał się Robin.

– Nie bądź głupcem – zezłościł się Stephen. – Mieliśmy wtedy dwa fałszywe alarmy i w ostatniej chwili trzeba było zmienić cały plan. Nie możemy liczyć na to, że on podejdzie do nas sam i wręczy nam pieniądze. Głowy do góry i idźcie trochę pospać.

Każdy wrócił do swojego pokoju, ale sen nie przychodził. Nieustanne napięcie robiło swoje.

– Myślę, że dosyć na dziś, Lloyd. Niezły wieczór, co?

– Dla ciebie, Harvey, nie dla mnie. Jesteś dzieckiem szczęścia.

Harvey z wylewną serdecznością poklepał kraciaste ramię. Porażki bliźnich sprawiały mu jeszcze większą frajdę niż własne sukcesy.

– Chciałbyś spędzić noc na moim jachcie, Lloyd?

– Nie, dziękuję. Muszę wracać do Nicei. Mam umówione spotkanie w Paryżu, jutro na lunchu. Do rychłego zobaczenia, Harvey, dbaj o siebie. – Szturchnął żartobliwie Harveya pod żebro. – Niezły kałdun.

– Dobranoc, Lloyd – z lekką urazą w głosie powiedział Harvey.

Następnego wieczoru Jean-Pierre przyszedł do kasyna dopiero o jedenastej. Harvey siedział już przy stole do bakarata, tym razem bez Lloyda. Stephen tkwił w barze z gniewną miną. Jean-Pierre rzucił mu przepraszające spojrzenie, zajmując miejsce przy stole do gry w dwadzieścia jeden. Rozegrał kilka partii na rozgrzewkę, starając się przegrać jak najmniej i nie ściągnąć niczyjej uwagi na niskie stawki. Nagle

Harvey wstał od bakarata i wkroczył do Salon des Amériques, spoglądając po drodze na ruletki raczej jak na coś osobliwego niż godnego zainteresowania. Nie znosił gier, którymi rządził czysty przypadek, i uważał, że w bakaracie i oku decyduje umiejętność. Kierował się do stołu numer dwa, na miejsce trzy, z lewej strony Jean-Pierre'a. Jean-Pierre'owi krew zaczęła huczeć w skroniach, tętno skoczyło znów do stu dwudziestu uderzeń na minutę. Stephen opuścił na chwilę kasyno, by ostrzec Jamesa i Robina, że Harvey zmienił stół i siedzi teraz obok Jean-Pierre'a. Wrócił do baru i czekał.

Przy stole siedziało siedmioro graczy. Na miejscu numer jeden dama w średnim wieku obsypana brylantami, która sprawiała wrażenie, że gra dla zabicia czasu, czekając, aż mąż wstanie od ruletki czy bakarata. Na stanowisku numer dwa Jean-Pierre. Na trzecim Harvey. Na czwartym młody birbant znudzony życiem, co idzie zazwyczaj w parze z majątkiem, na który nie zapracowało się samemu. Na pozycji numer pięć Arab w tradycyjnym stroju. Na pozycji numer sześć niepozbawiona urody aktorka, która zadawała się, jak podejrzewał Jean-Pierre, z graczem numer pięć, i wreszcie na stanowisku numer siedem podstarzały, prosto się trzymający arystokratyczny Francuz w wieczorowym stroju.

– Dużą kawę – wycedził Harvey, zwracając się do szczupłego kelnera w szykownej brązowej marynarce.

W Monte Carlo nie podaje się do stołów wysokoprocentowych trunków i nie pozwala obsługiwać gości kelnerkom. Tutaj biznesem jest hazard, przeciwnie niż w Las Vegas, gdzie królują alkohol i kobiety. Harveyowi podobało się w Las Vegas, gdy był młodszy, lecz z upływem lat coraz bardziej cenił wyrafinowanie Francuzów. Polubił ceremonialną atmosferę i wykwint tego osobliwego kasyna. Wprawdzie przy stole numer dwa tylko on, arystokratyczny Francuz i Jean-Pierre byli w smokingach, ale

wiedziano, że zarząd kasyna krzywym okiem patrzy na gości w strojach, nazwijmy to, niedbałych.

Po chwili obok Harveya pojawiła się wielka złocista filiżanka z parującą kawą. Jean-Pierre obserwował ją nerwowo, a tymczasem Harvey położył na stole obok trzyfrankowego żetonu Jean-Pierre'a sto franków – minimalna i maksymalna dozwolona stawka. Krupier, wysoki młody człowiek, który nie przekroczył jeszcze trzydziestki, dumny ze swych stu rozdań na godzinę, zręcznie wydobył karty z kasety. Jean-Pierre dostał króla, Harvey czwórkę, piątkę młody człowiek po lewicy Harveya, szóstkę miał rozdający. Następnie Jean-Pierre wyciągnął siódemkę. Czekał. Harvey dostał dziesiątkę. Nie dobrał. Młody człowiek z lewej strony Harveya też dostał dziesiątkę i poprosił krupiera o jeszcze jedną kartę. Była to ósemka. Fura!

Harvey nie znosił partactwa w żadnej dziedzinie, a nawet głupiec wie, że mając na ręku dwanaście lub więcej, czeka się, gdy bankier odkrywa trójkę, czwórkę, piątkę czy szóstkę. Skrzywił się lekko. Krupier wyciągnął dla siebie dziesiątkę i szóstkę. Harvey i Jean-Pierre wygrali. Jean-Pierre'a nie interesował los pozostałych graczy.

Następna runda była nie do wygrania. Jean-Pierre stanął na osiemnastu – dwu dziewiątkach, których postanowił nie rozdzielać, gdyż krupier miał asa. Harvey powiedział „dosyć” przy osiemnastu – ósemce i walecie, młody człowiek z lewej znowu przeszarżował. Bank dobrał damę – oko – i zgarnął całą pulę.

W następnym rozdaniu Jean-Pierre wyciągnął trójkę, Harvey siódemkę, młody człowiek dziesiątkę. Krupier siódemkę. Jean-Pierre dobrał ósemkę i podwoił stawkę do sześciu franków, po czym wyciągnął dziesiątkę – dwadzieścia jeden. Ani mrugnął. Wiedział, że gra dobrze i że nie powinien zwracać na siebie uwagi, lecz sprawić, by Harvey uznał to za naturalne. W

rzeczywistości Harvey nawet na niego nie spojrzał; jego uwagę przykuł młody człowiek z lewej strony, który za każdym razem robił wszystko, by obdarować kasyno. Krupier dał teraz Harveyowi dziesiątkę, młodemu człowiekowi ósemkę. Musieli czekać. Sobie wyciągnął dziesiątkę, czyli miał w kartach siedemnaście. Wypłacił Jean-Pierre'owi, zostawił na stole stawkę Harveya, wypłacił młodemu człowiekowi. Kierownictwo kasyna było uszczęśliwione, gdy mogło od czasu do czasu coś wypłacić młodemu człowiekowi, choćby po to, by grał potem przez cały wieczór.

W kasecie nie było już więcej kart. Krupier urządził efektowny pokaz tasowania czterech talii i poprosił Harveya, by przełożył, po czym włożył karty do kasety. Ciągnęli znów: Jean-Pierre dziesiątkę, Harvey piątkę, szóstkę młody człowiek i czwórkę krupier. Jean-Pierre dobrał ósemkę. Karta szła dobrze. Harvey wyciągnął dziesiątkę i stanął na piętnastu. Młody człowiek dostał dziesiątkę i poprosił znowu o kartę. Harvey nie wierzył własnym uszom i aż świsnął przez szparę w przednich zębach. Następną kartą, rzecz jasna, był król. Znowu fura. Krupier wyciągnął sobie waleta i ósemkę, w sumie dwadzieścia dwa, ale młodemu człowiekowi nic to nie powiedziało. Harvey wlepił w niego wzrok. Kiedy, u licha, odkryje, że z pięćdziesięciu dwu kart w talii nie mniej niż szesnaście ma wartość dziesięciu punktów?

Na chwilę nieuwagi Harveya czekał właśnie Jean-Pierre. Wsunął rękę do kieszeni, wyjął tabletkę prostygminy, którą dał mu Robin, i ukrył ją w lewej dłoni. Kichnął, wyciągając wyćwiczonym gestem prawej ręki chusteczkę z górnej kieszonki, i zarazem błyskawicznie i niepostrzeżenie wrzucił tabletkę do kawy Harveya. Minie godzina, jak zapewnił go Robin, nim zacznie działać. Najpierw Harvey poczuje lekkie mdłości, potem nastąpi gwałtowne pogorszenie i paroksyzm ostrego, nie do zniesienia bólu, aż do utraty przytomności.

Jean-Pierre odwrócił się do baru i trzykrotnie zacisnął prawą pięść, po czym schował rękę do kieszeni. Stephen natychmiast wyszedł i ze stopni kasyna zaalarmował Robina i Jamesa, że prostygmina znalazła się w kawie Harveya. Teraz Robin musiał pokazać, co potrafi. Przede wszystkim zatelefonował do szpitala i polecił dyżurnej pielęgniarce przygotować salę operacyjną. Następnie zadzwonił do agencji i zażądał, żeby zamówiona wcześniej pielęgniarka stawiła się w recepcji szpitala dokładnie za dziewięćdziesiąt minut. Siedział samotnie, nerwowo czekając na dalsze wieści z kasyna.

Stephen wrócił do baru. Harvey zaczynał już czuć się źle, ale nie miał ochoty wstać od stołu. Mimo narastającego bólu grał dalej. Dopił kawę i zamówił następną z nadzieją, że rozjaśni mu w głowie. Kawa nie pomogła i czuł się coraz gorzej. As i król, a później siódemka, czwórka i dziesiątka oraz dwie damy podtrzymywały go na duchu. Jean-Pierre zmuszał się, żeby nie spoglądać na zegarek. Krupier dał mu siódemkę, Harveyowi następnego asa i młodemu człowiekowi dwójkę. Raptem, niemal dokładnie po godzinie od wypicia kawy z prostygminą, Harveya chwycił ostry paroksyzm bólu. Spróbował wstać od stołu i odejść.

– *Le jeu a commencé, monsieur* – wypowiedział krupier zwyczajową formułkę.

– Odwal się – powiedział Harvey i upadł na podłogę, trzymając się za brzuch. Jean-Pierre siedział nieporuszony, krupierzy i gracze kręcili się bezradnie. Stephen przedzierał się przez tłum kręgiem otaczający Harveya.

– Proszę się cofnąć, jestem lekarzem.

Tłum szybko odstąpił, uspokojony obecnością profesjonalisty.

– Co to jest, doktorze? – wykrztusił Harvey przekonany, że zbliża się koniec świata.

– Jeszcze nie wiem – odparł Stephen. Spieszył się, gdyż Robin uprzedził go, że od zasłabnięcia do utraty przytomności nie upłynie więcej niż dziesięć minut. Rozluźnił Harveyowi krawat i zbadał mu tętno. Następnie rozpiął koszulę i zaczął obmacywać brzuch.

– Czy boli pana tutaj?

– Tak – jęknął Harvey.

– Ból pojawił się nagle?

– Tak.

– Mógłby pan określić charakter bólu? Kłujący, piekący, ściskający?

– Ściskający.

– Gdzie najbardziej boli?

Harvey dotknął prawej strony. Stephen ucisnął podżebrze, na co Harvey zawył z bólu.

– A, dodatni objaw Murphy'ego – powiedział Stephen. – Prawdopodobnie ostre zapalenie pęcherzyka żółciowego. Podejrzewam kamienie żółciowe. – W dalszym ciągu delikatnie obmacywał monstrualny brzuch. – Wygląda na to, że z pęcherzyka wydostał się kamień i wędruje przez drogi żółciowe do jelita. Ucisk powoduje ten okropny ból. Obawiam się, że trzeba usunąć pęcherzyk żółciowy i wyjąć kamień. Oby tylko w szpitalu był lekarz, który przeprowadzi natychmiast operację.

Jean-Pierre pospieszył ze swoją kwestią.

– Doktor Wiley Barker mieszka w moim hotelu.

– Wiley Barker, ten amerykański chirurg?

– Tak, tak – powiedział Jean-Pierre. – Facet, który opiekuje się Nixonem.

– Mój Boże, co za szczęśliwy traf. Lepszego trudno byłoby znaleźć, ale on może ładnie zaśpiewać.

– Do diabła, koszty nie grają roli – jęknął Harvey.

– Może nawet pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Niech kosztuje i sto tysięcy! – krzyknął Harvey. W tej chwili chętnie by oddał cały swój majątek.

– Dobrze – powiedział Stephen. – Proszę – spojrzał na Jean-Pierre'a – wezwać karetkę, a następnie skontaktować się z doktorem Barkerem i zapytać go, czy może bezzwłocznie przybyć do szpitala. Proszę mu powiedzieć, że to nagły przypadek. Ten pan potrzebuje chirurga najwyższej klasy.

– Tak jest, do diabła – rzekł Harvey i zemdlał.

Jean-Pierre wyszedł z kasyna i wyjął aparat.

– Pogotowie bojowe, pogotowie bojowe – ogłosił.

Robin opuścił Hôtel de Paris i przywołał taksówkę. Dałby Bóg wie ile, żeby zamienić się z taksówkarzem, ale samochód mknął już nieodwołalnie do szpitala. Było za późno, by się cofnąć.

James wrzucił pierwszy bieg i pomknął karetką na sygnale w stronę kasyna. Był w lepszej sytuacji od Robina. Musiał się całkowicie skoncentrować i nie miał czasu zastanawiać się nad konsekwencjami.

Jedenaście minut i czterdzieści jeden sekund później zajechał na miejsce, wyskoczył, otworzył tylne drzwi, złapał nosze i w swym długim białym kitlu wbiegł po schodach na górę. Jean-Pierre stał u szczytu w wyczekującej pozie. Bez słowa szybko poprowadził Jamesa do Salon des Amériques, gdzie Stephen stał pochylony nad Harveyem. Rozstawili nosze na podłodze. Wszyscy trzej natężyli siły, by dźwignąć cielsko Metcalfe'a. Stephen z Jamesem schwycili nosze i ruszyli pospiesznie do karetki. Jean-Pierre szedł z tyłu.

– Dokąd zabieracie mojego szefa? – spytał ktoś.

Odwrócili się przerażeni. Obok białego rolls-royce'a stał szofer Metcalfe'a. Po chwili wahania odezwał się Jean-Pierre:

– Pan Metcalfe zasłabł i musi się poddać natychmiastowej operacji. Proszę wrócić jak najszybciej do przystani, polecić personelowi, żeby przygotowali kabinę, i czekać na dalsze instrukcje.

Szofer dotknął czapki i rzucił się do samochodu. James wskoczył do karetki i usiadł za kierownicą, Stephen i Jean-Pierre usadowili się przy Harveyu.

– Do diabła, o mało nie wpadliśmy. Brawo, Jean-Pierre. Ja oniemiałem – przyznał Stephen.

– Głupstwo – powiedział Jean-Pierre; po twarzy spływały mu strumyczki potu.

Ambulans skoczył do przodu jak oparzony kot. Stephen i Jean-Pierre zdjęli marynarki i włożyli długie białe fartuchy, które leżały na siedzeniu, Stephen zawiesił na szyi stetoskop.

– Wygląda jak martwy – odezwał się Jean-Pierre.

– Robin mówił, że żyje – powiedział Stephen.

– Jak może poznać z daleka?

– Nie wiem. Musimy mu wierzyć na słowo.

Karetka z piskiem hamulców zatrzymała się przed szpitalem. Stephen i Jean-Pierre pospiesznie wnieśli pacjenta do sali przedoperacyjnej. James odstawił samochód na parking i szybko dołączył do towarzyszy.

Robin, umyty i w fartuchu operacyjnym, stał w drzwiach sali operacyjnej i przemówił dopiero wówczas, gdy w sąsiedniej małej salce zapinali pasy, przymocowując Harveya do stołu operacyjnego.

– Przebierzcie się wszyscy. Jean-Pierre, wyszoruj się tak, jak cię uczyłem.

Przebrali się, a Jean-Pierre natychmiast zabrał się do mycia. Była to czynność żmudna, pracochłonna, a Robin stanowczo przykazywał, że w żadnym wypadku nie wolno jej skracać. Posocznicy pooperacyjnej nie miał w planie. Jean-Pierre wyszedł z umywalni gotów do akcji.

– Teraz się odprężcie. Robiliśmy to już dziewięć razy. Po prostu wykonujcie wszystko tak, jakby to było w Szpitalu Świętego Tomasza.

Stephen stanął za ruchomym aparatem Boylesa. Cztery tygodnie szkolił się na anestezjologa: podczas praktyki w szpitalu dwukrotnie uśpił Jamesa i opierającego się nieśmiało Jean-Pierre'a. Teraz miał okazję wypróbowania swych nowo nabytych umiejętności na Harveyu Metcalfe.

Robin wyjął strzykawkę z plastikowej osłonki i wstrzyknął Harveyowi 250 mg tiopentanu. Pacjent zapadł w głęboki sen. Szybko i sprawnie Jean-Pierre z Jamesem rozebrali Harveya i okryli prześcieradłem. Stephen przykrył maską aparatu Boylesa nos i usta Harveya. Dwa wskaźniki przepływu z tyłu aparatu pokazywały poziom pięciu litrów podtlenku azotu i trzech litrów tlenu.

– Zmierz mu tętno – polecił Robin.

Siedemdziesiąt uderzeń na minutę.

– Przewieźcie go do sali operacyjnej – powiedział Robin.

James popchnął wózek do sąsiedniej sali i umieścił pod lampami operacyjnymi. Stephen przetoczył równocześnie aparat Boylesa.

Sala operacyjna była deprymująco sterylna i pozbawiona okien. Lśniące białe kafelki pokrywały wszystkie ściany od podłogi do sufitu. Przygotowano zestaw narzędzi chirurgicznych tylko do jednej operacji. Jean-Pierre okrył Harveya jałowym zielonym prześcieradłem, zostawiając odsłoniętą jedynie głowę i lewą rękę. Obok stał nakryty sterylną płachtą stolik, na którym instrumentariuszka starannie ułożyła wysterylizowane narzędzia chirurgiczne, jałowe prześcieradła, serwety operacyjne i tampony.

Na końcu Robin zawiesił butlę z kroplówką dożylną na stojaku w głowach stołu operacyjnego i przylepił końcówkę przewodu do lewego przedramienia Harveya. Włączona była tylko jedna z trzech potężnych lamp operacyjnych; wisiała bezpośrednio nad Harveyem i rzucała snop światła na jego sterczący brzuch.

Oczy wszystkich czterech wlepione były w ofiarę. Robin mówił dalej:

– Teraz będę wydawał te same polecenia co podczas naszych ćwiczeń, wystarczy więc, żebyście się skupili. Po pierwsze, umyję brzuch roztworem jodyny.

Wszystkie narzędzia przygotowane były przy stole operacyjnym, u stóp Harveya. James uniósł prześcieradło i zsunął je na nogi pacjenta. Następnie ostrożnie zdjął sterylną płachtę okrywającą stolik z instrumentami i wlał preparat jodyny do małej miseczki. Robin schwycił pincetą gazik i zanurzył go w płynie. Szybkimi ruchami oczyścił pole operacyjne o powierzchni stopy kwadratowej, wyrzucił gazik, wziął świeży i powtórzył całą czynność. Teraz okrył jałową serwetą piersi Harveya aż po brodę, drugą położył na biodrach i udach. Trzecią umieścił wzdłuż lewego boku i ostatnią wzdłuż prawego boku pacjenta, pozostawiając odsłonięty spory kwadrat zwiotczałego brzucha. Zabezpieczył serwety, spinając je w rogach, następnie na przygotowanym polu umieścił folię operacyjną. Mógł zaczynać.

– Skalpel.

Jean-Pierre zdecydowanym ruchem, niczym sprinter przekazujący pałeczkę, wsunął w rozwartą dłoń Robina narzędzie, które nazwałby zwyczajnie nożem. Pełne lęku oczy Jamesa, stojącego po drugiej stronie stołu operacyjnego, napotkały oczy Jean-Pierre'a. Stephen skoncentrował się na oddechu Harveya. Po sekundzie wahania Robin wykonał czterocalowe cięcie przyprostne, sięgające powyżej cala w głąb tkanki

tłuszczowej. Nieczęsto widywał taki brzuch; zapewne można było zagłębić skalpel dużo bardziej, nie sięgając mięśni. Zaczęło się obfite krwawienie, które zatamował diatermią. Gdy tylko odjął skalpel i zatrzymał upływ krwi, przystąpił do szycia tkanki podskórnej porcjowanym katgutem naturalnym, trójką, na dziesięć szwów.

– Wchłonie się w ciągu tygodnia – objaśnił.

Następnie założył szwy na skórę nicią z czystego jedwabiu, dwójką, używając igły atraumatycznej. Oczyścił ranę, usuwając pozostałe ślady krwi. Ukończył dzieło, nakładając opatrunek samoprzylepny.

James usunął folię i serwety operacyjne i wrzucił do pojemnika, tymczasem Robin i Jean-Pierre włożyli Metcalfe'owi koszulę szpitalną i starannie spakowali jego ubranie do szarej plastikowej torby.

– Odzyskuje przytomność – powiedział Stephen.

Robin wziął świeżą strzykawkę i wstrzyknął Harveyowi 10 mg diazepamu.

– Nie zbudzi się przez co najmniej trzydzieści minut i jeszcze trzy godziny będzie oszołomiony i nie bardzo będzie wiedział, co się z nim dzieje. James, pędź po karetkę i zajedź pod szpital.

James wyszedł z sali operacyjnej i przebrał się; teraz umiał to zrobić w dziewięćdziesiąt sekund. Pospieszył na parking.

– No, wasza kolej: przebierzcie się i ostrożnie przetransportujcie go do karetki. Jean-Pierre, usiądź przy nim i czekaj. Stephen, wykonaj swoje następne zadanie.

Stephen i Jean-Pierre założyli z powrotem białe fartuchy i ostrożnie przetoczyli wózek z uśpionym Harveyem pod karetkę. Wnieśli go do środka, a Stephen pobiegł do telefonu przy wejściu do szpitala, spojrzał na kartkę, którą wyjął z portfela, i wykręcił numer.

– Halo, czy to „Nice-Matin”? Przy telefonie Terry Robards z „New York Timesa”. Jestem tu na wakacjach i mam dla was świetną historyjkę...

Robin wrócił do sali operacyjnej i przesunął wózek ze zużytymi narzędziami do sterylizatorni. Jutro rano zajmie się nimi personel szpitalny. Wziął plastikowy worek z rzeczami Harveya i przeszedł do pokoju, w którym się przebierano, szybko zdjął strój operacyjny, czepek i maskę i włożył ubranie. Poszedł odszukać siostrę opiekującą się salą operacyjną i uśmiechnął się do niej czarująco.

– Już po wszystkim, *ma soeur.* Zostawiłem instrumenty przy sterylizatorze. Proszę raz jeszcze podziękować ode mnie panu Bartise'owi.

– *Oui, monsieur. Notre plaisir. Je suis heureuse d'être à même de vous aider. Votre infirmière de l'Auxiliaire Médicale est arrivée.*

Niebawem Robin w towarzystwie pielęgniarki zszedł do karetki. Pomógł jej wsiąść do tyłu.

– Jedź bardzo wolno i ostrożnie do przystani.

James kiwnął głową i ruszył w pogrzebowym tempie.

– Siostro Faubert.

– Tak, docteur Barker. – Ręce złożyła skromnie pod błękitną narzutką, a jej francuski akcent był zachwycający. Pomyślał, że jej opieka nie będzie niemiła Harveyowi.

– Mój pacjent przeszedł właśnie operację usunięcia kamienia żółciowego i będzie potrzebował mnóstwo wypoczynku.

Mówiąc to, Robin wyjął z kieszeni kamień wielkości pomarańczy z etykietką szpitalną, na której wypisane było nazwisko Harveya. Robin wziął ten monstrualny kamień ze Szpitala Świętego Tomasza, a jego prawowitym posiadaczem był pochodzący z Indii Zachodnich kierowca londyńskiej linii autobusowej numer 14. Stephen i Jean-Pierre spojrzeli z

niedowierzaniem. Pielęgniarka sprawdziła puls i oddech swego podopiecznego.

– Gdybym ja był pani pacjentem, siostro Faubert – odezwał się Jean-Pierre – starałbym się nigdy nie wyzdrowieć.

Zanim dojechali na miejsce, Robin dał pielęgniarce wskazówki co do diety i wypoczynku pacjenta oraz zapowiedział, że odwiedzi go jutro o jedenastej przed południem. Zostawili Harveya, który pogrążony był w głębokim śnie, w przestronnej kabinie jachtu pod opieką gorliwie krzątających się stewardów i pozostałej służby.

James pojechał z całą trójką do szpitala, odstawił karetkę na parking, kluczyki oddał w recepcji. Robin przyszedł do pokoju 217 na końcu, tuż po wpół do czwartej rano. Opadł na fotel. – Stephen, poczęstujesz mnie whisky? – Tak, naturalnie. – Dobry Boże, ależ jesteś hojny – powiedział Robin i wychylił wielką porcję Johnny'ego Walkera, po czym podał butelkę Jean-Pierre'owi.

– Nic mu nie będzie, prawda? – zapytał James.

– Widzę, że się o niego martwisz. Po tygodniu można będzie zdjąć szwy i jedyna pamiątka, jaka mu zostanie, to paskudna blizna, którą będzie się chwalił przyjaciołom. Muszę się trochę przespać. Jutro o jedenastej odwiedzę naszą ofiarę, a to spotkanie może się okazać trudniejsze od operacji. Byliście dzisiaj wspaniali. Mój Boże, te wszystkie praktyki w szpitalu bardzo się dzisiaj przydały. Gdybyście kiedyś byli bez pracy, a ja bym potrzebował krupiera, szofera i anestezjologa, wiedziałbym, do kogo się zwrócić.

Wszyscy wyszli, a Robin rzucił się wyczerpany na łóżko. Zasnął głęboko, a gdy się obudził rano parę minut po ósmej, stwierdził, że ma na sobie ubranie. Ostatnio przydarzyło mu się to przed laty, gdy jako młodziutki praktykant wrócił po czternastogodzinnym dyżurze. Wziął

długą, kojącą kąpiel w bardzo ciepłej wodzie. Ubrał się, włożył świeżą koszulę i garnitur, gotów spotkać się twarzą w twarz z Metcalfe'em. Świeżo zapuszczony wąs, szkła bez oprawy i powodzenie operacji sprawiły, że czuł się niczym sławny chirurg, w którego się wcielił.

Trzej towarzysze zjawili się w ciągu następnej godziny. Życzyli mu powodzenia i postanowili czekać na jego powrót w pokoju 217. Stephen odwołał hotel w ich imieniu i zarezerwował miejsca w samolocie odlatującym do Londynu późnym popołudniem. Robin wyszedł z pokoju i wybrał schody, nie windę. Oddalił się trochę od hotelu i dopiero wówczas zatrzymał taksówkę i pojechał do portu.

Znaleźć *Gońca* nie było trudno. Lśniący, świeżo wymalowany stustopowy jacht przycumowany był we wschodnim krańcu portu. Nad rufą powiewała wielka panamska flaga, widocznie, jak osądził Robin, ze względów podatkowych. Wszedł na pomost, gdzie powitała go siostra Faubert.

– *Bonjour, docteur Barker.*

– Dzień dobry, siostro. Jak się czuje pan Metcalfe? – Miał spokojną noc, a teraz je lekkie śniadanie i załatwia kilka telefonów. Czy chciałby pan go zobaczyć?

– Tak, jeśli można.

Robin wszedł do okazałej kajuty i stanął przed człowiekiem, przeciwko któremu od ośmiu tygodni knuł i spiskował. Harvey mówił do telefonu:

– Tak, czuję się doskonale, kochanie. Ale wczoraj sytuacja była superkrytyczna. Nie martw się, nic mi nie grozi – odłożył słuchawkę. – Doktorze Barker, rozmawiałem właśnie z żoną w Massachusetts i powiedziałem jej, że zawdzięczam panu życie. Ucieszyła się, chociaż zerwałem ją o piątej rano. Rozumiem, że miałem prywatną operację,

prywatną karetkę i że uratował mi pan życie. W każdym razie tak piszą w „Nice-Matin”.

Z gazety patrzył Harvey w bermudach na pokładzie Gońca; Robin miał tę starą fotografię w zielonej teczce. Tytuł obwieszczał: *Millionaire s' évanouit au casino,* i poniżej: *La vie d'un millionaire American a été sauvée par une opération urgente dramatique!* Stephen byłby zachwycony.

– Proszę mi powiedzieć, doktorze, czy rzeczywiście groziło mi niebezpieczeństwo? – spytał Harvey z przejęciem.

– Cóż, był pan w ciężkim stanie i konsekwencje mogłyby się okazać poważne, gdybyśmy panu tego nie usunęli. – Tu Robin dramatycznym ruchem wyjął kamień opatrzony etykietką.

Harveyowi oczy zrobiły się jak spodki.

– O rany! Naprawdę cały czas chodziłem z tym w środku? Niesamowite. Nie wiem, jak panu dziękować. Doktorze, gdybym kiedykolwiek mógł coś dla pana zrobić, proszę zwrócić się do mnie bez wahania. – Podsunął Robinowi winogrona. – Pan zaopiekuje się mną teraz, prawda? Nie sądzę, żeby pielęgniarka zdawała sobie w pełni sprawę, że to tak ciężki przypadek.

Robin szybko zebrał myśli.

– To raczej niemożliwe, panie Metcalfe. Dzisiaj kończy się mój urlop i muszę wracać do Kalifornii. Nic naglącego, po prostu kilka niezbyt pilnych operacji i dość intensywny program wykładów. – Wzruszył ramionami. – Doprawdy nic nadzwyczajnego, ale muszę utrzymać poziom życia, do jakiego przywykłem.

Harvey poderwał się, czule podtrzymując brzuch.

– Proszę posłuchać, doktorze Barker. Mam w nosie jakichś tam studentów. Jestem chorym człowiekiem i potrzebuję pańskiej opieki, dopóki nie wyzdrowieję. Wynagrodzę to panu, nie ma obawy. Nigdy nie

żałuję pieniędzy, gdy chodzi o zdrowie, i co więcej, jeśli to pana przekona, wypiszę czek płatny gotówką. Co jak co, ale wuj Sam nie musi wiedzieć, ile jestem wart.

Robin delikatnie odkaszlnął, zastanawiając się, w jaki sposób lekarze amerykańscy załatwiają z pacjentami drażliwy problem honorariów.

– Wyniosłoby to dość dużo, żebym nie dostał po kieszeni, rezygnując z wyjazdu. Może nawet osiemdziesiąt tysięcy dolarów. – Robin głęboko odetchnął.

Harvey ani mrugnął.

– Jasne. Jest pan najlepszy. To niewygórowana cena za życie.

– Doskonale. Wrócę do hotelu i zorientuję się, czy da się skorygować moje plany.

Robin opuścił pokój chorego i biały rolls-royce zawiózł go do hotelu. W pokoju 217 wszyscy patrzyli na niego z niedowierzaniem, gdy skończył opowieść.

– Stephen, na miłość boską, ten facet jest maniakalnym hipochondrykiem. Żąda, żebym został, póki nie wydobrzeje. Tegośmy nie zaplanowali.

Stephen rzucił mu twarde spojrzenie.

– Zostań tutaj i przyjmij jego ofertę. Dlaczego nie dać mu ubić interesu, jego kosztem, oczywiście. Dalej, łap za słuchawkę i obiecaj mu, że będziesz przychodził codziennie o jedenastej potrzymać go za rączkę. Po prostu wrócimy bez ciebie. Tylko staraj się, żeby rachunki hotelowe nie były za wysokie.

Robin podniósł słuchawkę...

Trzej młodzi mężczyźni opuścili Hôtel de Paris po przedłużającym się lunchu i po wypiciu kolejnej butelki szampana Krug, rocznik 64. Pojechali

taksówką na nicejskie lotnisko i wsiedli do samolotu British Airlines, lot 012, odlatującego o szesnastej dziesięć do Londynu. I tym razem siedzieli osobno. Z rozmowy z Harveyem Metcalfe'em, zrelacjonowanej przez Robina, Stephenowi utkwiło w pamięci zwłaszcza jedno zdanie:

– Gdybym kiedykolwiek mógł coś dla pana zrobić, proszę zwrócić się do mnie bez wahania.

Robin odwiedzał swojego pacjenta raz dziennie, wożony białym samochodem o oponach z białym szlakiem przez kierowcę w białym uniformie. Tylko Harvey mógł się zdobyć na taki brak umiaru, myślał Robin. Trzeciego dnia siostra Faubert poprosiła go o rozmowę w cztery oczy.

– Mój pacjent robi mi nieprzyzwoite propozycje, gdy zmieniam mu opatrunek – pożaliła się.

Robin pozwolił doktorowi Wileyowi Barkerowi na luksus nieprofesjonalnej uwagi.

– Trudno mi go całkiem potępiać. Ale proszę być stanowczą, siostro. Jestem przekonany, że musiała się pani z czymś takim już spotkać.

– *Naturellement*, ale nigdy ze strony pacjenta, który zaledwie przed trzema dniami miał ciężką operację. Jego konstytucja fizyczna musi być *formidable.*

– Coś pani powiem. Załóżmy mu na kilka dni cewnik, to powstrzyma jego zapędy. – Uśmiechnęła się. – To musi być okropnie nudne, tak tkwić tutaj cały dzień – ciągnął Robin. – Może zjadłaby pani ze mną małą kolacyjkę dziś wieczorem, jak pan Metcalfe ułoży się do snu?

– Z największą przyjemnością, doktorze. Gdzie się spotkamy?

– Hôtel de Paris, pokój 217 – powiedział Robin bezwstydnie. – Powiedzmy o dziewiątej.

– Bardzo chętnie, docteur Barker.

– Jeszcze odrobinę chablis, Angeline?

– Już nie, dziękuję, Wiley. Kolacja była wspaniała. Myślę, że jeszcze na coś miałbyś ochotę, nieprawda?

Podniosła się, zapaliła dwa papierosy i jeden wetknęła mu do ust. Oddaliła się, lekko kołysząc biodrami opiętymi długą spódnicą. Nie miała stanika pod różową bluzką. Wypuściła obłok dymu i spojrzała na niego.

Robin pomyślał o Bogu ducha winnym doktorze Barkerze przebywającym w Australii, o swej żonie i dzieciach w Newbury i o trójce z zespołu. Po czym postanowił o wszystkim zapomnieć.

– Czy poskarżyłabyś się panu Metcalfe'owi, gdybym zrobił ci niewłaściwe propozycje?

Uśmiechnęła się.

– Z twojej strony, Wiley, nie będą niewłaściwe.

Harvey był niezwykle gadatliwym ozdrowieńcem. Szóstego dnia Robin z namaszczeniem zdjął mu szwy.

– Bardzo ładnie się zagoiło, panie Metcalfe. Proszę się nie przejmować, w połowie przyszłego tygodnia będzie pan w pełnej formie.

– Świetnie. Spieszę się do Anglii na wyścigi w Ascot. Wie pan, moja klacz Rosalie jest w tym roku faworytką. Nie mógłby pan towarzyszyć mi jako mój gość? A gdybym tak miał nawrót?

Robin stłumił uśmiech.

– Nie ma obawy. Wszystko będzie w porządku. Żałuję, że nie zobaczę Rosalie na torze wyścigowym w Ascot.

– Ja też, doktorze. I jeszcze raz panu dziękuję. Nigdy przedtem nie spotkałem takiego lekarza jak pan.

I chyba już nie spotkasz, pomyślał Robin, który miał już po dziurki w nosie wysilania się na akcent amerykański. Z ulgą pożegnał Harveya, z żalem Angeline i odesłał z hotelu szofera z pięknie wykaligrafowanym rachunkiem:

Dr Wiley Franklin Barker
przesyła wyrazy szacunku
panu Harveyowi Metcalfe'owi
i uniżenie zawiadamia, że rachunek za pomoc medyczną
której miał mu zaszczyt
udzielić, wynosi 80 000 dolarów
z uwzględnieniem operacji i opieki pooperacyjnej.

Po godzinie szofer powrócił z czekiem gotówkowym na 80 000 dolarów. Robin triumfalnie zawiózł go do Londynu.

Dwie przeszkody wzięte, zostały jeszcze dwie.

XIII

Następnego dnia, w piątek, Stephen siedział na kanapce lekarskiej w gabinecie przy Harley Street i przemawiał do swej grupy operacyjnej.

– Akcja Monte Carlo powiodła się w pełni dzięki temu, że Robin zachował zimną krew. Jednakże koszty były dość wysokie. Rachunki za szpital i hotel wyniosły ogółem 11 351 dolarów, podczas gdy zainkasowaliśmy 80 000 dolarów. Tak więc otrzymaliśmy zwrot 527 560 dolarów, wydaliśmy jak na razie 22 530 dolarów, czyli pan Metcalfe jest nam jeszcze winien ni mniej, ni więcej tylko 494 970 dolarów. Zgadza się?

Odpowiedział mu szmer aprobaty. Wierzyli niezachwianie w jego buchalterię, chociaż w gruncie rzeczy, jak wszystkich znawców algebry, arytmetyka trochę go nudziła.

– Nawiasem mówiąc, jak to się stało, Robin, że zeszłej środy wieczorem wydałeś na kolację aż siedemdziesiąt trzy dolary i pięćdziesiąt centów. Czyżbyś zamówił kawior i szampana?

– Tak, to było coś ekstra – przyznał Robin. – Wydawało się wówczas pożądane.

– Założyłbym się o więcej, niż przepuściłem w Monte Carlo, że zgadnę, kto jadł z tobą kolację. I że osóbka ta dzieliła z tobą nie tylko stół – powiedział Jean-Pierre i wyjął portfel. – Proszę, Stephen, oto dwieście dziewiętnaście franków, moja wygrana w kasynie w środową noc. Gdybyście zostawili mnie w spokoju, moglibyśmy zrezygnować z rzeźnickich praktyk Robina. Wygrałbym całą sumę bez trudu. Chyba należy mi się przynajmniej numer telefonu siostry Faubert.

Stephen puścił mimo uszu komentarze Jean-Pierre'a.

– Świetnie się spisałeś Jean-Pierre – powiedział. – Odejmujemy tę kwotę od wydatków. Przy aktualnym kursie – zamilkł na moment, podliczając na kalkulatorze – 219 franków równa się 46 dolarom i 76 centom. To obniża koszty do 22 483 dolarów i 24 centów. Jeśli chodzi o Ascot, sprawa jest prosta. James za dziesięć dolarów zdobył dwie odznaki uprawniające do wejścia do sektora klubowego. Wiemy, że Harvey Metcalfe, podobnie jak wszyscy właściciele koni biorących udział w wyścigach, ma również odznakę klubową, i jeśli właściwie wszystko zgramy w czasie, powinien znów wpaść nam w sieci. James będzie nas informował na bieżąco przez radiotelefon i śledził poruszenia Metcalfe'a od jego przybycia do odjazdu. Jean-Pierre zaczeka przy wejściu do sektora klubowego i wejdzie za nim. Robin wyśle telegram z lotniska Heathrow o pierwszej po południu, by Harvey dostał go, gdy będzie jadł lunch w loży. Ta część planu jest łatwa. Dopiero gdy uda się zwabić go do Oksfordu, zacznie się zabawa. Muszę wyznać, że gdyby w Ascot powiodło się nam za pierwszym podejściem, byłaby to miła odmiana.

Stephen uśmiechnął się szeroko.

– Zyskalibyśmy trochę tak nam potrzebnego czasu na powtórkę scenariusza oksfordzkiego. Czy macie jakieś pytania?

– Nie będziesz nas potrzebował do części pierwszej, tylko do drugiej, prawda? – spytał Robin, spoglądając do notatek Stephena.

– Tak. Z pierwszą dam sobie radę sam. Nawet lepiej, gdybyście trzymali się z dala i zostali tego wieczoru w Londynie. Następnym naszym zadaniem jest obmyślenie projektu dla Jamesa, bo jeszcze, uchowaj Boże, wymyśli coś sam. Bardzo się tym martwię – ciągnął Stephen – gdy bowiem Harvey powróci do Ameryki, trzeba będzie stawić mu czoło na jego własnym gruncie. Do tej pory zawsze znajdował się w zasięgu ręki. James w

Bostonie wyglądałby jak ryba na piasku, mimo że jest najlepszym z nas aktorem. To byłby zupełnie inny biznes, jak by powiedział Metcalfe.

James westchnął posępnie i zaczął się pilnie wpatrywać w kolorowy dywan aksminsterski.

– Nie martw się, stary – pocieszył go Robin – jechałeś tą karetką jak kawalerzysta.

– A może byś się nauczył latać samolotem i zabawilibyśmy się w porywaczy Harveya? – podsunął Jean-Pierre.

Pannę Meikle irytował śmiech dobiegający z gabinetu doktora Oakleya i odetchnęła z ulgą, gdy dziwaczne trio wreszcie sobie poszło. Zamknęła drzwi za Jamesem, który wychodził ostatni, i wróciła do gabinetu Robina.

– Czy przyjmie pan teraz pacjentów, doktorze?

– Tak, jeśli muszę, panno Meikle.

Panna Meikle zacisnęła usta. Co w niego wstąpiło? To niewątpliwie wpływ tych okropnych typów, z którymi się ostatnio zadaje. Zrobił się taki niesolidny.

– Pani Wentworth-Brewster, doktor Oakley zaraz panią przyjmie, a te tabletki, które będą pani potrzebne na wyjazd do Włoch, odbierze pani u mnie przed wyjściem.

Stephen wrócił do Kolegium Magdaleny, żeby odpocząć przez kilka dni. Przystąpił do sprawy przed zaledwie ośmiu tygodniami i oto już dwie operacje zespołu powiodły się nadspodziewanie. Uświadomił sobie, że musi uwieńczyć dzieło wyczynem, który na długo po jego wyjeździe przejdzie do legendy Oksfordu.

Jean-Pierre wrócił do swej galerii na Bond Street. W Ascot miał wygłosić tylko jedną kwestię, co nie było nadmiernym wysiłkiem, ale za to

do drugiej części mistyfikacji oksfordzkiej przygotowywał się solidnie, ćwicząc po nocach przed lustrem swoją rolę.

James zabrał Anne na weekend do Stradfordu nad Avonem. Royal Shakespeare Company nie zawiodła, dając olśniewający spektakl *Wiele hałasu o nic*. Po przedstawieniu poszli na spacer brzegiem Avonu i James oświadczył się Anne. Tylko królewskie łabędzie słyszały jej odpowiedź. Brylantowy pierścionek, który zauważył na wystawie u Cartiera, czekając, aż Metcalfe zajdzie do galerii Jean-Pierre'a, jeszcze piękniej wyglądał na jej smukłym palcu. Jamesowi niczego więcej nie trzeba było do szczęścia. Gdyby tak jeszcze wpaść na jakiś pomysł i zaimponować tamtym trzem. Tej nocy mówili o tym z Anne, rozważając nowe i wcześniejsze projekty, lecz nic z tego nie wynikło.

Ale pewien pomysł zaczął świtać w głowie Anne.

XIV

W poniedziałek rano James przywiózł Anne do Londynu i przebrał się w swój najwytworniejszy garnitur. Anne musiała iść do pracy i nie dała się przekonać Jamesowi, żeby towarzyszyć mu w Ascot. Czuła, że jego przyjaciele byliby niezadowoleni i podejrzewaliby, że ją wtajemniczył.

Wprawdzie James nie zdradził jej szczegółów operacji w Monte Carlo, ale znała każde posunięcie w zamierzonej akcji w Ascot i widziała, że jest zdenerwowany. Tak czy owak, zobaczą się tego wieczoru i do tej pory dowie się najgorszego. James miał przegraną minę. Anne mogła się tylko pocieszać, że w tej sztafecie pałeczkę najczęściej dzierżą Stephen, Robin i Jean-Pierre – ale pomysł, jaki krystalizował jej się w głowie, na pewno zadziwi wszystkich.

Stephen wstał wcześniej i z podziwem oglądał w lustrze swoją siwiznę. Był to wynik kosztownych zabiegów, jakim się poddał wczoraj u fryzjera w Debenham. Ubrał się starannie, wkładając swój jedyny przyzwoity szary garnitur i jaskrawy niebieski krawat w kratę. Strój ten zarezerwowany był na specjalne okazje, począwszy od spotkania ze studentami uniwersytetu w Sussex, a na kolacji u ambasadora amerykańskiego kończąc. Nikt mu nie powiedział, że kolory się gryzą, a garnitur jest niemodny i źle skrojony; dla Stephena był to szczyt elegancji. Z Oksfordu pojechał do Ascot pociągiem, Jean-Pierre przyjechał z Londynu samochodem. Spotkali się z Jamesem o jedenastej przed południem w pubie Belvédère Arms, prawie milę od toru wyścigowego.

Stephen od razu zadzwonił do Robina, aby potwierdzić, że wszyscy trzej są już na miejscu, i poprosił o odczytanie tekstu telegramu.

– Pierwszorzędny. Jedź teraz na Heathrow i nadaj go punktualnie o pierwszej.

– Powodzenia, Stephen. Zniszcz tego drania.

Stephen wrócił do Jamesa i Jean-Pierre'a i oznajmił, że u Robina wszystko gra.

– Ruszaj, James, i zawiadom nas natychmiast, gdy Harvey zjawi się na horyzoncie.

James dopił butelkę carlsberga i wyszedł. Kłopot polegał na tym, że co krok spotykał znajomych i nie bardzo umiał im wytłumaczyć, dlaczego nie może się do nich przyłączyć.

Harvey zajechał na parking klubowy tuż po dwunastej swoim białym rollsem, który lśnił jak reklama proszku Persil. Bywalcy wyścigów spoglądali na samochód z angielską wzgardą, którą Harvey brał za podziw. Poprowadził towarzyszących mu gości do swojej loży. Uszycie jego najnowszego garnituru wymagało od Bernarda Weatherilla najwyższej sztuki krawieckiej. Czerwony goździk w butonierce i kapelusz zakrywający łysinę zmieniły Harveya nie do poznania i James przeoczyłby go, gdyby nie biały rolls-royce. James postępował w bezpiecznej odległości za małą grupką, póki Harvey nie znikł w drzwiach z napisem „Pan Harvey Metcalfe i goście”.

– Wszedł do loży – powiedział James.

– Gdzie jesteś? – spytał Jean-Pierre.

– Tuż pod nim, na dole, koło tego machera Sama O'Flaherty'ego.

– Nie czepiaj się Irlandczyków, James – skarcił go Jean-Pierre. – Za minutkę będziemy u ciebie.

James spojrzał w górę na ogromne białe trybuny, które mogły wygodnie pomieścić dziesięć tysięcy widzów i z których doskonale było widać tor wyścigowy. Trudno mu się było skoncentrować na swym zadaniu, gdyż

przede wszystkim musiał unikać spotkania z krewnymi i znajomymi. Najpierw napatoczył się earl Halifax, potem ta poczwara, którą tak lekkomyślnie zgodził się zabrać wiosną na Bal Królowej Charlotty. Jak nazywała się ta kreatura? Aha, czcigodna Selina Gallop. Jakże à propos. Miała na sobie minispódniczkę, niemodną od dobrych czterech lat, i kapelusz, który nie będzie modny nigdy. James naciągnął swój miękki kapelusik na uszy, spojrzał w przeciwną stronę i wdał się w pogawędkę z Samem O'Flahertym o gonitwie króla Jerzego VI i królowej Elżbiety. O'Flaherty na całe gardło wykrzykiwał najnowsze notowania faworytów.

– Sześć do czterech na Rosalie, klacz Amerykanina Harveya Metcalfe'a, na której jedzie Pat Eddery.

Eddery miał szansę zostać najmłodszym championem wśród dżokejów, a Harvey zawsze stawiał na zwycięzców.

Stephen z Jean-Pierre'em dołączyli do Jamesa, który tkwił przy sakwojażu Sama O'Flaherty'ego. Pomocnik bukmachera stał obok na przewróconej skrzynce po pomarańczach i wymachiwał wściekle rękoma jak marynarz sygnalizujący z pokładu tonącego statku.

– Jak panowie obstawiają? – zwrócił się do nich Sam.

James zlekceważył lekki grymas Stephena.

– Po pięć funtów z góry i z dołu na Rosalie – powiedział i wręczył bukmacherowi szeleszczący banknot dziesięciofuntowy, otrzymując w zamian małą zieloną kartkę z numerem kolejnym i ukośnie przybitą pieczątką z nazwiskiem Sama O'Flaherty'ego.

– Jak mniemam, James, ten zakład stanowi integralną część twojego niewyjawionego jak dotąd planu – powiedział Jean-Pierre. – Ciekaw jestem, ile możemy wygrać?

– Dziewięć funtów i dziesięć pensów po odliczeniu podatku, jeśli zwycięży Rosalie – odpowiedział mu Sam O'Flaherty; gdy mówił, ogarek

cygara, tkwiący mu w wargach, poruszał się w górę i w dół.

– To dość mizerny przyczynek do sumy miliona dolarów, James. No, trzeba iść do sektora klubowego. Gdy tylko Harvey wyjdzie z loży, daj nam znać. Przypuszczam, że około pierwszej czterdzieści pięć będzie chciał rzucić okiem na konie i jeźdźców startujących o drugiej, mamy więc godzinę czasu.

Kelner otworzył następną butelkę szampana Krug z 1964 roku i napełnił kieliszki gości Harveya. Byli to trzej bankierzy, dwaj ekonomiści, dwaj armatorzy i głośny dziennikarz, specjalista od spraw finansowych.

Harvey – ze swym upodobaniem do osób znanych i wpływowych – zawsze dobierał gości spośród ludzi, którzy nie bardzo mogli mu odmówić, spodziewali się bowiem, iż może im zaproponować korzystny interes. Towarzystwem, które udało mu się zgromadzić w tym ważnym dniu, był zachwycony. Najszacowniejszym z gości był sir Howard Dodd, podstarzały prezes banku handlowego noszącego jego imię, a ściśle mówiąc – imię jego pradziadka. Sir Howard był bardzo wysoki, prosty jakby kij połknął i wyglądał raczej na grenadiera gwardii niż na poważanego bankiera. Nie miał z Harveyem nic wspólnego – poza łysiną. Towarzyszył mu jego młody zastępca, Jamie Clark. Tuż po trzydziestce, wybitnie inteligentny, przyszedł głównie po to, by dopilnować, aby prezes nie uwikłał banku w jakąś operację, której mógłby potem żałować. Wprawdzie Clark podziwiał skrycie Harveya, lecz nie uważał go za odpowiedniego klienta dla swego banku. Nie miał jednak nic przeciwko temu, by spędzić dzień na wyścigach.

Dwaj ekonomiści, Colin Emson i doktor Michael Hogan z Hudson Institute, mieli za zadanie poinformować Harveya o opłakanym stanie gospodarki brytyjskiej. Trudno byłoby znaleźć dwóch ludzi bardziej do siebie niepodobnych. Emson do wszystkiego doszedł wyłącznie o własnych

siłach. Szkołę opuścił, mając piętnaście lat, i potem uczył się sam. Korzystając ze swych kontaktów towarzyskich, utworzył firmę udzielającą porad podatkowych i dzięki zwyczajowi rządu brytyjskiego wprowadzania co parę tygodni nowej ustawy finansowej osiągnął niebywały sukces. Emson, wysoki, mocno zbudowany, jowialny, chciał, by zabawa się udała niezależnie od tego, czy Harvey wygra czy nie. Hogan, w przeciwieństwie do Emsona, był wszędzie, gdzie należało – w szkole średniej w Winchester, w kolegium Trójcy Świętej w Oksfordzie i wreszcie w Wharton Business School w Pensylwanii. Przez jakiś czas pracował u McKinseya w Londynie, w firmie konsultingowej, dzięki czemu stał się jednym z najlepiej poinformowanych ekonomistów Europy. Ktoś, kto by zwrócił uwagę na jego smukłą, sprężystą sylwetkę, nie byłby zaskoczony, dowiadując się, że grywał w squasha w zawodach międzynarodowych. Ciemnowłosy, o brązowych oczach, które rzadko odrywał od Harveya, z trudem ukrywał pogardę; już po raz piąty został zaproszony do Ascot – Harvey jakby nie przyjmował do wiadomości, że ktoś mógłby mu odmówić.

Braci Kundas, Greków z pochodzenia, którzy kochali się w koniach niemal tak samo jak w okrętach, niepodobna było rozróżnić. Mieli jednakowo krucze włosy, śniadą skórę, ciemne krzaczaste brwi. Trudno było odgadnąć, ile mają lat, i nikt nie wiedział, jak wiele mają pieniędzy. Zresztą sami też chyba nie wiedzieli. Wreszcie ostatni z gości, Nick Lloyd z „News of the World”, przybył po to, by wywęszyć jakąś brudną sprawkę Harveya. W połowie lat sześćdziesiątych był bliski zdemaskowania łajdactw Metcalfe'a, lecz akurat inny skandal na kilka tygodni wyparł z czołówek gazet mniej smakowite historie i Harvey zdążył zmylić tropy. Lloyd, schylony nad szklaneczką swego ulubionego trunku, potrójnego

dżinu pokropionego symbolicznie tonikiem, przyglądał się z zainteresowaniem tej zbieraninie.

– Telegram do pana.

Harvey rozdarł kopertę. Zawsze był niedbały.

– To od mojej córki Rosalie. Ładnie, że pamiętała, ale, do diabła, w końcu klacz nazwałem jej imieniem. Proszę bardzo, jedzmy.

Wszyscy zasiedli do lunchu. Podano zupę-krem z porów na zimno, bażanta i truskawki. Harvey rozgadał się jeszcze bardziej niż zwykle, lecz goście nie zwracali na to uwagi, wiedząc, że denerwuje się przed gonitwą i że bardziej niż na wszelkich możliwych nagrodach, jakie mógłby uzyskać w Ameryce, zależy mu na trofeum z Ascot. Sam Harvey nigdy tego nie potrafił zrozumieć. Może działała na niego tak zniewalająco szczególna atmosfera Ascot – składały się na nią soczysta zieleń traw i pełna uroku okolica, eleganckie tłumy i budząca podziw sprawność organizacji.

– W tym roku ma pan chyba więcej szans niż kiedykolwiek przedtem – odezwał się sir Howard.

– Lester Piggott jedzie na Crown Princess, koniu księcia Devonshire, a koń królowej, Highclere, jest też faworytem, nie mogę więc przeceniać swych szans. Moje konie dwukrotnie przychodziły na trzecim miejscu, a koń, który był faworytem, zawiódł. Jak tu nie popaść w zwątpienie.

– Jeszcze jeden telegram, proszę pana.

I znów Harvey byle jak rozerwał kopertę tłustym małym palcem.

– „Życzenia wszystkiego najlepszego i powodzenia w wyścigu o nagrodę króla Jerzego VI i królowej Elżbiety”. To od personelu pańskiego banku, sir Howardzie. Ładnie się znaleźli.

Angielszczyzna Harveya zniekształcona jego polsko-amerykańskim akcentem brzmiała dość komicznie.

– Jeszcze szampana, proszę.

Doręczono kolejny telegram.

– Przy tym tempie będzie panu potrzebny osobny pokój na poczcie. – Wszyscy roześmiali się z kiepskiego żartu sir Howarda. I znów Harvey odczytał na głos tekst telegramu.

– „Żałuję, spotkanie w Ascot niemożliwe. Odlatuję do Kalifornii. Proszę odszukać starego przyjaciela profesora Rodneya Portera z Oksfordu, laureata Nobla. Niech pan nie da się zrobić w konia angielskim macherom. Wiley B., lotnisko Heathrow”.

– To od Wileya Barkera, faceta, który zoperował mnie w Monte Carlo. Ocalił mi życie. Wyciął mi kamień żółciowy wielkości tej bułeczki, którą pan je, doktorze Hogan. Jak znaleźć profesora? – Harvey zwrócił się do starszego kelnera: – Proszę zawołać mojego szofera.

Po chwili zjawił się fircykowato odziany fagas.

– Jest tu gdzieś profesor Rodney Porter z Oksfordu. Odszukaj go.

– Jak wygląda, proszę pana?

– Skąd, u diabła, mam wiedzieć – odparł Harvey. – Jak profesor.

Szofer z żalem pożegnał się z zamiarem spędzenia reszty popołudnia przy torze wyścigowym i odszedł, pozostawiając Harveya i jego gości sam na sam z truskawkami, szampanem i strumieniem nieprzerwanie napływających telegramów.

– Wie pan, jeśli pan wygra, otrzyma pan puchar z rąk samej królowej – odezwał się Nick Lloyd.

– Mowa. Wygranie nagrody króla Jerzego i Elżbiety i spotkanie z Jej królewską Mością byłoby ukoronowaniem mojego życia. Jeśli Rosalie wygra, zaproponuję, by moja córka poślubiła księcia Karola. Są mniej więcej w tym samym wieku.

– Nie sądzę, by nawet panu udało się to przeprowadzić.

– A co zrobiłby pan z sumą osiemdziesięciu jeden tysięcy funtów, panie Metcalfe? – spytał Jamie Clark.

– Oddałbym na cele charytatywne – odparł Harvey, zachwycony wrażeniem, jakie odpowiedź ta wywarła na jego gościach.

– Bardzo wspaniałomyślne. Całkiem w pańskim stylu. – Lloyd spojrzał porozumiewawczo na Hogana. Jeśli nawet inni się nie orientowali, to oni dwaj doskonale wiedzieli, co mianowicie było w stylu Harveya.

Szofer powrócił, by oznajmić, że nigdzie nie natrafił na ślad samotnego profesora: ani w barze z szampanem, ani w barku z przekąskami na galerii, ani w bufecie na padoku. Do pomieszczeń klubowych zaś go nie wpuszczono.

– Oczywiście, że nie – powiedział Harvey tonem z lekka napuszonym. – Sam muszę go znaleźć. Pijcie i bawcie się, proszę.

Wstał i poszedł ku drzwiom wraz z szoferem. Gdy oddalił się na tyle, by goście go nie słyszeli, warknął:

– Zjeżdżaj stąd i nie ględź, że nie możesz go znaleźć, bo każę ci znaleźć nową pracę. – Szofer czmychnął. Harvey odwrócił się do gości z uśmiechem: – Idę przyjrzeć się jeźdźcom i wierzchowcom biorącym udział w gonitwie o drugiej.

– Właśnie wychodzi z loży – powiedział James.

– Co takiego? – zabrzmiał mu nad uchem autorytatywny, znajomy głos. – Mówisz do siebie, James?

Obejrzał się. Obok stał dostojny lord Somerset, olbrzymi i wciąż jeszcze prosty jak świeca, kawaler Military Cross i Distinguished Service Order w pierwszej wojnie światowej, nadal pełen wigoru, choć jego pomarszczona twarz wskazywała, że przekroczył już czas przeznaczony mu przez Stwórcę.

– Do licha. Nie, proszę pana... zakrztusiłem się.

– Którego konia typujesz w wyścigu o nagrodę króla Jerzego VI i królowej Elżbiety? – spytał par Anglii.

– Postawiłem na Rosalie po pięć funtów z góry i z dołu.

– Chyba się rozłączył – powiedział Stephen.

– Wywołaj go jeszcze raz – doradził Jean-Pierre.

– Co to za brzęczenie, James? Czyżbyś używał aparatu słuchowego?

– Nie, to... radio tranzystorowe.

– Te paskudztwa powinny być zakazane. Zakłócają tylko spokój.

– Ma pan rację.

– Stephen, dlaczego on się wygłupia?

– Nie mam pojęcia... pewnie coś się stało.

– Boże, Harvey idzie prosto na nas! Stephen, skieruj się do części klubowej. Ja pójdę za tobą. Odetchnij głęboko, odpręż się. Nie widział nas.

Harvey podszedł do porządkowego strzegącego wejścia do sektora klubowego.

– Harvey Metcalfe, właściciel Rosalie. Oto mój znaczek.

Porządkowy przepuścił go. Trzydzieści lat temu, pomyślał, nie wpuściliby go tutaj, nawet gdyby wszystkie konie na wyścigach do niego należały. Wówczas impreza w Ascot trwała tylko cztery dni w roku i była ekskluzywną ceremonią towarzyską; teraz ciągnęła się dwadzieścia cztery dni i była wielkim biznesem. Czasy się zmieniły.

Jean-Pierre wszedł tuż za Harveyem, bez słowa okazując odznakę klubową.

Jakiś fotograf porzucił na chwilę polowanie na zwariowane kapelusze, z jakich słynie Ascot, i zrobił zdjęcie Harveyowi, na wypadek gdyby jego Rosalie wygrała nagrodę króla Jerzego VI. Ledwie zgasł flesz, reporter dał

susa w stronę drugiego wejścia, którędy Linda Lovelace, gwiazda *Głębokiego gardła*, filmu wyświetlanego przy przepełnionych widowniach nowojorskich kin, lecz zakazanego w Anglii, usiłowała się dostać do części klubowej. Nie udało jej się, mimo że została przedstawiona słynnemu bankierowi londyńskiemu, Richardowi Szpiro, w chwili gdy wchodził do środka. Miała na sobie cylinder, męski żakiet, włożony na gołe ciało i spodnie sztuczkowe. Budziła powszechne zainteresowanie i nikt nie zwracał uwagi na Harveya. Kiedy była już pewna, że wszyscy fotoreporterzy zrobili jej zdjęcie u wejścia do sektora klubowego, odeszła, klnąc na cały głos. Występ na potrzeby reklamy był zakończony.

Harvey powrócił właśnie do oględzin koni, gdy Stephen zbliżył się do niego na odległość paru kroków.

– Uwaga, ruszamy – powiedział Jean-Pierre po francusku.

Podszedł rezolutnie do Stephena i – stając między obu mężczyznami – wylewnie się z nim przywitał, wygłaszając donośnym głosem swą kwestię:

– Witam, profesorze Porter. Nie wiedziałem, że interesuje się pan wyścigami.

– Właściwie nie, ale wracałem z seminarium w Londynie i pomyślałem sobie, że to dobra okazja...

– Profesorze Porter! – wrzasnął Harvey. – To dla mnie zaszczyt pana poznać. Jestem Harvey Metcalfe z Bostonu w stanie Massachusetts. Mój dobry przyjaciel doktor Wiley Barker, który uratował mi życie, zawiadomił mnie, że pan tu jest. Postaram się, by spędził pan wspaniałe popołudnie.

Jean-Pierre wymknął się niezauważenie. Nie mógł wprost uwierzyć, że poszło tak łatwo. Telegram zdziałał cuda.

– Jej królewska Mość, Jego Wysokość książę Edynburga, Jej Wysokość Elżbieta królowa Matka i Jej Wysokość księżniczka Anna wchodzą w tej

chwili do loży królewskiej.

Połączone orkiestry brygady gwardii odegrały hymn narodowy: *Boże, zbaw królową.*

Dwudziestotysięczny tłum powstał i śpiewał lojalnie, fałszując.

– Przydałoby się nam coś podobnego w Ameryce zamiast Richarda Nixona – powiedział Harvey do Stephena. – Nie byłoby Watergate.

Stephen pomyślał, że jego rodak jest trochę niesprawiedliwy. Richard Nixon był niemal święty w porównaniu z Harveyem Metcalfe'em.

– Zapraszam do loży, profesorze, i proszę poznać moich gości. Ta cholerna loża kosztowała mnie siedemset pięćdziesiąt funtów, trzeba to wykorzystać. Czy jadł pan lunch?

– Tak, dziękuję, jestem po doskonałym lunchu – skłamał Stephen. Jeszcze jedna rzecz, której nauczył go Harvey. Tkwił godzinę w pobliżu sektora klubowego w napięciu i niepokoju i nie zjadł nawet kanapki, a teraz był okropnie głodny.

– Proszę wejść do środka i częstować się szampanem! – ryczał Harvey.

Na pusty żołądek, pomyślał Stephen.

– Dziękuję, panie Metcalfe. Czuję się trochę zagubiony. To moje pierwsze Wyścigi Królewskie w Ascot.

– Pan się myli, profesorze. Dziś jest ostatni dzień tygodnia Ascot, ale rodzina królewska zawsze przybywa na gonitwę króla Jerzego i Elżbiety, dlatego towarzystwo jest takie wystrojone.

– Ach, tak – powiedział z naiwnym zdziwieniem Stephen, który celowo się pomylił. Harvey objął swą zdobycz i triumfalnie wprowadził do loży.

– Chcę wszystkim przedstawić mojego znakomitego gościa, Rodneya Portera. Jest laureatem Nagrody Nobla. Przy okazji, Rod, jaka jest pańska specjalność?

– Biochemia.

Stephen zaczynał już rozgryzać Harveya. Jeśli nie wypadnie z roli, bankierzy i armatorzy, a nawet dziennikarze ani przez moment nie zwątpią, że jest największym geniuszem od czasu Einsteina. Odprężył się trochę i skorzystał nawet z okazji, by posilić się kanapkami z wędzonym łososiem, gdy nikt nie patrzył.

Lester Piggott zwyciężył w gonitwie o drugiej na Olympic Casino i o drugiej trzydzieści na Rusałce, zapisując na swoim koncie trzytysięczną wygraną. Harvey był coraz bardziej niespokojny. Gadał bez ładu i składu. Gonitwą o drugiej trzydzieści zupełnie się nie interesował, pił tylko coraz więcej szampana. O drugiej pięćdziesiąt wezwał gości, aby poszli z nim spojrzeć na jego słynną klacz. Stephen przyłączył się do świty Harveya.

Jean-Pierre i James obserwowali ich z pewnego oddalenia.

– Jest zbyt zaaferowany, żeby zwrócić na nas uwagę – zauważył Jean-Pierre.

– Lepiej nie ryzykujmy – powiedział James. – Spływajmy, bo jeszcze się na nas napatoczy.

Skierowali się do baru z szampanem, pełnego mężczyzn o purpurowych twarzach, którzy wyglądali, jakby więcej czasu strawili na piciu niż na oglądaniu wyścigów.

– Czy nie jest piękna, profesorze? Prawie tak piękna jak moja córka. Jeśli nie zwycięży dzisiaj, to już chyba nie mam na co liczyć.

Harvey zostawił grupkę gości i poszedł zamienić parę słów z dżokejem, Patem Edderym, i życzyć mu szczęścia. Peter Walwyn, trener, udzielał jeszcze ostatnich wskazówek. Dżokej dosiadł konia i odjechał. Przed gonitwą dziesięć koni przedefilowało przed trybuną – ceremonia zarezerwowana w Ascot tylko dla gonitwy o nagrodę króla Jerzego VI i królowej Elżbiety. Pierwszy szedł koń królowej, Highclere, w barwach

złoto-purpurowo-szkarłatnych, następnie trochę niesforna Crown Princess pod Lesterem Piggottem. Tuż za nią swobodnie i rześko szła Rosalie, rwąca się do biegu. Z tyłu kłusowały Buoy i Dankaro. Zamykali paradę outsiderzy Mesopotamia, Ropey i Minnow. Tłum powstał i wznosił okrzyki. Harvey promieniał dumą, jakby był właścicielem wszystkich koni.

– ...jest przy mnie znany właściciel stajni wyścigowej, Amerykanin Harvey Metcalfe – powiedział do mikrofonu Julian Wilson, który prowadził bezpośrednią transmisję telewizyjną dla BBC. – Chcę go poprosić, by podzielił się z nami swoją opinią na temat gonitwy o nagrodę króla Jerzego VI i królowej Elżbiety, w której biegnie jego klacz Rosalie, współfaworytka. Witamy w Anglii, panie Metcalfe. Co pan czuje, uczestnicząc w tej wspaniałej gonitwie?

– To emocjonujące być tutaj i jeszcze raz to przeżywać. Rosalie ma wielką szansę. Jednak nie jest ważne zwycięstwo, ważne jest uczestnictwo.

Stephena zamurowało. Baron de Coubertin, który pierwszy tak się wyraził, gdy otwierał igrzyska olimpijskie w 1896 roku, przewrócił się chyba w grobie.

– Ostatnie notowania wskazują, że Rosalie jest faworytką na równi z Highclere, koniem Jej Królewskiej Mości. Jaka jest pańska ocena?

– Równie groźna dla Rosalie jest Crown Princess księcia Devonshire, a Lestera Piggotta niełatwo pobić, gdy gra idzie o dużą stawkę. Wygrał w dwu pierwszych gonitwach i teraz da z siebie wszystko, a Crown Princess to świetna klacz.

– Czy półtorej mili to dobry dystans dla Rosalie?

– Z jej wyników w tym sezonie wynika, że najlepszy.

– Co pan zrobi z sumą osiemdziesięciu jeden tysięcy dwustu czterdziestu funtów nagrody?

– Pieniądze są nieważne, nawet o nich nie pomyślałem.

Ale Stephen pomyślał.

– Dziękuję, panie Metcalfe, i życzę powodzenia. A teraz najnowsze notowania.

Harvey powrócił do swego orszaku i zaproponował, żeby obejrzeć gonitwę z galerii przed lożą.

Stephen z fascynacją obserwował Harveya z tak bliska. Pod wpływem emocji tracił głowę, zgrywał się jeszcze bardziej niż zwykle i w niczym nie przypominał chłodnego, opanowanego gracza, jakiego się obawiali. Był człowiekiem niewolnym od słabości i ulegającym emocjom, zatem można go było pokonać.

Wszyscy wychylili się przez poręcz, obserwując, jak konie wchodzą do boksów startowych. Crown Princess nadal trochę się opierała, pozostałe czekały spokojnie. Napięcie sięgało szczytu.

– Po-szły! – zadudnił głośnik.

Dwadzieścia pięć tysięcy ludzi podniosło lornetki do oczu. Harvey powiedział:

– Dobrze wystartowała, jest na korzystnej pozycji. – Nie przestawał udzielać wszystkim dokoła objaśnień, póki konie nie zbliżyły się do zakrętu – wówczas ucichł. Inni też czekali w milczeniu, nasłuchując, kiedy odezwie się głośnik.

– Wychodzą na prostą, milę przed celownikiem. Minnow prowadzi na zakręcie, tuż za nim, wachlarzykiem, idą swobodnie Buoy i Dankaro, następnie Crown Princess, Rosalie i Highclere...

– Zbliżają się do sześciofurlongowego[5] słupa – Rosalie i Crown Princess idą od pola, Highclere przesuwa się do przodu...

– Pięć furlongów do celownika, Minnow wciąż na przedzie, ale zaczyna słabnąć, Crown Princess i Buoy zbliżają się do niego...

– Jeszcze pół mili. Minnow nadal tuż przed Buoy, która wyszła na drugie miejsce, chyba przedwcześnie...

– Trzy furlongi do celownika, tempo trochę wzrosło, Minnow prowadzi przy barierze, Buoy i Dankaro o jedną długość z tyłu, za nimi Rosalie, Crown Princess pod Lesterem Piggottem i klacz królowej Elżbiety, Highclere, wszystkie zmniejszają dystans do prowadzących...

– Niespełna dwa furlongi, Highclere i Rosalie atakują Buoy, Crown Princess odpada...

– Ostatni furlong...

Głos sprawozdawcy przybierał na sile i wysokości.

– Joe Mercer na Highclere wychodzi na prowadzenie, tuż za nim Pat Eddery na Rosalie... jeszcze dwieście jardów... Konie idą łeb w łeb... sto jardów... nie wiadomo, kto wygrał... rozstrzygnie fotokomórka... albo złoto-purpurowo-szkarłatne barwy Jej Królewskiej Mości, albo czarno-zielone Amerykanina Harveya Metcalfe'a. Na trzecim miejscu przyszedł Dankaro pana Moussaca.

Harvey stał nieruchomo, czekając na ogłoszenie wyniku. Nawet Stephen poczuł do niego odrobinę sympatii. Żaden z gości Harveya nie odzywał się, bojąc się pomylić.

– Wynik gonitwy o nagrodę króla Jerzego VI i królowej Elżbiety – zahuczał głośnik i tłum zamarł w ciszy.

– Zwyciężyła Rosalie, numer piąty.

Dalsze wyniki zagłuszyła wrzawa tłumu i triumfalny ryk Harveya. Popędził na czele swych gości do najbliższej windy, wcisnął funta windziarce i wrzasnął: „Jazda!” Tylko połowa gości zdążyła za nim wskoczyć. Stephen był wśród nich. Zjechali na dół, rozsunęły się drzwi i Harvey pogalopował jak rumak pełnej krwi obok barku z szampanem, obiegł z tyłu sektor klubowy i wpadł na padok dla zwycięzców, zarzucił

ramiona na szyję Rosalie, o mało nie strącając dżokeja. Po chwili triumfalnie prowadził klacz do małego białego słupka z napisem „pierwsze miejsce”. Wokół tłoczył się tłum z gratulacjami.

Dyrektor toru, kapitan Beaumont, podszedł do Harveya i pouczył go, jak się zachować podczas prezentacji. Lord Abergavenny, przedstawiciel królowej w Ascot, towarzyszył Jej Królewskiej Mości na padok dla zwycięzców.

– Zwyciężczyni gonitwy o nagrodę króla Jerzego VI i królowej Elżbiety, Rosalie, klacz pana Harveya Metcalfe'a.

Harvey czuł się jak w krainie snów. Trzaskały flesze, kamery obracały się za nim, gdy szedł do królowej. Skłonił się i odebrał trofeum. Królowa, olśniewająca w sukni z turkusowego jedwabiu i takim samym turbanie, które zaprojektować mógł tylko Norman Hartnell, powiedziała kilka słów, ale Harveyowi po raz pierwszy w życiu odebrało mowę. Cofnął się o krok, ponownie ukłonił i wrócił na swe miejsce w akompaniamencie głośnych braw.

Wrócili do loży, gdzie lał się szampan i wszyscy byli przyjaciółmi Harveya. Stephen wiedział, że teraz nie pora na żadne sztuczki. Trzeba się przyczaić i zaobserwować zachowanie Harveya w nowej sytuacji. Czekał spokojnie w kącie, póki nie opadnie fala emocji, i bacznie przyglądał się zwierzynie, na którą zastawił sidła.

Dopiero po następnej gonitwie Harvey trochę ochłonął i Stephen zdecydował, że pora działać. Udał, że chce odejść.

– Już pan idzie, profesorze?

– Tak, panie Metcalfe. Muszę wrócić do Oksfordu i ocenić prace egzaminacyjne na jutro rano.

– Zawsze was podziwiałem, chłopaki. Mam nadzieję, że dobrze się pan bawił?

Stephen ugryzł się w język, by nie zacytować słynnej riposty Bernarda Shawa: „Zawsze dobrze się bawię w swoim towarzystwie”.

– Tak, dziękuję panu, panie Metcalfe. Zdumiewający wyczyn. Musi pan być naprawdę dumny.

– No pewnie. Długo na to czekałem, ale warto było... Rod, taka szkoda, że musi pan już iść. Nie mógłby pan zostać jeszcze trochę i wziąć udział w przyjęciu, które wydaję wieczorem u Claridge'a?

– Bardzo bym chciał, panie Metcalfe, ale to pan musi mnie odwiedzić w Oksfordzie i obejrzeć uniwersytet.

– Bomba. Mam parę wolnych dni po Ascot i zawsze chciałem zobaczyć Oksford, ale jakoś nigdy nie było na to czasu.

– W przyszłą środę uniwersytet urządza garden party. Mógłby pan zjeść ze mną kolację w kolegium we wtorek wieczorem, a następnego dnia pokazałbym panu uniwersytet i poszlibyśmy na przyjęcie. – Stephen skreślił na kartce kilka wskazówek.

– Fantastycznie. To będą moje najbardziej udane wakacje w Europie. Czym wraca pan do Oksfordu, profesorze?

– Pociągiem.

– Nie ma mowy – powiedział Harvey. – Mój rolls-royce jest do pana dyspozycji. Zdąży wrócić przed ostatnią gonitwą.

I zanim Stephen zdążył cokolwiek powiedzieć, Harvey wezwał szofera.

– Zawieź profesora Portera do Oksfordu, a potem wróć tutaj. Miłej podróży, profesorze. Cieszę się na nasze spotkanie we wtorek o ósmej wieczór. Wspaniale, że pana poznałem.

– Dziękuję za cudowny dzień, panie Metcalfe, i gratuluję imponującego zwycięstwa.

W drodze do Oksfordu, usadowiony z tyłu białego rolls-royce'a, wbrew przechwałkom Robina, który pysznił się, że tylko on dostąpił tego

zaszczytu, Stephen odprężył się i uśmiechnął pod nosem. Wyjął z kieszeni mały notesik i zapisał:

„Potrącić z kosztów 98 pensów, cenę biletu drugiej klasy z Ascot do Oksfordu”.

---

[5] Furlong = ⅛ mili, około 200 m (przyp. tłum.).

XV

– Bradley – rzekł starszy tutor. – Zaczynasz siwieć, drogi chłopcze. Może funkcja prodziekana jest dla ciebie zbyt uciążliwa?

Stephen był ciekaw, czy ktoś z salonu profesorskiego uzna zmianę koloru jego włosów za godną komentarza. W tym gronie trudno kogoś czymkolwiek zadziwić.

– Mój ojciec osiwiał wcześnie, a trudno się uchronić przed prawami dziedziczności...

– Nic nie szkodzi, drogi chłopcze, będziesz wyglądał tym bardziej dystyngowanie na garden party w przyszłym tygodniu.

– O, rzeczywiście – odparł Stephen, który o niczym innym nie myślał. – Zupełnie o tym zapomniałem.

Wrócił do swych pokoi, gdzie zgromadzeni członkowie zespołu czekali na kolejną odprawę.

– Środa jest dniem Encaenii i garden party – zaczął Stephen, nie wysilając się nawet na „dzień dobry, panowie”. Słuchacze puścili mu to płazem. – Dowiedzieliśmy się o naszym przyjacielu milionerze jednej rzeczy: iż nawet wyrwany z własnego otoczenia nadal uważa, że wszystko wie najlepiej. Dowiedliśmy, że można go pobić jego własną bronią, jeśli się wie, co się wydarzy, on zaś nie ma o tym pojęcia. Tę właśnie metodę zastosował przy Prospecta Oil: zawsze był o krok przed nami. Teraz my wysforujemy się o dwa kroki: dzisiaj zrobimy zwykłą próbę, a jutro próbę kostiumową.

– Na rekonesans nigdy nie szkoda czasu – mruknął James. Była to chyba jedyna maksyma, jaką zapamiętał ze szkoły kadetów.

– Nie musieliśmy tracić czasu na rekonesans do twojego planu, James – wtrącił swoje trzy grosze Jean-Pierre.

Stephen nie zwracał na nich uwagi.

– Otóż cała operacja zajmie mi tego dnia około siedmiu godzin, a wam około czterech łącznie z charakteryzacją. Dzień wcześniej James jeszcze raz nas poinstruuje, jak to się robi.

– Ile razy wystąpią moi synowie? – zapytał Robin.

– Tylko raz, w środę. Nie można ich przemęczać, bo zachowają się sztywno i nienaturalnie.

– Jak sądzisz, kiedy Harvey zechce wrócić do Londynu? – spytał Jean-Pierre.

– Dzwoniłem dzisiaj do wypożyczalni samochodów Guya Salmona i dowiedziałem się, jaki mają rozkład jazdy. Dostali polecenie, żeby na siódmą wieczór odstawić go do Claridge'a, założyłem więc, że mamy czas do wpół do szóstej.

– Sprytnie – odrzekł Robin.

– To okropne – powiedział Stephen – ale teraz już nawet myślę jak on. No dobrze, powtórzmy wszystko jeszcze raz. Czerwona teczka, połowa strony szesnastej. Kiedy wyjdę z Kolegium All Souls...

W niedzielę i poniedziałek przeprowadzili próby generalne. Do wtorku poznali wszelkie możliwe trasy, jakie mógł wybrać Harvey, i ustalili, gdzie się będzie znajdował w każdym momencie od dziewiątej rano do wpół do szóstej po południu. Stephen miał nadzieję, że przewidział każdą ewentualność. Nie było wielkiego wyboru. Tym razem zagrywka może być tylko jedna. Wystarczy jakiś błąd, jak w Monte Carlo, i szansa umknie bezpowrotnie. Próba generalna rozegrana została co do sekundy.

– Nie miałem na sobie takich strojów od czasu, kiedy jako sześcioletni brzdąc uczęszczałem na maskarady – powiedział Jean-Pierre. – Niemożliwe, żebyśmy nie zwracali uwagi.

– Tego dnia wszyscy będą wystrojeni na czerwono, niebiesko i czarno. Jak na paradzie pawi. Nikt się za nami nie obejrzy, nawet ty – uspokoił go Stephen.

Czekali znów w napięciu, kiedy kurtyna pójdzie w górę. Stephen był z tego rad; nie wątpił, że w momencie, gdy stracą czujność, zostaną zdemaskowani.

Spędzili spokojny weekend. Stephen obejrzał doroczny występ kółka dramatycznego w parku Kolegium Magdaleny, Robin zabrał żonę do Glyndebourne i obdarzał ją niecodziennymi względami, Jean-Pierre czytał Goodbye Picasso Davida Douglasa Duncana, a James zawiózł Anne do pałacu Tathwell w Lincolnshire, by przedstawić ją ojcu, piątemu earlowi.

W ten weekend nawet Anne była zdenerwowana.

– Harry?

– Tak, doktorze Bradley?

– Dziś wieczór będę miał na kolacji gościa z Ameryki. Nazywa się Harvey Metcalfe. Czy mógłbyś dopilnować, żeby go do mnie zaprowadzono?

– Oczywiście, proszę pana.

– Jeszcze jeden drobiazg. Zdaje się, że on mnie myli z profesorem Porterem z kolegium Trójcy Świętej. Nie wyprowadzaj go z błędu, dobrze? Po prostu przytakuj mu we wszystkim.

– Naturalnie, proszę pana.

Harry wycofał się do portierni, potrząsając ze smutkiem głową. Wiadomo, że wszyscy naukowcy dostawali w końcu kręćka, ale doktora

Bradleya dotknęło to w wyjątkowo młodym wieku.

Harvey przybył o ósmej. W Anglii zawsze był punktualny. Starszy portier poprowadził go krużgankami, a potem w górę po starych kamiennych schodach do pokoi Stephena.

– Pan Metcalfe, proszę pana.

– Jak się pan miewa, profesorze?

– Dziękuję, dobrze, panie Metcalfe. Miło mi, że jest pan tak punktualny.

– Punktualność jest grzecznością książąt.

– Myślę, że raczej królów, a ściśle mówiąc, Ludwika XVIII. – Na moment Stephen zapomniał, że Harvey nie jest studentem.

– Na pewno ma pan rację, profesorze.

Stephen nalał dużą whisky. Gość omiótł spojrzeniem pokój i zatrzymał je na biurku.

– Ho, ho! Jaki piękny zbiór fotografii. Pan w towarzystwie nieżyjącego prezydenta Kennedy'ego, królowej, a nawet papieża.

To był chwyt autorstwa Jean-Pierre'a. Skontaktował Stephena z fotografem, który siedział w więzieniu z jego przyjacielem artystą, Davidem Steinem. Stephen marzył o tym, żeby jak najszybciej spalić te fotografie i zapomnieć, że kiedykolwiek istniały.

– Pozwoli pan, że dodam jeszcze jedną do pańskiej kolekcji.

Harvey wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki wielkie zdjęcie ukazujące go w chwili, gdy odbiera od królowej nagrodę za zwycięstwo Rosalie w wyścigu króla Jerzego VI i królowej Elżbiety.

– Podpiszę panu, jeśli pan chce.

Nie czekając na odpowiedź, złożył zamaszysty podpis, ukośnie na królowej.

– Dziękuję – powiedział Stephen. – Zapewniam pana, że będę strzegł tej fotografii równie pieczołowicie jak tamtych. Bardzo jestem panu zobowiązany, panie Metcalfe, że znalazł pan czas, aby mnie odwiedzić.

– To zaszczyt dla mnie być w Oksfordzie, a to stare kolegium jest tak piękne.

Stephen wierzył, że podziw Harveya jest szczery, i stłumił chęć uraczenia go anegdotą o wizycie nieżyjącego już lorda Nuffielda w Kolegium Magdaleny. Mimo hojności Nuffielda dla Oksfordu jego stosunki z uniwersytetem nigdy nie układały się bez zgrzytów. Kiedy po biesiadzie w kolegium lord Nuffeld szykował się do wyjścia, służący podał mu kapelusz. Nuffield zachował się niegrzecznie. „Czy to mój?” – zapytał wyniośle. „Tego nie wiem, milordzie – brzmiała odpowiedź – ale to ten, w którym pan przyszedł”.

Harvey trochę bezradnie wodził wzrokiem po książkach zapełniających półki. Szczęśliwie rozbieżność między czystą matematyką, której były poświęcone, a biochemią, dyscypliną domniemanego profesora Portera, uszła jego uwagi.

– Proszę mnie poinstruować, co robimy jutro.

– Chętnie – powiedział Stephen. Dlaczego nie? Innych już poinstruował w tej materii. – Pozwoli pan, że poproszę o podanie kolacji, a potem przedstawię panu mój plan i zobaczymy, czy będzie panu odpowiadał.

– Wszystko sprawi mi radość. Odmłodniałem dziesięć lat od przyjazdu do Europy... Na pewno dzięki operacji... I pobyt w Oksfordzie to dla mnie wielka frajda.

Stephen zwątpił na moment, czy wytrzyma siedem godzin sam na sam z Harveyem, ale czego człowiek nie zrobi dla kolejnych 250 000 dolarów i dla swej reputacji w zespole...

Służba wniosła przystawkę z krewetek.

– Mój przysmak – rzekł Harvey. – Skąd pan wiedział?

Stephen miał ochotę odpowiedzieć: „Wiem o tobie niemal wszystko”, ale zadowolił się stwierdzeniem:

– Szczęśliwy traf. A zatem, jeśli spotkamy się jutro o dziesiątej rano, będziemy mogli wziąć udział w uroczystościach uważanych za najciekawsze wydarzenie w kalendarzu uniwersyteckim. Zwą się Encaenia.

– Co to takiego?

– Raz do roku, z końcem trymestru Świętej Trójcy, który jest odpowiednikiem trymestru letniego na uniwersytetach amerykańskich, obchodzimy uroczyste zakończenie roku akademickiego. Odbywa się kilka różnych ceremonii, a potem wspaniałe garden party z udziałem kanclerza i wicekanclerza uniwersytetu. Kanclerzem jest były premier brytyjski, Harold Macmillan, wicekanclerzem pan Habakkuk. Mam nadzieję, że pozna pan ich obu i że zdążymy ze wszystkim tak, żeby nie spóźnił się pan do Londynu na siódmą wieczór.

– Skąd pan wie, że muszę wrócić przed siódmą?

– Uprzedził mnie pan w Ascot. – Stephen umiał teraz kłamać na zawołanie. Bał się, że jeśli nie odzyskają szybko miliona, zostanie zatwardziałym przestępcą.

Harveyowi bardzo smakowała kolacja, przy której planowaniu Stephen trochę przesadził, każde danie okazywało się bowiem ulubioną potrawą gościa. Po kolacji Harvey popił sobie tęgo doskonałej brandy (7 funtów 25 pensów butelka, pomyślał Stephen) i powędrowali przez ciche krużganki Kolegium Magdaleny obok Szkoły Pieśni. Dźwięki ćwiczonej przez chórzystów mszy Gabrielego delikatnie drżały w powietrzu.

– Ojej, że też pozwalacie tak głośno puszczać płyty – rzekł Harvey.

Stephen odprowadził gościa do hotelu Randolph, pokazawszy mu po drodze żelazny krzyż na Broad Street przed kolegium Balliola,

upamiętniający ponoć miejsce, gdzie w 1556 roku spalono za herezję na stosie arcybiskupa Cranmera. Harvey nie przyznał się, że nigdy nie słyszał o owym duchownym.

Stephen rozstał się z Harveyem na schodach hotelu.

– Do zobaczenia rano, profesorze. Dziękuję za miły wieczór.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Wpadnę po pana o dziesiątej. Dobrej nocy, jutro czeka pana dzień pełen wrażeń.

Stephen wrócił do Kolegium Magdaleny i natychmiast zadzwonił do Robina.

– Wszystko dobrze, ale trochę przesadziłem. Zbyt pieczołowicie dobrałem potrawy i podałem nawet jego ulubioną brandy. Cóż, za to jutro będę ostrożniejszy. Musimy się wystrzegać przesady.

Stephen powtórzył to samo Jean-Pierre'owi i Jamesowi, po czym z rozkoszą wyciągnął się na łóżku. Jutro o tej porze będzie mądrzejszy, ale czy bogatszy?

XVI

O piątej rano słońce wyłoniło się zza Cherwell i nieliczni oksfordczycy, którzy o tej porze już byli na nogach, mogli się jeszcze raz przekonać, dlaczego koneserzy uważają Kolegium Magdaleny za najpiękniejsze w Oksfordzie i Cambridge. Usadowione na brzegach rzeki, przyciąga wzrok urokiem późnego angielskiego gotyku. Jego mury widziały króla Edwarda VII, księcia Henryka, kardynała Wolseya, Edwarda Gibbona i Oscara Wilde'a. Wszakże Stephen, gdy obudził się rano, nie mógł myśleć o niczym innym poza edukacją Harveya Metcalfe'a.

Słyszał, jak bije mu serce, i dopiero teraz pojął, co przeżyli Robin i Jean-Pierre. Wydało się, że upłynęła wieczność od czasu ich pierwszego spotkania przed trzema miesiącami. Uśmiechnął się na myśl o tym, jak bardzo zbliżył ich wspólny cel przechytrzenia Metcalfe'a. Mimo że Stephen, jak James, zaczynał skrycie podziwiać tego człowieka, tym bardziej wierzył, że można mu zadać klęskę na obcym dla niego gruncie. Ponad dwie godziny Stephen leżał bez ruchu, zatopiony w myślach, analizując wciąż od nowa swój plan. Kiedy słońce wyjrzało zza wierzchołka najwyższego drzewa, wstał, wziął prysznic i ubrał się powoli i starannie, pochłonięty myślami o czekającym go dniu.

Ucharakteryzował się pieczołowicie na człowieka starszego o piętnaście lat. Pochłonęło to wiele czasu; zastanawiał się, czy kobiety też tak długo męczą się przed lustrem, by osiągnąć odwrotny efekt. Założył wspaniałą szkarłatną togę doktora filozofii Uniwersytetu Oksfordzkiego. Rozbawiła go myśl, że w Oksfordzie musiało być inaczej: wszystkie uniwersytety

oznaczały ten uniwersalny tytuł przyznawany za pracę badawczą skrótem Ph.D., Oksford zaś – D. Phil. Przejrzał się w lustrze.

Co jak co, ale ten strój musi olśnić Harveya Metcalfe'a.

Ponadto Stephen miał prawo go nosić. Usiadł jeszcze i ostatni raz przestudiował czerwone dossier. Tyle razy czytał gęsto zapisane strony, że właściwie znał je już na pamięć.

Nie poszedł na śniadanie. Wywołałby niewątpliwie poruszenie wśród kolegów wyglądem pięćdziesięciolatka, choć starsi nie dostrzegliby w tym nic nadzwyczajnego.

Skierował się na High Street i zagubił w tysiącznym tłumie akademików, ubranych niczym czternastowieczni arcybiskupi. Tego osobliwego dnia łatwo było zachować anonimowość. To właśnie, a ponadto fakt, że Harvey będzie urzeczony niezwykłymi tradycjami starodawnego uniwersytetu, zdecydowało, że Stephen wybrał ten dzień na swoją batalię.

Przyszedł na miejsce za pięć dziesiąta, przywołał jednego z chłopców hotelowych i powiedział mu, że jest profesorem Porterem i że przyszedł do pana Metcalfe'a. Usiadł w hallu, a chłopak pobiegł i po paru chwilach wrócił z Harveyem.

– Pan Metcalfe, profesorze Porter.

– Dziękuję – rzekł Stephen. Zanotował sobie w pamięci, żeby wrócić i dać napiwek chłopcu. Zasłużył sobie, jeśli to nawet należało do jego obowiązków.

– Dzień dobry, profesorze – powiedział Harvey, siadając obok. – Proszę mi powiedzieć, co mnie czeka.

– A więc – zaczął Stephen – tradycyjnie Encaenia rozpoczynają się, gdy starszyzna uniwersytecka zasiada w kolegium Jezusa do śniadania, na które podaje się szampana i truskawki ze śmietaną. Zwie się ono darem lorda Nathaniela Crewe'a.

– Co to za gość? Czy jest obecny na śniadaniu?

– Tylko duchem. Ów zacny człowiek zmarł mniej więcej trzysta lat temu. Lord Nathaniel Crewe był doktorem uniwersytetu i biskupem Durhamu. Zapisał uniwersytetowi dwieście funtów rocznie jako dar dobroczynny na koszty śniadania i oracji, którą usłyszymy później. Oczywiście, przy wzroście cen i inflacji, pieniądze te już nie wystarczają, więc uniwersytet dokłada z własnej szkatuły, by podtrzymać tradycję. Po śniadaniu odbywa się uroczysty pochód do Teatru Sheldona.

– Co dalej?

– Teraz następuje najbardziej emocjonujący moment dnia. Uroczyste nadanie doktoratów *honoris causa.*

– Co takiego?

– Nadanie wybitnie zasłużonym mężczyznom i kobietom, wybranym przez starszyznę uniwersytecką, stopni honorowych Uniwersytetu Oksfordzkiego. – Stephen spojrzał na zegarek. – Powinniśmy już iść, żeby zająć miejsca, z których zobaczymy pochód.

Stephen wstał i wyprowadził swego gościa z hotelu Randolph. Powędrowali Broad Street i zatrzymali się przed samym Teatrem Sheldona, gdzie policjant zrobił im trochę miejsca ze względu na strój Stephena. Kilka minut później pochód wyłonił się z Turl Street. Policja zatrzymała wszelki ruch, a widzom poleciła, by nie schodzili z chodników.

– Co to za faceci z przodu, ci z pałkami?

– Marszałek i pedle. Niosą berła, symbol władzy i siły kanclerza.

– Jezu, przecież tu jest bezpiecznie. To nie Central Park w Nowym Jorku.

– Zgoda – odparł Stephen – ale nie zawsze tak było podczas ostatnich trzystu lat, a w Anglii tradycja nie zamiera łatwo.

– A ci za pedlami?

– Ten w czarnej todze ze złotymi obszyciami to kanclerz uniwersytetu w towarzystwie swego pazia. Kanclerzem jest Najczcigodniejszy Harold Macmillan, premier Wielkiej Brytanii na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

– O tak, pamiętam faceta. Próbował włączyć Brytyjczyków do Europy, ale de Gaulle kręcił na to nosem.

– No cóż, chyba można to i tak określić. Za nim postępuje wicekanclerz pan Habakkuk, który jest również rektorem kolegium Jezusa.

– Pogubiłem się, profesorze.

– Kanclerzem jest zawsze jakiś wybitny Anglik, który studiował w Oksfordzie. Wicekanclerza wybiera się spośród czołowych przedstawicieli uniwersytetu, zazwyczaj zwierzchników kolegiów.

– Chyba zrozumiałem.

– Za nim widać sekretarza uniwersytetu, pana Castona, który jest członkiem kolegium Mertona. Jest administratorem uniwersyteckim, kimś w rodzaju wysokiego urzędnika państwowego. Podlega bezpośrednio wicekanclerzowi i Radzie Tygodniowej, która jest jakby gabinetem uniwersyteckim. Z tyłu idzie starszy proktor, pan Campbell z kolegium Worcester, z młodszym proktorem, księdzem doktorem Benettem z kolegium...

– Któż to taki proktor? – przerwał mu Harvey.

– Przez ponad siedemset lat proktorzy odpowiadali za zachowanie dyscypliny i obyczajności na uniwersytecie.

– Co? Ci dwaj staruszkowie mają sobie poradzić z dziewięcioma tysiącami rozbrykanych studentów?

– No, nie sami, z pomocą buldogów.

– To już lepiej. Jak taki buldog angielski chapnie kogoś parę razy, od razu jest spokój.

– Nie, nie – protestował Stephen desperacko, zmuszając się do zachowania powagi. – Tak nazywa się pomocników proktora. No i na końcu widzi pan niewielki kolorowy korowód. Są to przełożeni kolegiów z doktoratami uniwersyteckimi, doktorzy niebędący przełożonymi kolegiów i przełożeni kolegiów niemający tytułu doktora, w tej kolejności.

– Rod, mnie doktorzy kojarzą się wyłącznie z bólem i wydatkami.

– To nie tacy doktorzy – powiedział Stephen.

– Nieważne. Jestem tym wszystkim zachwycony, ale proszę nie wymagać, żebym jeszcze rozumiał, o co chodzi.

Stephen obserwował bacznie twarz Harveya. Napawał się malowniczym widokiem i wreszcie ucichł.

– Cały ten długi korowód skieruje się do Teatru Sheldona i wszyscy zajmą miejsca w amfiteatrze.

– Ale co to za teatr?

– To półkoliste ławy, najbardziej niewygodne w Europie. Lecz proszę się nie obawiać. Dzięki pańskiej sławie jako dobroczyńcy Harvardu otrzymaliśmy specjalne miejsca, i czas iść, żeby zdążyć przed uczestnikami pochodu.

– Niech pan prowadzi, Rod. Czy tu naprawdę docierają wieści z Harvardu?

– Ależ tak, proszę pana. W kręgach uniwersyteckich cieszy się pan opinią wspaniałomyślnego człowieka, chętnie finansującego doskonalenie wiedzy.

– Nie wierzę.

Ja też, pomyślał Stephen.

Zaprowadził Harveya na miejsce, które specjalnie zarezerwował na balkonie, żeby gość nie przyjrzał się za dokładnie poszczególnym osobom. Jednakże w amfiteatrze uczeni mężowie i niewiasty byli tak szczelnie

ukryci pod togami, biretami, muszkami i szarfami, że nawet własne matki nie mogłyby ich rozpoznać. Organista uderzył ostatni akord i goście zajęli miejsca.

– Organista – objaśnił Stephen – jest z mojego kolegium. To choragus, dyrygent chóru i zastępca profesora muzyki.

Harvey nie mógł oderwać oczu od siedzących półkolem postaci w szkarłatach. Nigdy w życiu nie oglądał czegoś podobnego. Ucichła muzyka i kanclerz wstał, aby przemówić do zgromadzonych w oksfordzkiej łacinie.

– *Causa huius convocationis est ut...* – Co on, do diabła, gada? – Mówi nam, dlaczego tu jesteśmy – wyjaśnił Stephen. – Będę próbował tłumaczyć.

– *Ite bedelli* – wezwał kanclerz i w tym momencie rozwarły się podwoje, żeby przepuścić pedli udających się do Szkoły Teologii po kandydatów przedstawionych do stopni honorowych. Panowała cisza, gdy Publiczny Mówca, J. G. Griffith, wprowadzał ich i prezentował kolejno kanclerzowi, wysławiając ich dorobek zawodowy i zasługi w nienagannej błyskotliwej łacinie.

Nader wszakże swobodne tłumaczenie Stephena obfitowało w sugestie, że swe doktoraty zawdzięczali oni w równej mierze hojności finansowej, jak osiągnięciom naukowym.

– To lord Amory. Chwalą go za jego działalność na niwie edukacji.

– Ile dał?

– Cóż, był ministrem skarbu... A oto lord Hailsham. Piastował osiem stanowisk w gabinecie rządowym, w tym sekretarza stanu do spraw oświaty i na koniec Lorda kanclerza. Obaj otrzymują tytuł doktora praw.

Harvey rozpoznał Dame Florę Robson, aktorkę, uhonorowaną za wybitną karierę artystyczną. Stephen wyjaśnił, że otrzymuje ona tytuł doktora literatury, podobnie jak Nadworny Poeta, sir John Betjeman.

Kanclerz wręczył im po kolei dyplom honorowy, uścisnął dłoń, a następnie wskazał miejsce w pierwszym rzędzie amfiteatru.

Ostatnim uhonorowanym był sir George Porter, dyrektor Instytutu Królewskiego i laureat Nagrody Nobla. Otrzymał tytuł doktora nauk przyrodniczych.

– Takie samo nazwisko, ale żaden krewny – objaśnił Stephen. – Jeszcze tylko krótka mowa Johna Waina, profesora poezji, ku czci dobroczyńców uniwersytetu.

Profesor wygłosił crewiańską mowę trwającą dwanaście minut i Stephen rozpromienił się, słuchając błyskotliwej oracji nareszcie w języku, który obaj rozumieli. Nie zwrócił już uwagi na kończące ceremonię recytacje studentów, zdobywców nagród.

Kanclerz uniwersytetu wstał i wyprowadził procesję z sali.

– Dokąd się udają? – spytał Harvey.

– Na lunch do Kolegium All Souls, gdzie dołączą do nich inni znakomici goście.

– Boże, wiele dałbym za to, żeby tam być!

– Załatwiłem to – powiedział Stephen.

Harvey oniemiał z zachwytu.

– Jakim sposobem, profesorze?

– To, co robi pan dla Harvardu, wywarło głębokie wrażenie na sekretarzu uniwersytetu. Ma zapewne nadzieję, iż wspomoże pan choćby skromnie Uniwersytet Oksfordzki, zwłaszcza po pańskiej wspaniałej wygranej w Ascot.

– To doskonały pomysł. Czemu o tym nie pomyślałem?

Stephen starał się przybrać obojętną minę, licząc, że pod koniec dnia jego gość o tym pomyśli. Miał nauczkę i był teraz ostrożny. W

rzeczywistości sekretarz nie słyszał nigdy o Harveyu Metcalfe, ponieważ jednak był to ostatni trymestr Stephena w Oksfordzie, jego przyjaciel, członek Kolegium All Souls, umieścił go na liście gości.

Przeszli do kolegium, tuż obok Teatru Sheldona. Stephen usiłował, zresztą bez większego powodzenia, objaśnić Harveyowi szczególny charakter Kolegium All Souls. Co prawda nawet dla wielu oksfordczyków sprawa jest cokolwiek zagadkowa.

– Pełna nazwa – zaczął Stephen – brzmi: College of All Souls of the Faithful Departed of Oxford: kolegium Wszystkich Dusz Zmarłych Wiernych Oksfordu i trwale upamiętnia zwycięzców pod Agincourt. Zamierzeniem było, że po wsze czasy będą odprawiane tu msze za spokój ich dusz. Współczesna funkcja kolegium jest jedyna w swoim rodzaju. All Souls jest społecznością ludzi po studiach albo wielce obiecujących, albo legitymujących się osiągnięciami, przeważnie naukowymi, z kraju i zagranicy, uzupełnioną nieliczną grupką znakomitości z innych dziedzin. Kolegium nie kształci studentów i ludzie z zewnątrz odnoszą wrażenie, że dowolnie dysponuje swoim imponującym potencjałem finansowym i intelektualnym.

Stephen i Harvey zajęli miejsca wśród setki lub więcej gości przy długim stole w dostojnej sali Biblioteki Codringtona. Stephen cały czas zabawiał Harveya i czuwał, aby zbytnio nie rzucał się w oczy. Pocieszał się, że ludzie nigdy nie pamiętają, kogo przy takich okazjach spotkali i o czym mówili, i niefrasobliwie przedstawiał Harveya wszystkim dookoła, jako znanego amerykańskiego filantropa. Na szczęście siedzieli w pewnym oddaleniu od wicekanclerza, sekretarza i strażnika szkatuły uniwersytetu.

Harvey był bardzo przejęty nowym dla siebie doświadczeniem i uszczęśliwiony przysłuchiwał się rozmowom siedzących wokół znakomitości – zadziwił Stephena, który bał się, że nigdy nie przestanie

gadać. Kiedy obiad się skończył i wszyscy wstali od stołu, Stephen zaczerpnął tchu i zagrał bardzo ryzykowną kartę. Z rozmysłem podprowadził Harveya do kanclerza.

– Panie kanclerzu – zwrócił się do Harolda Macmillana.

– Słucham, młody człowieku.

– Chciałbym przedstawić pana Harveya Metcalfe'a z Bostonu. Pan Metcalfe, jak kanclerz zapewne wie, jest wielkim dobroczyńcą Harvardu.

– Tak, oczywiście. Kapitalne, kapitalne. Cóż pana sprowadza do Anglii, panie Metcalfe?

Harvey nie mógł znaleźć słów.

– Ee, proszę pana, przepraszam, kanclerzu, przyjechałem obejrzeć mojego konia, Rosalie, w gonitwie króla Jerzego i królowej Elżbiety w Ascot.

Stephen stał za Harveyem i dawał znaki kanclerzowi, że koń Harveya zwyciężył. Harold Macmillan, jak zawsze ochoczy i pojmujący wszystko w lot, powiedział:

– Musi być pan niezwykle zadowolony z wyniku.

– O tak, poszczęściło mi się.

– Nie robi pan na mnie wrażenia człowieka, który liczy tylko na szczęśliwy traf.

Stephen postawił wszystko na jedną kartę.

– Właśnie próbuję namówić pana Metcalfe'a, żeby wspomógł pewne badania prowadzone w Oksfordzie.

– Co za doskonały pomysł. – Nikt nie umiał zręczniej od Harolda Macmillana, po siedmiu latach kierowania partią polityczną, posłużyć się pochlebstwem w takich sytuacjach. – Bądź w kontakcie, młody człowieku. Boston, mówił pan? Proszę przekazać ode mnie ukłony Kennedym.

Macmillan oddalił się posuwistym krokiem, majestatyczny w stroju akademickim. Harvey stał osłupiały.

– Co za wspaniały człowiek. Co za przeżycie. Czuję się częścią historii. Nie zasłużyłem na taki zaszczyt.

Zagranie się udało i Stephen postanowił zmykać, nim powinie mu się noga. Wiedział, że Harold Macmillan będzie się witał i rozmawiał z ponad tysiącem ludzi tego dnia i prawdopodobieństwo, by zapamiętał Harveya, jest minimalne. A gdyby nawet, nie miałoby to specjalnego znaczenia. Harvey był rzeczywiście dobroczyńcą Harvardu.

– Powinniśmy wyjść przed dostojnikami uniwersyteckimi, panie Metcalfe.

– Oczywiście, Rod. Pan tu jest szefem.

– Myślę, że tego wymaga grzeczność.

Wyszli na ulicę i Harvey spojrzał na swój wielki zegarek marki Jaeger le Coultre. Była druga trzydzieści.

– Świetnie – rzekł Stephen, który był już spóźniony trzy minuty na następne spotkanie. – Mamy ponad godzinę czasu do garden party. Może obejrzymy jakieś kolegium?

Przechodzili obok kolegium Brasenose i Stephen wyjaśnił, że nazwa ta wywodzi się od *brass nose* i że słynna, oryginalna kołatka świątynna z trzynastego wieku znajduje się w bibliotece. Nieco dalej Stephen poprowadził Harveya w prawo.

– Skręcił w prawo, Robin, i idzie w stronę kolegium Lincolnu – powiedział James ukryty w bramie kolegium Jezusa.

– Dobrze – odparł Robin i obrzucił badawczym spojrzeniem synów. Chłopcy, siedmio- i dziewięciolatek, stali z niepewnymi minami, czując się

obco w mundurkach Eton, i szykowali się do odegrania ról paziów, nie pojmując, o co ojcu chodzi.

– Jesteście gotowi?

– Tak, tatusiu – odpowiedzieli unisono.

Stephen wciąż szedł wolno z Harveyem w stronę kolegium Lincolnu. Gdy zbliżyli się na odległość kilku kroków, w głównym wejściu kolegium ukazał się Robin w uroczystym stroju wicekanclerza, łącznie z szarfami, kołnierzem i białą muszką. Wyglądał o piętnaście lat starzej i przypominał pana Habakkuka, na ile dało się to osiągnąć za pomocą charakteryzacji. Nie taki łysy, pomyślał Stephen.

– Czy mam pana przedstawić wicekanclerzowi? – spytał Stephen.

– O, to byłoby wspaniale.

– Dzień dobry, wicekanclerzu, chciałbym przedstawić pana Harveya Metcalfe'a.

Robin uniósł biret i skłonił się. Stephen odpowiedział tym samym. Zanim zdążył się odezwać, Robin zapytał:

– Czy przypadkiem nie protektor Uniwersytetu Harvarda?

Harvey oblał się rumieńcem i uśmiechnął do chłopczyków podtrzymujących tren szaty wicekanclerza. Robin ciągnął:

– Miło mi pana poznać, panie Metcalfe. Mam nadzieję, że podoba się panu w Oksfordzie? Proszę pamiętać, nie każdy ma za przewodnika laureata Nagrody Nobla.

– Jestem zachwycony, panie wicekanclerzu, i cieszyłbym się, gdybym mógł w jakiś sposób pomóc uniwersytetowi.

– O, to doskonała wiadomość.

– Słuchajcie, dżentelmeni. Zatrzymałem się w hotelu Randolph. Zrobilibyście mi wielką przyjemność, gdybyście zechcieli przyjść do mnie

po południu na herbatę.

Robin i Stephen na moment zaniemówili. Znów to zrobił: zaskoczył ich. Przecież musiał sobie zdawać sprawę, że w takim dniu wicekanclerz nie miał wolnej chwili na prywatne herbatki.

Robin otrząsnął się pierwszy.

– Obawiam się, że to niemożliwe. W takim dniu jak dziś ma się tyle obowiązków, pan rozumie. Może zechciałby pan przyjść do mnie do Gmachu Clarendona? Moglibyśmy wówczas porozmawiać na osobności,

Stephen natychmiast przejął pałeczkę.

– To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, wicekanclerzu. Czy wpół do piątej odpowiada panu?

– Tak, tak, doskonale, profesorze.

Robin starał się nie zdradzić wyrazem twarzy, że najchętniej uciekłby gdzie pieprz rośnie. Stali tak zaledwie pięć minut, ale wydawało mu się, że to wieczność. Nie miał nic przeciwko roli dziennikarza czy amerykańskiego chirurga, ale tej wprost nienawidził. W każdej chwili mógł nadejść ktoś, kto by go zdemaskował. Chwała Bogu większość studentów rozjechała się przed tygodniem do domów. Poczuł się jeszcze gorzej, gdy jakiś turysta zaczął go fotografować.

W dodatku Harvey zniweczył cały ich plan. Stephenowi przyszedł na myśl Jean-Pierre i James, pierwsze skrzypce w ich zespole dramatycznym, wałęsający się bezużytecznie w przebraniu na tyłach namiotu z bufetem na terenie kolegium Trójcy Świętej.

– Wicekanclerzu, może należałoby również zaprosić sekretarza i strażnika szkatuły uniwersytetu?

– Pierwszorzędny pomysł, profesorze. Poproszę ich, żeby przyszli. Nie co dzień odwiedza nas tak znamienity filantrop. Niestety, muszę się już z

panami rozstać i iść na garden party. To dla mnie zaszczyt pana poznać, panie Metcalfe. Oczekuję zatem o wpół do piątej.

Uścisnęli sobie mocno ręce i Stephen powiódł Harveya w stronę kolegium Exeter, a Robin rzucił się pędem do pokoiku w kolegium Lincolnu, który miał do dyspozycji. Opadł ciężko na krzesło.

– Dobrze się czujesz, tatusiu? – zapytał starszy syn, William.

– Tak, w porządku.

– Czy dostaniemy lody i coca-colę, które nam obiecałeś, jeśli nie piśniemy słowa?

– Tak, oczywiście – odparł Robin.

Zdjął z siebie wszystkie rekwizyty – strój, kaptur, muszkę i wstęgi – i umieścił na powrót w walizce. Wyszedł na ulicę akurat w chwili, gdy prawdziwy wicekanclerz, pan Habakkuk, opuszczał kolegium Jezusa po drugiej stronie ulicy, najwidoczniej udając się na garden party. Robin spojrzał na zegarek. Gdyby się spóźnili pięć minut, sprawa zakończyłaby się katastrofą.

Tymczasem Stephen zakreślił koło i zmierzał teraz do sklepu Shepherda i Woodwarda, zaopatrującego uniwersytet w stroje akademickie. Cały czas się zastanawiał, jak przekazać wiadomość Jamesowi. Stanęli przed wystawą.

– Jakie wspaniałe szaty.

– To jest strój doktora literatury. Chciałby pan przymierzyć i zobaczyć, jak pan w nim wygląda?

– Jeszcze jak! – powiedział Harvey. – Ale czy pozwolą?

– Jestem pewny, że nie będą mieli nic przeciwko temu.

Weszli do sklepu, Stephen w swoim stroju uniwersyteckim doktora filozofii.

– Mój znakomity gość chce zobaczyć togę doktora literatury.

– Ależ proszę – powiedział młody praktykant, który nie zamierzał sprzeciwiać się dostojnikowi uniwersyteckiemu.

Znikł na zapleczu i powrócił z przepyszną czerwoną togą z popielatymi wyłogami i czarnym, miękkim, aksamitnym biretem. Stephen z kamienną twarzą blefował dalej.

– Niechże pan to przymierzy, panie Metcalfe. Zobaczymy, jak by pan wyglądał w stroju akademickim.

Praktykant był trochę zakłopotany. Zapragnął, aby pan Venables wrócił już z lunchu.

– Zechce pan przejść do przymierzalni.

Harvey znikł. Stephen wymknął się na ulicę.

– James, słyszysz mnie? Do diabła, na litość boską, odezwij się, James.

– Spokojnie, stary. Cholernie się morduję, wciskając się w tę komiczną szatę, a poza tym mamy jeszcze siedemnaście minut do naszego spotkania.

– Odwołane.

– Odwołane?

– Tak. I zawiadom Jean-Pierre'a. Zgłoście się obaj do Robina i spotkajcie się jak najszybciej. Wprowadzi was w nowy plan.

– Nowy plan? Stephen, czy wszystko gra?

– Tak, lepiej, niż mogłem się spodziewać.

Stephen wyłączył się i wrócił szybko do sklepu.

Harvey objawił się jako doktor literatury; czegoś równie nieprawdopodobnego Stephen nie widział od wielu lat.

– Wygląda pan wspaniale.

– Ile to kosztuje?

– Chyba ze sto funtów.

– Nie, nie. Ile musiałbym dać...?

– Nie mam pojęcia. Musi pan to przedyskutować z wicekanclerzem po garden party.

Harvey długo przyglądał się swemu odbiciu w lustrze, a następnie wrócił do przymierzalni, podczas gdy Stephen podziękował praktykantowi i poprosił o zapakowanie biretu i togi i przesłanie na portiernię do Gmachu Clarendona na nazwisko sir Johna Betjemana. Zapłacił żywą gotówką. Zdumienie praktykanta dosięgło szczytu.

– Tak, proszę pana.

Nie wiedział, co ma robić, modlił się tylko o powrót pana Venablesa. Jego modły zostały wysłuchane jakieś dziesięć minut później, ale wtedy Stephen z Harveyem byli już daleko, w drodze na garden party.

– Panie Venables, przed chwilą poproszono mnie o przesłanie pełnego stroju doktora literatury Sir Johnowi Betjemanowi do Gmachu Clarendona.

– Dziwne. Wystroiliśmy go przecież na dzisiejszą uroczystość przed paroma tygodniami. Po co mu potrzebny drugi komplet?

– Zapłacił gotówką.

– Dobrze, wyślij strój, ale dopilnuj, żeby przesyłka była na jego nazwisko.

Kiedy Stephen z Harveyem przybyli tuż po wpół do czwartej do kolegium Trójcy Świętej, na eleganckich zielonych trawnikach, z których usunięto bramki do krokieta, tłoczyło się już ponad tysiąc osób. Akademicy mieli na sobie dziwaczną mieszaninę strojów – na codzienne garnitury i jedwabne suknie narzucili togi, kaptury, na głowy włożyli birety. Herbata, truskawki podawane w koszyczkach i kanapki z ogórkiem znikały błyskawicznie.

– Ale klawa zabawa – powiedział Harvey, bezwiednie przedrzeźniając Franka Sinatrę. – Umiecie robić wszystko z fasonem, profesorze.

– Tak, garden party jest zawsze bardzo udane. To główne wydarzenie towarzyskie roku akademickiego, który, jak mówiłem, dobiega już końca. Połowa tu obecnych starszych pracowników uniwersyteckich oderwała się na jedno popołudnie od sprawdzania prac egzaminacyjnych. Egzaminy studentów ostatnich lat dopiero co się skończyły.

Stephen obserwował bacznie wicekanclerza, sekretarza i strażnika szkatuły uniwersytetu i starał się trzymać Harveya od nich jak najdalej, przedstawiając go za to komu tylko się dało ze starszych profesorów, licząc, że spotkanie to nie zapadnie im w pamięć. Ponad trzy kwadranse wędrowali od jednego do drugiego, a Stephen czuł się przy tym, jak adiutant niekompetentnego dygnitarza, którego nie można dopuścić do słowa z obawy wywołania incydentu dyplomatycznego. Mimo rezerwy Stephena Harvey najwyraźniej był w siódmym niebie.

– Robin, Robin, słyszysz mnie?

– Tak, James.

– Gdzie jesteś?

– W restauracji Eastgate. Przyjdź tu i weź z sobą Jean-Pierre'a.

– Dobrze. Będziemy za pięć minut. Nie, za dziesięć. Lepiej, żebym, w tym przebraniu poruszał się powoli.

Robin zapłacił rachunek. Chłopcy dostali obiecaną nagrodę, zaprowadził ich więc do czekającego samochodu i polecił szoferowi, specjalnie wynajętemu na tę okazję, aby zawiózł ich do Newbury. Odegrali swoje role i mogliby teraz tylko przeszkadzać.

– Nie pojedziesz z nami, tatusiu? – dopytywał się Jamie.

– Nie, wrócę później. Powiedzcie mamie, że będę w domu około siódmej.

Robin wrócił do restauracji i ujrzał Jean-Pierre'a i Jamesa kuśtykających w jego stronę.

– Skąd ta zmiana planu? – zapytał Jean-Pierre. – Ponad godzinę ubierałem się i szykowałem.

– Nie martw się. Wszystko gra. Po prostu poszczęściło się nam. Rozmawiałem z Harveyem na ulicy i ta nadęta kreatura zaprosiła mnie na herbatę do hotelu Randolph. Powiedziałem, że to niemożliwe, ale zaproponowałem, żeby odwiedził mnie w Gmachu Clarendona. Stephen zasugerował, że również was obu należy zaprosić.

– Sprytnie – powiedział James. – Nie musimy się bawić w ciuciubabkę na garden party.

– Żeby tylko nie za sprytnie – zaniepokoił się Jean-Pierre.

– Przynajmniej odstawimy całą szopkę za zamkniętymi drzwiami, co może się okazać łatwiejsze. – Robinowi nigdy nie podobał się pomysł afiszowania się z tym draniem po ulicach.

– Z Harveyem Metcalfe'em nic nie może pójść łatwo.

– Przyjdę do Gmachu Clarendona przed czwartą piętnaście – ciągnął Robin. – Jean-Pierre, staw się dwadzieścia po czwartej, James pięć minut później. Ale trzymajcie się ściśle planu, tak jakbyśmy spotkali się wszyscy na garden party i stamtąd poszli razem do Gmachu Clarendona.

Stephen napomknął Harveyowi, że należy już iść, gdyż byłoby niegrzecznie spóźnić się na spotkanie z wicekanclerzem.

– Jasne. – Harvey zerknął na zegarek. – Jezus, już wpół do piątej.

Opuścili przyjęcie i pospiesznie udali się do Gmachu Clarendona na końcu Broad Street. Po drodze Stephen tłumaczył, że jest to jakby oksfordzki Biały Dom, gdzie wszyscy przedstawiciele hierarchii uniwersyteckiej mają swoje biura. Gmach ten jest imponującą, okazałą

osiemnastowieczną budowlą, którą niewtajemniczeni mogą wziąć za kolegium. Po kilku stopniach wstępuje się do rozległego westybulu i oto człowiek znajduje się w dostojnym starym gmachu, który zamieniono w siedzibę urzędów, starając się dokonać jak najmniej zmian.

Powitał ich portier.

– Wicekanclerz nas oczekuje – rzekł Stephen.

Portier trochę się zdziwił, gdy przed piętnastoma minutami zjawił się Robin i oznajmił, że pan Habakkuk prosił go, by zaczekał w jego pokoju; co prawda Robin miał na sobie pełny strój akademicki, lecz portier, który spodziewał się powrotu wicekanclerza lub jego personelu z garden party najwcześniej za godzinę, potraktował go podejrzliwie. Po przybyciu Stephena nabrał większego zaufania. Dobrze pamiętał funta otrzymanego za oprowadzenie po gmachu.

Portier zaprowadził Stephena z Harveyem do gabinetu wicekanclerza i zostawił ich samych, wsunąwszy do kieszeni następnego funta.

Pokój wicekanclerza nie był urządzony z przepychem, a beżowy dywan i pastelowe ściany nadałyby mu pozór gabinetu urzędnika średniej rangi, gdyby nie wiszący nad marmurowym kominkiem wspaniały obraz z widokiem placu wiejskiego we Francji pędzla Wilsona Steera.

Robin wyglądał przez wielkie okno wychodzące na Bibliotekę Bodleyańską.

– Dzień dobry, wicekanclerzu.

Robin odwrócił się.

– O, witam, profesorze.

– Przypomina pan sobie pana Metcalfe'a?

– Tak, niewątpliwie. Jak miło znów pana zobaczyć. – Robin wzdrygnął się. Jedyne, czego pragnął, to znaleźć się w domu. Rozmawiali chwilę. Zapukano do drzwi i ukazał się Jean-Pierre.

– Witam, sekretarzu.

– Witam, wicekanclerzu, profesorze Porter.

– Chciałbym przedstawić Harveya Metcalfe'a.

– Dzień dobry panu.

– Sekretarzu, czy zechciałby pan...

– Gdzie ten Metcalfe?

Wszyscy trzej znieruchomieli, z osłupieniem patrząc na dziewięćdziesięcioletniego starca, który wszedł do pokoju o laskach. Pokuśtykał do Robina, mrugnął i skłonił się.

– Dzień dobry, wicekanclerzu – powiedział donośnym głosem chimeryka.

– Dzień dobry, Horsley.

James podszedł do Harveya i szturchnął go laską, jakby chciał się upewnić, czy jest prawdziwy.

– Spadłeś nam z nieba, młody człowieku.

Od trzydziestu lat nikt nie nazwał Harveya młodym człowiekiem. Tamci trzej patrzyli na Jamesa z zachwytem. Nie wiedzieli, że na ostatnim roku studiów James odniósł wielki sukces, grając główną rolę w Skąpcu. Rola strażnika szkatuły była po prostu powtórzeniem tamtej, którą nawet sam Molier byłby zachwycony. James ciągnął:

– Był pan niezwykle hojny dla Harvardu.

– To bardzo uprzejmie, że pan o tym wspomina – powiedział z szacunkiem Harvey.

– Podobasz mi się, młody człowieku. Mów mi Horsley.

– Tak, Horsley, proszę pana – plątał się Harvey.

Tamci trzej robili wszystko, żeby zachować powagę.

– A więc, wicekanclerzu – mówił James. – Nie ciągnęliście mnie chyba przez pół miasta bez powodu. O co chodzi? Gdzie moje sherry?

Stephen zaczął się już nawet zastanawiać, czy James nie szarżuje, ale spojrzawszy na Harveya, przekonał się, że jest absolutnie urzeczony. Jak człowiek tak wycwaniony w jednej dziedzinie może być tak naiwny pod innym względem, pomyślał. Zaczynał rozumieć, jakim sposobem Most Westminsterski został sprzedany co najmniej czterem Amerykanom w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

– Hm, chcieliśmy zainteresować pana Metcalfe'a działalnością uniwersytetu i sądziliśmy, że strażnik szkatuły uniwersyteckiej powinien być przy tym obecny.

– Co to za szkatuła?

– Takie uniwersyteckie ministerstwo skarbu – odpowiedział James bardzo donośnym, starczym i przekonującym głosem. – Poczytaj sobie – wetknął Harveyowi kalendarz Uniwersytetu Oksfordzkiego, który Harvey mógłby kupić w księgarni Blackwella za dwa funty, jak to uczynił James.

Stephen wahał się, co teraz zrobić, ale szczęśliwie Harvey zabrał głos:

– Panowie, chciałbym wyrazić, jak wielki to dla mnie zaszczyt, że jestem tu dzisiaj. Ten rok przyniósł mi dużo szczęścia. Byłem w Wimbledonie, gdy zwyciężył Amerykanin, zdobyłem wreszcie po latach obraz van Gogha. Wspaniały, cudowny chirurg uratował mi życie w Monte Carlo, a teraz jestem w Oksfordzie, gdzie patrzy na mnie historia. Panowie, byłbym szczęśliwy, gdybym związał się w jakiś sposób z waszym sławnym uniwersytetem.

James znów pokierował rozmową.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – krzyknął, poprawiając aparat słuchowy.

– Otóż, proszę pana, spełniło się marzenie mego życia, gdy królowa wręczyła mi trofeum za zwycięstwo w wyścigu o nagrodę króla Jerzego i Elżbiety, ale pieniądze, hm, chciałbym ofiarować waszemu uniwersytetowi.

– Ponad osiemdziesiąt tysięcy funtów! – wykrztusił Stephen.

– Dokładnie osiemdziesiąt jeden tysięcy dwieście czterdzieści. Ale lepiej brzmi dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Stephen, Robin i Jean-Pierre zaniemówili. Widać tylko Jamesowi było pisane zostać bohaterem dnia. Miał wreszcie okazję, by dowieść, dlaczego jego pradziad należał do najświetniejszych generałów Wellingtona.

– Przyjmujemy. Ale dar musi być anonimowy – rzekł James. – Chyba mogę w tej sytuacji śmiało powiedzieć, że wicekanclerz powiadomi pana Harolda Macmillana i Radę Tygodniową, ale będziemy chcieli uniknąć rozgłosu. Naturalnie, wicekanclerzu, poproszę cię o rozważenie tytułu honorowego.

James tak dalece panował nad sytuacją, że Robin mógł tylko dodać:

– Jaki zalecasz tryb postępowania, Horsley?

– Czek płatny gotówką, żeby nikt nie doszedł, kto jest ofiarodawcą. Nie możemy dopuścić, żeby ta zgraja z Cambridge ścigała pana Metcalfe'a do końca życia. Tak samo, jak załatwiliście z sir Davidem: cicho sza.

– Zgadzam się – oświadczył Jean-Pierre, który nie miał bladego pojęcia, o czym mówi James. Podobnie jak Harvey.

James skinął na Stephena, który opuścił gabinet wicekanclerza i skierował się na portiernię, by się dowiedzieć, czy paczka dla sir Johna Betjemana została doręczona.

– Tak, proszę pana. Nie wiem, dlaczego ją tu przyniesiono. Nie spodziewam się sir Johna.

– Niech się pan nie przejmuje – rzekł Stephen. – Prosił mnie, żebym ją odebrał.

Kiedy Stephen wrócił, James właśnie dowodził Harveyowi, jak doniosłą rzeczą jest potraktowanie daru jako sekretnej więzi między nim i uniwersytetem.

Stephen rozwinął paczkę i wyjął uroczystą szatę doktora literatury. Harvey zaczerwienił się z zakłopotania i dumy, gdy Robin zarzucił mu ją na ramiona, intonując: *De mortuis nil nisi bene. Dulce et decorum est pro patria mori. Per ardua ad astra. Nil desperandum.*

– Moje gratulacje! – ryknął James. – Szkoda, że nie można było włączyć tego do dzisiejszych uroczystości, wszakże na uczczenie tak wspaniałomyślnego gestu nie moglibyśmy czekać cały rok.

Świetnie podana kwestia, pomyślał Stephen. Sam Laurence Olivier nie potrafiłby lepiej.

– Ja jestem zadowolony – rzekł Harvey, usiadł i wypisał czek płatny gotówką. – Macie moje słowo, że nigdy nie wspomnę o tym nikomu.

Żaden z nich mu nie wierzył.

Stali w milczeniu, gdy Harvey podniósł się i wręczył czek Jamesowi.

– Nie, proszę pana. – James przeszył go wzrokiem.

Tamci oniemieli.

– Wicekanclerzowi.

– Oczywiście – powiedział Harvey. – Proszę mi wybaczyć.

– Dziękuję. – Robin ujął czek drżącą ręką. – To wielce łaskawy dar i może pan być pewien, że zostanie wykorzystany na szlachetny cel.

Ktoś mocno zapukał do drzwi. Obejrzeli się przerażeni, z wyjątkiem Jamesa, który teraz był gotów na wszystko. W drzwiach stanął szofer Harveya. James nienawidził jego pretensjonalnego białego uniformu i czapki.

– A, to gorliwy pan Mellor – powiedział Harvey. – Panowie, mógłbym się założyć, że śledził dziś każdy nasz ruch.

Zmroziło ich, ale szofer najwyraźniej nie wysnuł złowieszczych wniosków z tych obserwacji.

– Samochód czeka, proszę pana. Chciał pan zajechać do Claridge'a przed siódmą, żeby zdążyć na uroczystą kolację.

– Młodzieńcze! – ryknął James.

– Tak, panie? – spytał pokornie szofer.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że stoisz przed wicekanclerzem tego uniwersytetu?

– Nie, proszę pana. Bardzo przepraszam, proszę pana.

– Natychmiast zdejmij czapkę!

– Tak, proszę pana.

Szofer zerwał czapkę z głowy i wycofał się z pokoju, klnąc pod nosem.

– Panie wicekanclerzu. Z żalem rozstaję się z panami, ale jestem umówiony...

– Naturalnie, naturalnie, rozumiemy, że jest pan człowiekiem zajętym. Pragnę jeszcze raz oficjalnie panu podziękować za niezwykle szczodry dar. Zostanie on przeznaczony dla ludzi, którzy zrobią z niego właściwy użytek.

– Życzymy panu wszyscy szczęśliwego powrotu do Ameryki i będziemy wspominać pana tak wdzięcznie, jak pan na to zasłużył – dodał Jean-Pierre.

Harvey skierował się ku drzwiom.

– Ja pożegnam się z panem teraz! – wrzasnął James. – Zejście po tych przeklętych schodach zajmie mi dwadzieścia minut. Jest pan wspaniałym człowiekiem i bardzo hojnym.

– To drobiazg – powiedział Harvey wylewnie.

No pewnie, pomyślał James, dla ciebie drobiazg, a dla nas wszystko.

Stephen, Robin i Jean-Pierre odprowadzili Harveya do czekającego przed gmachem samochodu.

– Profesorze – rzekł Harvey. – Nie zrozumiałem wszystkiego, co mówił ten stary pan. – Z zakłopotaniem poprawił ciężką togę, zsuwającą mu się z ramienia.

– Cóż, jest prawie głuchy i bardzo stary, ale ma młode serce. Chciał panu powiedzieć, że dar pański musi pozostać anonimowy, chociaż oczywiście hierarchia uniwersytecka zostanie poinformowana o wszystkim. Gdybyśmy ogłosili rzecz publicznie, cała zgraja niepożądanych indywiduów, co to nigdy niczego nie uczyniła dla nauki, dreptałaby nam po piętach w dniu Encaenii, chcąc kupić tytuł honorowy.

– Oczywiście, oczywiście. Rozumiem. Mnie to nie przeszkadza – powiedział Harvey. – Chcę panu podziękować, Rod, za wspaniały dzień i życzyć powodzenia. Jaka szkoda, że nasz przyjaciel Wiley Barker nie mógł być z nami.

Robin się zarumienił.

Harvey wgramolił się do rolls-royce'a i pomachał entuzjastycznie na pożegnanie. Wszyscy trzej stali i patrzyli, jak samochód rusza lekko w podróż powrotną do Londynu.

Trzy przeszkody wzięte, została jeszcze jedna.

– James był fantastyczny – odezwał się Jean-Pierre. – Gdy pojawił się w drzwiach, nie wiedziałem, kto to może być.

– Masz rację – powiedział Robin. – Chodźmy po niego. Jest naprawdę bohaterem dnia.

Pobiegli po schodach, zapominając, że wyglądają na starszych panów, i wpadli do pokoju wicekanclerza. Chcieli pogratulować Jamesowi, lecz on leżał zemdlony na podłodze.

Godzinę później w Kolegium Magdaleny, dzięki Robinowi i dwóm porcjom whisky, James przyszedł do siebie.

– Byłeś niezrównany. Wkroczyłeś w chwili, gdy zaczynałem tracić głowę – powiedział Stephen.

– Gdyby to sfilmować, dostałbyś nagrodę Akademii – włączył się Robin. – Po obejrzeniu twojej gry ojciec musiałby ci pozwolić iść na scenę.

James sycił się chwałą pierwszy raz od trzech miesięcy. Chciałby jak najszybciej opowiedzieć o tym Anne. Anne! Spojrzał szybko na zegarek.

– Wpół do siódmej! Do licha, muszę natychmiast jechać. Mam się spotkać z Anne o ósmej. Do zobaczenia w poniedziałek na kolacji u Stephena. Może będę miał gotowy plan.

James wypadł z pokoju.

– James!

W drzwiach pojawiła się jego twarz. Wyskandowali wszyscy chórem:

– Byłeś fantastyczny.

Uśmiechnął się szeroko, zbiegł po schodach, wskoczył do samochodu, który, miał wrażenie, pozwolą mu teraz zatrzymać, i z największą szybkością ruszył do Londynu.

Droga z Oksfordu na King's Road zajęła mu równo pięćdziesiąt dziewięć minut. Nową autostradą jechało się zupełnie inaczej niż za jego studenckich lat. Podróż przez High Wycombe lub Henley trwała wtedy od półtorej do dwóch godzin.

Spieszył się bardzo, gdyż spotkanie z Anne było niesłychanie ważne i pod żadnym pozorem nie mógł się spóźnić; dziś wieczór miał poznać jej ojca. James wiedział tylko, że jest on dyplomatą wysokiej rangi w

Waszyngtonie. Dyplomaci zawsze przestrzegają punktualności. Stanowczo musi zrobić jak najlepsze wrażenie na ojcu Anne, zwłaszcza po jej udanej wizycie w Tathwell. Jego staruszek od razu do niej przylgnął i nie odstępował jej na krok. Ustalili już nawet datę ślubu, należało teraz uzyskać zgodę rodziców Anne.

James zaaplikował sobie krótki, zimny prysznic i usunął charakteryzację. Odmłodniał o sześćdziesiąt lat. Miał spotkać się z Anne w Les Ambassadeurs na Mayfair i wkładając smoking, zastanawiał się, czy dojedzie w dwanaście minut z King's Road do Hyde Park Corner; musi powtórzyć swój rajd z Monte Carlo. Wskoczył do samochodu, rozgrzał silnik na szybkich obrotach i pomknął do Sloane Square, przez Eaton Square, koło Szpitala Świętego Jerzego, Hyde Park Corner i wpadł w Park Lane. Był na miejscu za dwie ósma.

– Dobry wieczór, milordzie – powitał go pan Mills, właściciel klubu.

– Dobry wieczór. Jestem umówiony na kolacji z panną Summerton. Zastawiłem samochodem wyjazd. Mógłby pan coś z tym zrobić? – spytał James, odwracając się zarazem do portiera i wciskając w rękę obleczoną białą rękawiczką banknot funtowy i kluczyki.

– Z przyjemnością, milordzie. Proszę zaprowadzić lorda Brigsleya do prywatnego apartamentu.

Starszy portier poprowadził Jamesa na górę schodami pokrytymi czerwonym dywanem do małego saloniku w stylu regencji, gdzie nakryto dla trzech osób. Usłyszał głos Anne z sąsiedniego pokoju. Ukazała się, piękniejsza niż zwykle, w powiewnej sukience koloru mięty.

– Witaj, kochanie. Chodź, chcę cię przedstawić tatusiowi. James poszedł za Anne do drugiego pokoju.

– Tatusiu, to James. James, to mój ojciec.

James zrobił się czerwony i biały na twarzy, a w duchu pozieleniał.

– Jak się masz, chłopcze. Tyle o tobie słyszałem od Rosalie, że nie mogłem się doczekać, kiedy cię zobaczę.

XVII

– Mów mi Harvey.

James wrósł w ziemię, oniemiały. Anne milczała.

– Whisky, James?

Z trudem wydobył głos.

– Dziękuję.

– Chcę wiedzieć o tobie wszystko, młody człowieku – mówił Harvey. – Co kombinujesz i dlaczego w ostatnich tygodniach prawie nie widywałem mojej córki, choć myślę, że na to pytanie znam odpowiedź.

James wychylił whisky jednym haustem. Anne szybko napełniła mu szklaneczkę.

– Widujesz córkę tak rzadko, ponieważ ciągle wyjeżdża na sesje reklamowe i prawie nie bywa w Londynie.

– Wiem, Rosalie...

– Dla Jamesa jestem Anne, tatusiu.

– Nadaliśmy ci imię Rosalie. Podobało się twojej matce i mnie, tobie też powinno się podobać.

– Tatusiu, kto słyszał o jednej z najlepszych modelek europejskich nazwiskiem Rosalie Metcalfe? Wszyscy przyjaciele znają mnie jako Anne Summerton.

– A co ty na to, James?

– Zaczyna mi się wydawać, że w ogóle jej nie znam – odparł James, który trochę już ochłonął. Było oczywiste, że Harvey niczego nie podejrzewa. Nie widział Jamesa z bliska w galerii, nie widział go ani razu

w Monte Carlo i Ascot, a dziś w Oksfordzie James wyglądał na dziewięćdziesięcioletniego staruszka. Zaczynał wierzyć, że mu się upiekło. Ale jak, do diabła, powie tamtym trzem w poniedziałek, że ostatni plan zespołu, jego plan, będzie miał na celu przechytrzenie nie jakiegoś tam Harveya Metcalfe'a, lecz jego przyszłego teścia?

– Siadamy do kolacji?

Nie czekając na odpowiedź, Harvey pomaszerował do sąsiedniego pokoju.

– Rosalie Metcalfe – syknął z wściekłością James. – Powinnaś się wytłumaczyć.

Anne pocałowała go leciutko w policzek.

– Jesteś pierwszym człowiekiem, który dał mi szansę wygrania z moim ojcem. Czy mi nie przebaczysz?... Tak cię kocham...

– Chodźcie tutaj. Można by pomyśleć, żeście się nigdy nie widzieli.

Anne i James usiedli przy stole. Jamesa rozśmieszył widok przystawki z krewetek i przypomniał sobie, jak Stephen żałował, że podał ją Harveyowi na kolacji w Oksfordzie.

– James, o ile wiem, ustaliliście już z Anne datę ślubu.

– Tak, jeśli pan się zgodzi.

– Oczywiście, że tak. Miałem wprawdzie nadzieję, że skoro zdobyłem nagrodę króla Jerzego i królowej Elżbiety, Anne poślubi księcia Karola, ale angielski earl też zadowoli moją jedynaczkę.

Roześmiali się oboje, chociaż żart nie wydał się im ani trochę zabawny.

– Szkoda, że nie byłaś ze mną w tym roku w Wimbledonie, Rosalie. Wyobraź sobie mnie, w dniu rozgrywek kobiet, w towarzystwie starego nudziarza, szwajcarskiego bankiera.

Anne spojrzała na Jamesa i uśmiechnęła się.

Kelnerzy sprzątnęli ze stołu i wtoczyli wózek z uformowanym w koronę mostkiem jagnięcym w nieskazitelnych papilotach, co wzbudziło wielkie zainteresowanie Harveya.

– Ale – nie przestawał trajkotać Harvey – to ładnie z twojej strony, kochanie, że zatelefonowałaś do mnie do Monte Carlo. Naprawdę już myślałem, że umieram. Nie uwierzyłbyś, James. Usunęli mi kamień żółciowy wielkości piłeczki baseballowej. Dzięki Bogu operował mnie jeden z najwspanialszych chirurgów świata, Wiley Barker, lekarz prezydenta. Uratował mi życie.

Harvey błyskawicznie rozpiął koszulę i pokazał sporą bliznę przecinającą potężny brzuch.

– Co o tym myślisz, James?

– Niesłychane.

– Tatusiu, daj spokój. Jesteśmy przy kolacji.

– Nie przeszkadzaj, złotko. Nie pierwszy raz James widzi męski brzuch.

Szczególnie ten brzuch, pomyślał James.

Harvey wepchnął koszulę do spodni i mówił dalej:

– W każdym razie to miło, że zadzwoniłaś. – Pochylił się i poklepał ją po ręce. – Ja też byłem grzeczny. Posłuchałem twojej rady i zatrzymałem jeszcze na tydzień tego miłego doktora Barkera na wypadek komplikacji. Wiesz, jak oni zdzierają...

James upuścił kieliszek. Rubinowe bordeaux wylało się na obrus.

– Bardzo przepraszam.

– Dobrze się czujesz James?

– Tak, proszę pana.

James rzucił Anne mordercze spojrzenie. Harvey był nieporuszony.

– Proszę przynieść świeży obrus i wino dla lorda Brigsleya.

Kelner otworzył następną butelkę bordeaux, a James postanowił, że teraz on się trochę zabawi. Anne nabijała się z niego przez trzy miesiące. Trochę się z nią podroczy, jeśli tylko Harvey da mu okazję. Ten zaś nie przestawał gadać.

– James, jesteś amatorem wyścigów?

– Tak, proszę pana, i byłem zachwycony, gdy pan wygrał nagrodę króla Jerzego VI i królowej Elżbiety. Miałem więcej powodów do radości, niż pan przypuszcza.

Gdy kelnerzy sprzątali ze stołu, Anne skorzystała z zamieszania i szepnęła:

– Nie bądź za sprytny, kochanie, on nie jest taki głupi, na jakiego wygląda.

– A więc, co o niej sądzisz?

– Słucham?

– Co sądzisz o Rosalie?

– Wspaniała. Postawiłem na nią po pięć funtów z góry i z dołu.

– Tak, to było wielkie przeżycie i żałowałem, że nie ma cię ze mną, Rosalie. Zostałabyś przedstawiona królowej i poznałabyś świetnego faceta z Uniwersytetu Oksfordzkiego, profesora Portera.

– Profesora Portera? – zagadnął James, schylając głowę nad kieliszkiem.

– Tak, profesora Portera, James. Może go znasz?

– Nie, proszę pana. Chyba nie, ale czy to nie ten laureat Nagrody Nobla?

– Tak, to on. Dzięki niemu przeżyłem cudowne chwile w Oksfordzie. Tak mi się tam spodobało, że na koniec ofiarowałem uniwersytetowi

dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów na badania naukowe, profesor powinien więc być zadowolony.

– Tatusiu, wiesz przecież, że nikomu masz o tym nie mówić.

– Jasne, ale James należy już do rodziny.

– Dlaczego nie może pan o tym nikomu mówić?

– To długa historia, James, ale spotkał mnie wielki zaszczyt. Powiem ci w wielkim sekrecie, że profesor Porter zaprosił mnie na święto Encaenii. Byłem w Kolegium All Souls na obiedzie z Harrym Macmillanem, waszym drogim byłym premierem, a potem na garden party, następnie spotkałem się z wicekanclerzem w jego apartamentach w obecności sekretarza i strażnika szkatuły uniwersytetu. Byłeś w Oksfordzie, James?

– Tak, w Domu Bożym.

– Gdzie?

– W Christ Church.

– Nigdy nie zrozumiem Oksfordu.

– Nie, proszę pana.

– Musisz mi mówić po imieniu. No więc, jak mówiłem, spotkaliśmy się w Gmachu Clarendona. Oni się jąkali, dukali, nie wiedzieli, co mówić, tylko jeden zabawny staruszek, co miał dziewięćdziesiątkę jak obszył, zachowywał się całkiem inaczej. Rzecz w tym, że ci faceci nie mają podejścia do milionerów. Wybawiłem ich z kłopotu i wziąłem sprawę w swoje ręce. Ględziliby bez końca o swoim ukochanym Oksfordzie, no więc zamknąłem im gęby i wypisałem czek na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Byłeś bardzo hojny, Harvey.

– Dałbym i pół miliona, gdyby ten stary mnie poprosił. James, okropnie zbladłeś, czy nic ci nie jest?

– Przepraszam. Nie, czuję się doskonale, tylko twoja opowieść o Oksfordzie tak mnie wzruszyła.

– Tatusiu, umówiłeś się z wicekanclerzem, że będzie to wasz wspólny sekret, i musisz obiecać, że więcej nigdy nikomu o tym nie wspomnisz – wtrąciła Anne.

– Myślę, że pierwszy raz założę togę na uroczystość otwarcia biblioteki imienia Metcalfe'a na Uniwersytecie Harvarda.

– O, nie – trochę za szybko wpadł mu w słowo James – to nie wypada. Strój akademicki można nosić tylko podczas uroczystych okazji w Oksfordzie.

– Masz ci los. Trudno, wiem, że wy Anglicy jesteście pedantami na punkcie etykiety. O, właśnie, porozmawiajmy teraz o waszym ślubie. Myślę, że chcecie mieszkać w Anglii?

– Tak, tatusiu, ale będziemy cię odwiedzać co roku, a gdy będziesz przyjeżdżał na wakacje do Europy, zatrzymasz się u nas.

Kelnerzy znowu sprzątnęli ze stołu i wnieśli ulubione truskawki Harveya. Anne usiłowała sprowadzić konwersację na sprawy rodzinne i powstrzymać potok wymowy ojca powracającego uparcie do przeżyć z ostatnich dwóch miesięcy, James zaś robił wszystko, żeby nie porzucał tego tematu.

– Kawa czy likier, proszę pana?

– Nie, dziękuję – odparł Harvey. – Tylko rachunek. Myślę, Rosalie, że napijemy się w moim apartamencie u Claridge'a. Chcę wam obojgu coś pokazać. To mała niespodzianka.

– Nie mogę się doczekać, tatusiu. Uwielbiam niespodzianki. A ty, James?

– Na ogół tak, ale jak na dzisiejszy dzień mam już dosyć.

James, który chciał zostawić Anne na parę chwil samą z ojcem, wyszedł odprowadzić alfę romeo do garażu Claridge'a. Harvey z Anne szli pod rękę Curzon Street.

– Czy nie jest cudowny, tatusiu?

– Tak, świetny chłopak. Z początku był jakiś niemrawy, ale potem się rozkręcił. No i proszę, moja córuchna zostanie prawdziwą angielską damą. Twoja mama będzie szaleć z radości, a ja cieszę się, żeśmy załagodzili naszą głupią sprzeczkę.

– Och, tatusiu, to w dużej mierze twoja zasługa.

– Naprawdę? – zdziwił się Harvey.

– Tak. W ostatnich kilku tygodniach zobaczyłam sprawy we właściwym świetle. Teraz powiedz, co to za niespodzianka?

– Cierpliwości, złotko. To prezent ślubny.

James spotkał ich pod hotelem. Z twarzy Anne wyczytał, że Harvey udzielił rodzicielskiego przyzwolenia.

– Dobry wieczór panu. Dobry wieczór, milordzie.

– Jak się masz, Albert. Przyślij mi do apartamentu kawę i butelkę Rémy Martin.

– Już się robi, proszę pana.

James nigdy przedtem nie był w królewskim Apartamencie. Z małego korytarza na prawo wchodziło się do wielkiej sypialni i na lewo do salonu. Harvey poprowadził ich wprost do salonu.

– Dzieci, za chwilę zobaczycie wasz prezent ślubny.

Pchnął drzwi teatralnym gestem i ich oczom ukazał się wiszący na wprost obraz van Gogha. Znieruchomieli, wpatrując się weń bez słowa.

– Na mnie zrobił dokładnie takie samo wrażenie – rzekł Harvey. – Też zaniemówiłem.

– Tatusiu. – Anne przełknęła ślinę. – To van Gogh. Zawsze chciałeś mieć obraz van Gogha. Marzyłeś o tym od lat. W żadnym wypadku nie mogłabym cię go pozbawić, poza tym nie chciałabym trzymać w domu czegoś tak cennego. Pomyśl, jakie to ryzyko. Nie mamy takich urządzeń zabezpieczających jak u ciebie. – Anne brnęła dalej. – Nie możemy zabierać ci ozdoby twojej kolekcji, prawda, James?

– To nie wchodzi w grę – poparł ją gorąco James. – Nie mógłbym zmrużyć oka, gdybym coś takiego miał w domu.

– Weź obraz do Bostonu, tatusiu, tam znajdzie godną siebie oprawę.

– Ależ ja myślałem, że będziesz zachwycona, Rosalie.

– Jestem, tatusiu, jestem. Tylko przeraża mnie odpowiedzialność i chciałabym, żeby mama też mogła go podziwiać. Zawsze możesz zostawić obraz mnie i Jamesowi, jeśli będziesz chciał.

– Świetny pomysł, Rosalie. W ten sposób oboje będziemy mogli się nim nacieszyć. Muszę teraz pomyśleć o innym prezencie. No, prawie mnie przelicytowała, James, a nie potrafiła tego zrobić przez dwadzieścia cztery lata.

– Ostatnio udało mi się to dwa czy trzy razy, tatusiu, i mam nadzieję, że uda mi się jeszcze raz.

Harvey nie zareagował na jej słowa i mówił dalej.

– Oto trofeum króla Jerzego i Elżbiety. – Pokazał misternie wykonaną z brązu statuetkę konia i dżokeja, którego czapka wysadzana była brylantami. – Wyścig ma tak wysoką rangę, że co roku wręcza się zwycięzcy nowe trofeum, więc to jest moje na zawsze.

James był rad, że przynajmniej trofeum było prawdziwe. Wniesiono kawę i brandy. Usiedli i zaczęli omawiać przygotowania do ślubu.

– Rosalie, musisz polecieć w przyszłym tygodniu do Lincoln i pomóc matce, bo w przeciwnym razie wpadnie w popłoch i nic nie zrobi jak

należy. Ty, James, musisz mi dać znać, ile osób masz zamiar zaprosić. Umieszczę ich u Ritza. Ślub weźmiecie w kościele Świętej Trójcy na Copley Square, następnie w moim domu w Lincoln odbędzie się przyjęcie w typowo angielskim stylu. Czy to ci odpowiada, James?

– Znakomicie. Jesteś doskonale zorganizowanym człowiekiem, Harvey.

– Zawsze byłem, James. To popłaca na dalszą metę. Słuchajcie, musicie ustalić wszystkie szczegóły przed wyjazdem Rosalie w przyszłym tygodniu. Być może o tym nie wiecie, ale jutro wracam do Stanów.

James pomyślał: strona 38A w niebieskim dossier. Jeszcze godzinę James i Anne omawiali przygotowania do ślubu i pożegnali się z Harveyem tuż przed północą.

– Zobaczymy się z samego rana, tatusiu.

– Dobranoc.

James uścisnął dłoń Harveya i wyszedł.

– Mówiłam ci, że jest fantastyczny.

– To świetny chłopak i twoja matka będzie zachwycona.

W windzie James nie odzywał się do Anne, gdyż jechali z dwoma mężczyznami, również czekającymi w milczeniu, aż zostaną sami. Ale gdy tylko wsiedli do alfy romeo, James złapał Anne za kark, rzucił ją sobie na kolana i wymierzył tak mocnego klapsa, że nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać.

– Za co?

– Żebyś po ślubie nie zapomniała przypadkiem, kto tu rządzi.

– Ty szowinistyczna męska świnio. Przecież chciałam tylko pomóc.

James z wściekłą szybkością pojechał do mieszkania Anne.

– I jak ty teraz wyglądasz? „Moi rodzice mieszkają w Waszyngtonie i tatuś pracuje w dyplomacji” – przedrzeźniał. – Ładny dyplomata.

– Wiem, kochanie, ale musiałam coś wymyślić, gdy się zorientowałam, na kogo się szykujecie.

– Co, u diabła, powiem tamtym?

– Nic. Zaprosisz ich na ślub, wyjaśnisz, że moja matka jest Amerykanką i dlatego pobierzemy się w Bostonie. Och, oddałabym wszystko, żeby widzieć ich miny, gdy odkryją, kto jest twoim teściem. Tak czy owak, musisz przygotować plan, nie możesz zostawić ich na lodzie.

– Ale okoliczności się zmieniły.

– Nie, nieprawda. Jest faktem, że oni dopięli swego, a ty nie. Lepiej więc przygotuj plan przed wyjazdem do Ameryki.

– Teraz jest jasne, że bez twojej pomocy by się nam nie udało.

– Nonsens, kochanie. Nie wtrącałam się zupełnie do operacji Jean-Pierre'a. Dodałam tylko tu i ówdzie mały akcencik. Obiecaj, że mnie już nigdy nie zbijesz.

– Będę cię bił za każdym razem, gdy sobie przypomnę ten obraz, ale teraz, kochanie...

– James, jesteś erotomanem.

– Wiem, kochanie. A jak inaczej Brigsleyowie mogliby płodzić w każdym pokoleniu całe hordy lordziątek?

Wczesnym rankiem Anne rozstała się z Jamesem, aby spędzić trochę czasu z ojcem. Odprowadzili go oboje na lotnisko, skąd w południe odlatywał do Bostonu. Kiedy wracali samochodem do miasta, Anne nie wytrzymała i spytała Jamesa, co postanowił powiedzieć tamtym. Wydobyła od niego tylko tyle:

– Zobaczysz. Nie chcę, żeby ktoś zmieniał mi wszystko za moimi plecami. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że w poniedziałek odlatujesz do Ameryki.

XVIII

W poniedziałek James miał urwanie głowy. Najpierw musiał odwieźć Anne, która rano odlatywała samolotem linii TWA do Bostonu, a następnie przez resztę dnia przygotowywał się na wieczorne spotkanie zespołu. Tamci trzej dopięli już swego i pozostało im tylko czekać na jego plan. Teraz jednak, gdy wiedział, że spiskuje przeciw własnemu teściowi, miał do rozwiązania podwójnie trudny problem. Przyznawał jednak rację Anne, że nie jest to żadna wymówka. Harvey nadal był mu winien 250 000 dolarów. I pomyśleć, że wystarczyłoby powiedzieć parę słów wtedy w Oksfordzie... To też musiał zataić przed zespołem.

Kolację wydawał Stephen w Kolegium Magdaleny jako autor i triumfator operacji oksfordzkiej. James wyjechał z Londynu zaraz po godzinach szczytu, minął stadion White City i pomknął szosą M40 do Oksfordu.

– Jak zawsze ostatni – przywitał go Stephen.

– Przepraszam, miałem urwanie głowy...

– Przygotowując dobry plan, mam nadzieję – wtrącił Jean-Pierre.

James nie odpowiedział. Jak dobrze się znamy, pomyślał.

W ciągu dwunastu tygodni James zżył się z nimi trzema bardziej niż z którymkolwiek z tak zwanych przyjaciół, których znał od dwudziestu lat. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego ojciec ciągle wspomina przyjaźnie nawiązane podczas wojny z ludźmi, których w zwykłych okolicznościach nigdy by nie spotkał. Pojął, jak bardzo brak mu będzie Stephena, gdy wyjedzie do Ameryki. Sukces miał ich, o ironio, rozdzielić. James za skarby

świata nie chciałby jeszcze raz przeżywać koszmaru z Prospecta Oil, ale niewątpliwie w jakimś sensie było warto.

Stephen nigdy nie potrafił celebrować i gdy tylko służba wniosła pierwsze danie i wyszła, rąbnął łyżką w stół i oświadczył, że zebranie zespołu jest w toku.

– Obiecaj mi coś – poprosił Jean-Pierre.

– Co takiego? – spytał Stephen.

– Że gdy odzyskamy już ostatni grosz, ja zajmę twoje miejsce, a ty się nie odezwiesz, póki ci nie pozwolę.

– Zgoda – rzekł Stephen – ale nie wcześniej. W tej chwili nasze wpływy wynoszą 777 560 dolarów. Koszty ostatniej operacji wyniosły 5 178 dolarów. Ogólna suma wydatków 27 661,24 dolara. Czyli Metcalfe jest nam winien 250 101,24 dolara.

Stephen rozdał im kopie ostatniego zestawienia bilansowego.

– Włączcie do teczek jako stronę 63C. Czy są jakieś pytania?

– Tak, dlaczego koszty ostatniej operacji były tak wysokie? – spytał Robin.

– Otóż niezależnie od wydatków dostaliśmy po kieszeni wskutek wahań kursu funta szterlinga w stosunku do dolara. Na początku operacji oksfordzkiej płacono za funta 2,44 dolara, dziś rano zaledwie 2,32. Pokrywamy koszty w funtach, ale obciążamy Metcalfe'a w dolarach po bieżącym kursie.

– Nie darujesz mu ani grosza, co? – spytał James.

– Ani grosza. Do rzeczy. Otóż chciałbym upamiętnić...

– To mi coraz bardziej przypomina posiedzenia Izby Gmin – zauważył Jean-Pierre.

– Przestań kumkać, żabolu – powiedział Robin.

– Uważaj, rajfurze z Harley Street.

Wybuchła wrzawa. Służba kolegium, która była świadkiem niejednego burzliwego zgromadzenia, zaczęła się już zastanawiać, czy nie zostanie wezwana na pomoc, nim spotkanie dobiegnie końca.

– Spokój! – Ostry, władczy głos Stephena przywołał wszystkich do porządku. – Wiem, że jesteście w różowych humorach, ale chciałbym przypomnieć, że musimy jeszcze odzyskać 250 101,24 dolara.

– Nie wolno nam zwłaszcza darować tych dwudziestu czterech centów, Stephen.

– Jean-Pierre, nie byłeś taki rozbrykany, gdy przyjechałeś tu pierwszy raz – osadził go Stephen i wyrecytował: „Myśliwy, który sprzedał skórę lwa, gdy ten żył jeszcze, zginął w jego kłach”.

Zapadła cisza.

– Harvey wciąż jeszcze winien jest zespołowi pieniądze i odzyskanie ostatniej ćwierci miliona będzie równie trudne jak pierwszych trzech. Zanim oddam głos Jamesowi, chciałbym odnotować, że swoją rolę w Gmachu Clarendona odegrał po prostu genialnie.

Robin i Jean-Pierre grzmotnęli w stół na znak zgody i uznania.

– James, zamieniamy się w słuch. Znowu zrobiło się cicho.

– Mój plan jest prawie gotowy – zaczął James.

Ich miny wyrażały niedowierzanie.

– Ale muszę was o czymś zawiadomić, o czymś, co opóźni nieco jego wykonanie.

– Żenisz się.

– Jak zwykle strzał w dziesiątkę, Jean-Pierre.

– Zgadłem w chwili, gdy cię zobaczyłem. Kiedy ją poznamy, James?

– Gdy już będzie za późno, żeby zmieniła zdanie, Jean-Pierre.

Stephen spojrzał do kalendarza.

– Ile czasu potrzebujesz?

– Anne i ja weźmiemy ślub trzeciego sierpnia w Bostonie. Matka Anne jest Amerykanką – wyjaśnił James – i wprawdzie Anne mieszka w Anglii, ale matce sprawi przyjemność, jeśli ślub odbędzie się w jej ojczystym kraju. Następnie wyjedziemy w podróż poślubną i do Anglii wrócimy dwudziestego trzeciego sierpnia. Rozgrywkę z panem Metcalfe'em planuję na trzynastego września, ostatni dzień okresu rozrachunkowego na londyńskiej giełdzie papierów wartościowych.

– Jestem pewien, że to termin do przyjęcia, James. Czy wszyscy się zgadzają?

Robin i Jean-Pierre kiwnęli głowami.

James przystąpił do rzeczy.

– Potrzebny mi będzie teleks i siedem aparatów telefonicznych. Trzeba to zainstalować w moim mieszkaniu. Jean-Pierre musi być tego dnia w paryskiej Bourse, Stephen na giełdzie towarowej w Chicago, a Robin u Lloyda w Londynie. Kompletne niebieskie dossier zaprezentuję wam natychmiast po powrocie z podróży poślubnej.

Oniemieli z podziwu, a James zrobił dramatyczną pauzę.

– Doskonale, James – odezwał się Stephen. – Będziemy niecierpliwie czekać na dalsze szczegóły. Jakie są twoje instrukcje?

– Po pierwsze, Stephen, musisz znać kurs otwarcia i zamknięcia złota w Johannesburgu, Zurychu, Nowym Jorku i Londynie codziennie w następnym miesiącu. Jean-Pierre, musisz się orientować w kursach marki zachodnioniemieckiej, franka francuskiego i funta szterlinga w stosunku do dolara każdego dnia w tym samym okresie, a ty, Robin, do drugiego września powinieneś opanować perfekcyjnie obsługę teleksu i centralki

telefonicznej PEX na osiem numerów. Musisz być tak sprawny jak telefonistka w centrali międzynarodowej.

– Zawsze masz dziecinnie łatwe zadania, no nie? – powiedział Jean-Pierre.

– Możesz mnie...

– Zamknijcie się, jeden z drugim – osadził ich James. Spojrzeli na niego ze zdziwieniem i szacunkiem.

– Sporządziłem dla wszystkich notatki.

James wręczył każdemu z członków zespołu po dwie kartki maszynopisu.

– Włączcie je do swoich teczek pod numerem 74 i 75. Wykonanie podanych tam instrukcji powinno wam zająć co najmniej miesiąc. I jeszcze jedno: jesteście wszyscy zaproszeni na ślub Anne Summerton z Jamesem Brigsleyem. Nie będę się bawił w wysyłanie wam oficjalnych zaproszeń w tak krótkim terminie, zarezerwowałem natomiast dla was wszystkich miejsca w boeingu 747 odlatującym po południu drugiego sierpnia i noclegi u Ritza w Bostonie. Mam nadzieję, że wyświadczycie mi zaszczyt i zostaniecie moimi drużbami.

Nawet Jamesowi zaimponowała własna sprawność. Tamci z niedowierzaniem patrzyli, gdy wręczał im bilety lotnicze i kartki z instrukcjami.

– Spotykamy się na lotnisku o trzeciej po południu i w samolocie was przeegzaminuję.

– Tak jest, szefie – powiedział Jean-Pierre.

– Twój test, Jean-Pierre, będzie w dwu językach, francuskim i angielskim, ponieważ będziesz się nim posługiwał w transkontynentalnych rozmowach telefonicznych jako ekspert od kursów walutowych.

Tego wieczoru nikt już nie podśmiewał się więcej z Jamesa, a kiedy jechał autostradą do domu, czuł się nowym człowiekiem. Nie dość, że zagrał pierwsze skrzypce w operacji oksfordzkiej, to wziął do galopu tamtych trzech. Jeszcze wyjdzie na swoje i pokaże swemu staruszkowi, co jest wart.

XIX

Tym razem James był pierwszy i czekał na lotnisku na trzech pozostałych. Zdobył przewagę i nie zamierzał jej utracić. Robin zjawił się na końcu z naręczem gazet.

– Wyjeżdżamy tylko na dwa dni – powiedział Stephen.

– Wiem, ale zawsze brak mi angielskich gazet, więc wziąłem zapas na jutro.

Jean-Pierre z galijską desperacją wzniósł ręce do góry.

Oddali bagaże na dworcu lotniczym nr 3 i weszli na pokład samolotu Boeing 747, linii British Airways, lecącego do Bostonu i lądującego na międzynarodowym lotnisku Logana.

– To mi przypomina raczej boisko futbolowe – powiedział Robin, który pierwszy raz leciał olbrzymim odrzutowcem.

– Mieści się w nim trzysta pięćdziesiąt osób. Większość klubów angielskich nie zasługuje na więcej kibiców – zakpił Jean-Pierre.

– Spokój – ostro powiedział James, nie zdając sobie sprawy, że są zdenerwowani i chcą tylko rozładować napięcie.

Później, podczas startu, obaj udawali, że czytają, ale gdy tylko samolot wzbił się na wysokość trzech tysięcy stóp i zgasł mały świetlny napis: „Zapiąć pasy”, byli na powrót w świetnej formie.

Zespół mężnie uporał się z podanym na obiad zimnym, pozbawionym smaku kurczakiem i algierskim czerwonym winem.

– Mam nadzieję, James, że twój teść będzie nas karmił trochę lepiej – powiedział Jean-Pierre.

Po posiłku James pozwolił im obejrzeć film, ale zapowiedział, że zaraz potem czeka ich test. Robin i Jean-Pierre cofnęli się o piętnaście rzędów i zaczęli oglądać *Żądło*. Stephen pozostał na swoim miejscu, by się poddać egzaminowi.

James wręczył mu kartkę maszynopisu zawierającą czterdzieści pytań na temat cen złota na rynkach światowych i fluktuacji rynkowych w ostatnich czterech tygodniach. Stephen skończył test w dwadzieścia dwie minuty i James wcale się nie zdziwił, że wszystkie odpowiedzi były prawidłowe. Stephen zawsze był ostoją zespołu i to jego logiczny umysł pokonał Harveya Metcalfe'a.

Stephen z Jamesem ucięli sobie drzemkę w oczekiwaniu na powrót Robina i Jean-Pierre'a, po czym James wręczył każdemu z nich kartki z pytaniami. Robinowi rozwiązanie testu zajęło trzydzieści minut i odpowiedział trafnie na trzydzieści osiem z czterdziestu pytań. Jean-Pierre był gotów po dwudziestu siedmiu minutach i miał trzydzieści siedem trafnych odpowiedzi.

– Stephen zdobył czterdzieści punktów na czterdzieści możliwych – oznajmił James.

– Jakżeby inaczej – powiedział Jean-Pierre.

Robin miał trochę niepewną minę.

– Wy też musicie umieć wszystko do drugiego września. Zrozumiano?

Obaj kiwnęli głowami.

– Widziałeś *Żądło*? – spytał Robin.

– Nie – odparł Stephen. – Rzadko chodzę do kina.

– Nie dorastają nam do pięt. Jedna duża operacja i nic z tego nie mają.

– Prześpij się, Robin.

Obiad, film i testy Jamesa wypełniły większą część sześciogodzinnego lotu, a ostatnią godzinę przedrzemali. Zbudził ich nagle głos:

– Mówi kapitan. Zbliżamy się do międzynarodowego lotniska Logana, mamy dwadzieścia minut opóźnienia. Wylądujemy przypuszczalnie za dziesięć minut, o siódmej piętnaście. Mamy nadzieję, że jesteście państwo zadowoleni z podróży i skorzystacie znów z linii lotniczych British Airways.

Na cle zatrzymano ich nieco dłużej, wwozili bowiem prezenty ślubne, które chcieli ukryć przed Jamesem. Mieli spory kłopot z wyjaśnieniem celnikowi, co znaczy napis wyryty na kopercie zegarka marki Piaget: „Z nielegalnych zysków z Prospecta Oil – od trzech, którzy mieli plany”.

Gdy wreszcie przeszli przez odprawę celną, zobaczyli Anne czekającą obok ogromnego cadillaca, który miał ich zawieźć do hotelu.

– No, teraz wiemy, dlaczego tak trudno było ci cokolwiek wykombinować. Gratulacje, James, jesteś całkowicie rozgrzeszony – powiedział Jean-Pierre i objął Anne ze skwapliwością prawdziwego Francuza.

Robin przedstawił się i pocałował ją delikatnie w policzek. Stephen sztywno uścisnął jej dłoń. Usadowili się w samochodzie, Jean-Pierre obok Anne.

– Panno Summerton – bąknął Stephen.

– Proszę mi mówić Anne.

– Czy przyjęcie odbędzie się w hotelu?

– Nie – odparła Anne – w domu moich rodziców, ale z kościoła zawiezie was tam samochód. Powinniście tylko dopilnować, żeby James stawił się w kościele przed wpół do czwartej. Poza tym o nic nie musicie się martwić. Póki o tym pamiętam, James, twój ojciec i matka przybyli wczoraj i zatrzymali się u moich rodziców. Doszliśmy do wniosku, że lepiej byłoby, gdybyś spędził wieczór poza domem, bo moja matka miota się jak oszalała.

– Jak sobie życzysz, kochanie.

– Gdybyś zmieniła zdanie do jutra, jestem do wzięcia – odezwał się Jean-Pierre. Wprawdzie w moich żyłach nie płynie błękitna krew, ale my Francuzi mamy trochę innych zalet.

Anne uśmiechnęła się pod nosem.

– Odrobinę się spóźniłeś, Jean-Pierre. Poza tym nie podobają mi się mężczyźni z brodami...

– Ale to tylko... – zaczął Jean-Pierre.

Wszyscy trzej spojrzeli na niego ostrzegawczo.

W hotelu tamci poszli się rozpakować i Anne z Jamesem zostali sami.

– Czy już wiedzą, kochanie?

– Nie mają zielonego pojęcia – odparł James. – Dopiero jutro zbaranieją.

– Czy masz już plan?

– Dowiesz się we właściwym czasie.

– Bo ja mam. Jaki jest termin twojego?

– Trzynasty września.

– W takim razie ubiegnę cię. Mój zostanie zrealizowany jutro.

– Co, przecież nie miałaś...

– Nie przejmuj się. Wystarczy, jeśli się ożenisz... ze mną.

– Czy nie możemy gdzieś pójść?

– Nie, ty potworze. Poczekaj do jutra.

– Bardzo cię kocham.

– Idź spać, głuptasie. Też cię kocham, ale muszę wracać do domu, bo nic nie będzie gotowe na czas.

James pojechał windą na siódme piętro i wypił kawę z trójką towarzyszy.

– Czy ktoś zagra w oko?

– Odczep się, ty szulerze – powiedział Robin. – Terminowałeś u największego kanciarza wszech czasów.

Zespół był w szczytowej formie i niecierpliwie wyczekiwał wesela. Mimo różnicy czasu między Europą i Ameryką rozstali się dopiero dobrze po północy. Jamesowi nie dawała zasnąć myśl, co Anne szykuje tym razem.

XX

Boston w sierpniu jest najpiękniejszym miastem w Ameryce. Zespół zasiadł do obfitego śniadania w pokoju Jamesa.

– On się chyba do tego nie pali – powiedział Jean-Pierre. – Stephen, jesteś kapitanem zespołu. Zgłaszam się na ochotnika na jego miejsce.

– To będzie cię kosztowało 250 000 dolarów.

– Zgoda – odparł Jean-Pierre.

– Nie masz 250 000 dolarów – rzekł Stephen – tylko 187 474,69, czwartą część sumy, którą zdobyliśmy do tej pory. Postanawiam więc, że James stanie na ślubnym kobiercu.

– To perfidna anglosaska intryga – powiedział Jean-Pierre – i kiedy James przeprowadzi swój plan, i będziemy mieli pełny milion, przystąpię na nowo do negocjacji.

Długo rozmawiali i zaśmiewali się przy grzankach i kawie. Stephen spoglądał na nich ciepło, myśląc z żalem, jak rzadko będą się spotykać, gdy, jeżeli – poprawił się surowo – operacja Jamesa się powiedzie. Gdyby Harvey Metcalfe miał taki zespół ludzi po swojej stronie, a nie przeciwko sobie, zostałby najbogatszym człowiekiem świata.

– Zamyśliłeś się, Stephen?

– Tak, przepraszam. Nie wolno mi zapominać, że Anne obarczyła mnie odpowiedzialnością.

– No to ruszamy – powiedział Jean-Pierre. – O której mamy się zameldować, profesorze?

– Dokładnie za godzinę, w stroju galowym, gotowi do zlustrowania Jamesa i dostarczenia go do kościoła. Jean-Pierre, idź i kup cztery goździki, trzy czerwone i jeden biały. Robin, zamówisz taksówkę i zaopiekujesz się Jamesem.

Robin i Jean-Pierre odeszli, śpiewając wesoło *Marsyliankę* w dwu różnych tonacjach. James i Stephen odprowadzili ich wzrokiem.

– Jak się czujesz, James?

– Znakomicie. Żałuję tylko, że nie przeprowadziłem wcześniej swojego planu.

– Nic nie szkodzi. Do trzynastego września niedaleko. Tak czy owak, krótka przerwa nam nie zaszkodzi.

– Bez ciebie nigdy by się nam nie udało. Wiesz o tym, Stephen, prawda? Bylibyśmy wszyscy zrujnowani, a ja nie spotkałbym Anne. Tak wiele ci zawdzięczamy.

Stephen patrzył nieruchomo w okno, niezdolny do odezwania się słowem.

– Trzy czerwone i jeden biały – oznajmił Jean-Pierre – zgodnie z poleceniem. Domyślam się, że biały jest dla mnie.

– Przypnij Jamesowi. Nie za uchem, Jean-Pierre.

– Wyglądasz fantastycznie, ale nadal nie rozumiem, co ona w tobie widzi – powiedział Jean-Pierre, wpinając Jamesowi goździk do butonierki. Wprawdzie wszyscy czterej byli gotowi, ale mieli jeszcze pół godziny do przyjazdu taksówki. Jean-Pierre otworzył butelkę szampana i wypili za zdrowie Jamesa, zespołu, Jej Królewskiej Mości, prezydenta Stanów Zjednoczonych i wreszcie, z udaną niechęcią, prezydenta Francji. Gdy w butelce ukazało się dno, Stephen pomyślał, że należy natychmiast wyjść, i wyekspediował całą trójkę do taksówki.

– Głowa do góry, James. Jesteśmy z tobą.

Wpakowali go na tylne siedzenie.

Po kilku minutach taksówka zajechała przed kościół Świętej Trójcy na Copley Square i taksówkarz odetchnął z ulgą, gdy wysiedli.

– Piętnaście po trzeciej. Anne będzie ze mnie bardzo zadowolona – powiedział Stephen. Odprowadził pana młodego do pierwszej ławki w prawej nawie kościoła, tymczasem Jean-Pierre spoglądał zalotnie na najładniejsze dziewczyny. Robin pomagał rozdawać tekst nabożeństwa, a tysiąc wystrojonych gości czekało na przybycie panny młodej.

Stephen pospieszył pomóc Robinowi, który stał na stopniach kościoła. Dołączył do nich Jean-Pierre i ponaglał, by zajęli miejsca, gdy przed kościół zajechał rolls-royce. Oszołomił ich widok Anne w sukni ślubnej projektu Balenciagi. Podszedł jej ojciec, a ona wzięła go pod rękę i zaczęli wstępować na schody.

Wszyscy trzej zamarli, jakby ujrzeli zjawę.

– Drań.

– Kto tu kogo wystawił do wiatru?

– Musiała wiedzieć cały czas.

Harvey rzucił im promienne, obojętne spojrzenie, gdy przechodził obok, prowadząc Anne. Odeszli w głąb nawy.

Dobry Boże, pomyślał Stephen, nie rozpoznał żadnego z nas.

Zajęli miejsca w tyle kościoła, z dala od tłumu gości weselnych. Organista przestał grać, gdy Anne stanęła na stopniach ołtarza.

– Harvey nie może wiedzieć – orzekł Stephen.

– Jak to wykoncypowałeś? – spytał Jean-Pierre.

– James nigdy by nas na to nie naraził, gdyby sam nie przeszedł wcześniej podobnego testu.

– To logiczne – szepnął Robin.

– Zwracam się do was dwojga i wzywam, abyście odpowiedzieli mi jak w przejmującym grozą dniu Sądu Ostatecznego, kiedy odkryją się tajemnice wszystkich serc...

– Chciałbym już teraz poznać kilka tajemnic – powiedział Jean-Pierre. – Na początek: kiedy się dowiedziała?

– Jamesie Clarensie Spencerze, czy chcesz poślubić tę oto kobietę, żyć z nią zgodnie z przykazaniem bożym w świętym stanie małżeńskim? Czy będziesz ją miłował, hołubił, szanował i otaczał opieką w chorobie i zdrowiu i dochowasz jej wierności, wyrzekając się innych niewiast aż po kres żywotów waszych?

– Tak mi dopomóż Bóg.

– Rosalie Arlene, czy chcesz poślubić tego oto mężczyznę, żyć z nim...

– Myślę, iż jest pewne, że ona jest pełnoprawnym członkiem zespołu, w przeciwnym razie nie udałoby się nam ani w Monte Carlo, ani w Oksfordzie – stwierdził Stephen.

– ...aż po kres żywotów waszych?

– Tak mi dopomóż Bóg.

– Kto oddaje tę oto kobietę za żonę temu mężczyźnie?

Harvey żwawo wystąpił do przodu, ujął rękę Anne i oddał ją księdzu.

– Ja, James Clarence Spencer, biorę ciebie, Rosalie Arlene, za żonę...

– Ponadto, dlaczego miałby nas rozpoznać, skoro widział każdego z nas tylko jeden raz i to wyglądającego inaczej niż w rzeczywistości – ciągnął Stephen.

– I przysięgam ci wierność małżeńską.

– Ja, Rosalie Arlene, biorę ciebie, Jamesa Clarence'a Spencera, za męża...

– Ale niechybnie się domyśli, jeśli będziemy kręcić mu się pod nosem – odezwał się Robin.

– Niekoniecznie – uspokajał Stephen. – Nie mamy powodu do paniki. Nasz sekret zawsze polegał na tym, żeby przyłapać go na obcym gruncie.

– Ale teraz jest na własnym – zauważył Jean-Pierre.

– Nie, nie jest. To ślub jego córki, dla niego zupełnie nowe przeżycie. Oczywiście będziemy go unikać podczas przyjęcia, ale musimy robić to dyskretnie.

– Będziecie musieli podtrzymywać mnie na duchu – powiedział Robin.

– Możesz na mnie liczyć – zapewnił Jean-Pierre.

– Po prostu zachowujcie się naturalnie.

– ...i przysięgam ci wierność małżeńską.

Anne była cicha i nieśmiała, jej głos ledwie dobiegał do trzech osłupiałych mężczyzn w głębi kościoła. Głos Jamesa brzmiał wyraźnie i stanowczo:

– Tą obrączką zaślubiam cię, ciałem swoim wielbię cię, wszelkie doczesne dobra tobie ofiarowuję...

– I trochę naszych też – dodał Jean-Pierre.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

– Módlmy się – zaintonował ksiądz.

– Wiem, o co się pomodlę – rzekł Robin. – Żeby Bóg wybawił nas z mocy wrogów naszych i ocalił z rąk nieprzyjaciół naszych.

– Boże Wiekuisty, Stwórco i Zbawicielu świata.

– Zbliżamy się do końca – powiedział Stephen.

– Niefortunne określenie – skomentował Robin.

– Cisza – rzekł Jean-Pierre. – Rozgryźliśmy Metcalfe'a, nie ma się czego bać.

– Co Bóg złączył, tego człowiek niech nie rozdziela.

Jean-Pierre mamrotał coś pod nosem, ale nie brzmiało to jak modlitwa.

Zagrzmiały organy i kościół wypełniły dźwięki marsza weselnego Haendla. Uroczystość dobiegła końca. Lord i lady Brigsley przeszli środkiem nawy w blasku spojrzeń tysiąca par oczu. Stephen był ubawiony, Jean-Pierre zazdrosny, Robin zdenerwowany. James uśmiechnął się anielsko, przechodząc obok nich.

Nowożeńcy pozowali fotografom do zdjęć na stopniach kościoła. Po dziesięciu minutach wsiedli do rolls-royce'a i odjechali do domu Metcalfe'a w Lincoln. Harvey z hrabiną Louth zajęli miejsca w drugim samochodzie, a earl z Arlene, matką Anne, w trzecim. Stephen, Robin i Jean-Pierre pojechali dwadzieścia minut później, zatopieni w dyskusji, czy to dobrze czy źle tak wyzywać los.

Zajechali pod dom Metcalfe'a, okazałą budowlę w stylu georgiańskim z orientalnym ogrodem opadającym do jeziora, ogromnymi klombami róż i oranżerią ze wspaniałymi okazami orchidei.

– Nigdy nie przypuszczałem, że kiedyś to zobaczę – westchnął Jean-Pierre.

– Ani ja – odezwał się Robin. – Muszę powiedzieć, że ten widok wcale mnie nie cieszy.

– No, trzeba zajrzeć lwu w paszczę – rzekł Stephen. – Proponuję, żebyśmy włączyli się do kolejki gości w sporych odstępach. Ja idę pierwszy, potem Robin, o co najmniej dwadzieścia osób za mną, następnie Jean-Pierre co najmniej dwadzieścia osób za Robinem. Zachowujcie się naturalnie. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi Jamesa z Anglii. Kiedy zajmiecie miejsca w kolejce, przysłuchujcie się rozmowom. Spróbujcie się zorientować, kto jest bliskim przyjacielem Harveya, i natychmiast wskakujcie przed niego. Gdy podejdziecie do Harveya, będzie już patrzył

na człowieka stojącego z tyłu, nie na was, gdyż zechce z nim zamienić kilka słów. W ten sposób powinno nam się udać.

– Genialny jesteś, profesorze – pochwalił go Jean-Pierre.

Kolejka wydawała się nieskończenie długa. Tysiąc osób przesuwało się wolno i wymieniało uściski rąk z panem i panią Metcalfe, earlem i hrabiną Louth, Anne i Jamesem. Stephen przeszedł próbę zwycięsko.

– Tak się cieszę, że cię widzę – powiedziała Anne.

Stephen nie zareagował

– Witaj, Stephen.

– Podziwiamy wszyscy twój plan, James.

Stephen wymknął się do głównej sali balowej i schował za filarem w odległym kącie, jak najdalej od wielopiętrowego tortu weselnego pyszniącego się na środku.

Robin był następny. Unikał wzroku Harveya.

– Jak miło, że zadałeś sobie tyle trudu – rzekła Anne.

Robin coś burknął pod nosem.

– Jak się bawisz, Robin?

James najwyraźniej używał sobie za wszystkie czasy. Przeszedł przez to samo za sprawą Anne i teraz napawał się konsternacją zespołu.

– Bastard z ciebie, James.

– Nie tak głośno, stary. Jeszcze moja matka i ojciec cię usłyszą.

Robin prześliznął się do sali balowej i po uporczywych poszukiwaniach za wszystkimi flarami znalazł wreszcie Stephena.

– Udało się?

– Myślę, że tak, ale nie chcę go już więcej widzieć na oczy. O której mamy samolot?

– O ósmej wieczorem. Nie wpadaj w panikę. Uważaj na Jean-Pierre'a.

– Cholernie dobrze, że nie zgolił brody – powiedział Robin.

Jean-Pierre uścisnął rękę Harveya zajętego już następnym gościem, przed którego Francuz bezwstydnie się wepchnął. Był to bankier z Bostonu, najwidoczniej bliski przyjaciel Harveya.

– Cieszę się, że cię widzę, Marvin.

Jean-Pierre'owi uszło na sucho. Ucałował Anne w oba policzki, szepnął jej do ucha: „Gem, set i mecz dla Jamesa” i oddalił się w poszukiwaniu Stephena i Robina. Instrukcje Stephena wyleciały mu z głowy, gdy stanął przed pierwszą druhną.

– Jak się panu podoba wesele?

– Bardzo. Zawsze oceniam wesele nie według urody panny młodej, ale pierwszej druhny.

Zarumieniła się z radości.

– Musiało kosztować fortunę – ciągnęła.

– Tak, moja miła, i nawet wiem czyją – powiedział Jean-Pierre i objął ją wpół.

Czworo rąk oderwało protestującego Jean-Pierre'a od dziewczyny i bezlitośnie zawlokło za flar.

– Na Boga, Jean-Pierre! Ona ma najwyżej siedemnaście lat. Nie chcemy wylądować w kryminale i za uwiedzenie nieletniej, i za kradzież. Masz, napij się i zachowuj jak należy. – Robin podał mu kieliszek szampana.

Szampan lał się strumieniami i nawet Stephen był trochę za wiany. Wszyscy opierali się już dla zachowania równowagi o flar, gdy mistrz ceremonii poprosił o ciszę.

– Milordowie, panie i panowie. Przemówi teraz wicehrabia Brigsley, pan młody.

James wygłosił błyskotliwą mowę. Odezwał się w nim aktor i Amerykanie byli zachwyceni. Nawet na twarzy jego ojca odmalował się podziw. Następnie mistrz ceremonii zapowiedział Harveya, który mówił długo i głośno. Przytoczył swój ulubiony żart o wydaniu córki za księcia Karola, na co zebrani goście ryknęli gromkim śmiechem, jak to zazwyczaj bywa na weselach nawet przy najsłabszym dowcipie. Zakończył, wznosząc toast za państwa młodych.

Gdy umilkły brawa i znowu podniósł się zgiełk rozmów, Harvey wyjął z kieszeni kopertę i pocałował córkę w policzek.

– Rosalie, oto mały prezent ślubny dla ciebie, nagroda za to, że pozwoliłaś mi zatrzymać van Gogha. Wiem, że zrobisz z tego właściwy użytek.

Harvey podał jej białą kopertę. Wewnątrz był czek na 250 000 dolarów. Anne ucałowała ojca gorąco.

– Dziękuję, tatusiu. Obiecuję ci, że James i ja mądrze to wykorzystamy.

Szybko odeszła i zaczęła szukać Jamesa, którego obsiadły amerykańskie kumy.

– Czy to prawda, że jest pan spokrewniony z królową...?

– Nigdy nie widziałam prawdziwego, żywego lorda...

– Mam nadzieję, że zaprosi pan nas do swojego zamku...

– Nie ma żadnych zamków na King's Road – powiedział James, szczęśliwy, że Anne przybiegła z odsieczą.

– Kochanie, mogę cię prosić na minutkę?

James przeprosił i poszedł za Anne, ale trudno im było uwolnić się od tłumu.

– Spójrz – powiedziała. – Szybko.

James wziął czek do ręki.

– Dobry Boże! Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

– Wiesz, co z tym zrobię, prawda?

– Tak, kochanie.

Anne rozglądała się za Stephenem, Robinem i Jean-Pierre'em, ale nie mogła ich znaleźć, gdyż nadal ukryci byli za filarem w drugim kącie sali. Dopiero przyciszona, ale z werwą wykonana piosenka: *Kto chce zostać milionerem*, której dźwięki dobiegły zza flara, zaprowadziła ją na miejsce.

– Stephen, czy możesz mi pożyczyć pióro?

Trzy pióra wystrzeliły w jej kierunku.

Wyjęła czek ze swego bukietu i napisała na odwrocie: „Rosalie Brigsley indosuje na Stephena Bradleya”, i podała mu.

– Twój, jak sądzę.

Wszyscy trzej wlepili oczy w czek. Anne znikła, nim zdążyli cokolwiek powiedzieć.

– Ale dziewczynę złapał ten James – westchnął Jean-Pierre.

– Upiłeś się, żabojadzie – stwierdził Robin.

– Jak pan śmie twierdzić, że Francuz może upić się szampanem! Żądam satysfakcji. Wybieraj broń!

– Korki od szampana.

– Spokój – nakazał Stephen. – Zdradzicie się.

– No to powiedz mi, profesorze, jaki jest nasz obecny stan finansowy.

– Właśnie liczę – odparł Stephen.

– Co? – spytali równocześnie Robin i Jean-Pierre, zbyt rozanieleni, by się kłócić.

– Jest nam jeszcze winien sto jeden dolarów i dwadzieścia cztery centy.

– Niesmaczne – powiedział Jean-Pierre. – Spalmy mu dom.

Anne i James wyszli się przebrać. Stephen, Robin i Jean-Pierre wlali w siebie jeszcze trochę szampana. Mistrz ceremonii ogłosił, że młoda para wyjeżdża za kwadrans, i poprosił gości, by zebrali się w hallu i na dziedzińcu.

– Chodźcie, musimy ich pożegnać – powiedział Stephen.

Alkohol dodał im odwagi i podeszli do czekającego samochodu.

Stephen usłyszał, jak Harvey mówi: „Niech to diabli wezmą, czy ja zawsze muszę myśleć o wszystkim?” – i ujrzał, jak się rozgląda wokół i zatrzymuje wzrok na nich. Nogi ugięły się pod nim, gdy Harvey wycelował w niego palec.

– Hej, czy nie jest pan drużbą?

– Tak, proszę pana.

– Rosalie za chwilę wyjeżdża, a nie ma dla niej kwiatów. Bóg wie gdzie się zapodziały. Wskakuj pan w samochód. Niedaleko, przy drodze, jest kwiaciarnia, ale niech się pan pospieszy.

– Tak, proszę pana.

– Czy my się przypadkiem skądś nie znamy?

– Tak, proszę pana, to znaczy nie, proszę pana. Pędzę po kwiaty.

Stephen odwrócił się i uciekł. Robin i Jean-Pierre, którzy patrzyli na tę scenę zdrętwiali z przerażenia, myśląc, że na koniec wszystko się wydało, pobiegli za nim. Na tyłach domu Stephen zatrzymał się i utkwił wzrok w najpiękniejszych okazach róż. Robin i Jean-Pierre przemknęli obok niego, wyhamowali, zawrócili i zbliżyli się niepewnym krokiem.

– Co, do diabła tu robisz, zrywasz kwiaty na swój pogrzeb?

– Spełniam tylko życzenie Metcalfe'a. Ktoś zapomniał o kwiatach dla Anne i za pięć minut muszę wrócić z bukietem, więc pomóżcie mi zrywać.

– *Mes enfants*, co widzą moje oczęta?

Podnieśli głowy. Jean-Pierre wpatrywał się z zachwytem w szybę oranżerii.

Stephen popędził przed dom z naręczem wspaniałych okazów orchidei, za nim biegli Robin z Jean-Pierre'em. Zdążył akurat wręczyć bukiet Harveyowi, zanim James z Anne wyszli z domu.

– Cudowne, to moje ulubione kwiaty. Ile kosztowały?

– Sto dolarów – rzucił Stephen bez namysłu.

Harvey podał mu dwa banknoty po pięćdziesiąt dolarów. Stephen wycofał się, oblany potem, i stanął obok Robina i Jean-Pierre'a.

James i Anne wyszli z domu, oblężeni przez tłum. Żaden z obecnych mężczyzn nie mógł oderwać od niej oczu.

– Och, tatusiu, orchidee, jakie piękne. – Anne pocałowała Harveya. – Zawdzięczam ci najpiękniejszy dzień mojego życia.

Rolls-royce ruszył powoli podjazdem, oddalając się od tłumu gości w stronę lotniska, gdzie James i Anne mieli wsiąść do samolotu lecącego do San Francisco, ich pierwszego postoju w drodze na Hawaje. Kiedy samochód zakręcił koło domu, Anne spojrzała na opustoszałą oranżerię, a potem na kwiaty, które trzymała w ramionach. James nic nie zauważył. Myślał o czym innym.

– Myślisz, że mi kiedykolwiek przebaczą? – spytał.

– Jestem pewna, że tak, kochanie. Ale zdradź mi sekret, proszę. Czy naprawdę miałeś jakiś plan?

– Wiedziałem, że mnie o to zapytasz, i prawdę powiedziawszy...

Samochód pomknął szosą z cichym pomrukiem silnika i tylko szofer usłyszał odpowiedź Jamesa.

Stephen, Robin i Jean-Pierre patrzyli na wychodzących gości, których większość żegnała się z gospodarzami.

– Lepiej nie ryzykujmy – powiedział Robin.

– Zgoda – poparł go Stephen.

– Zaprośmy go na kolację – zaproponował Jean-Pierre. Schwycili go obydwaj i wepchnęli do taksówki.

– Co ty tam ukrywasz pod żakietem, Jean-Pierre?

– Dwie butelki szampana *Krug dix-neuf cent soixante-quatre*. Tak mi było żal zostawiać je tam same. Mogłyby się poczuć nikomu niepotrzebne.

Stephen powiedział taksówkarzowi, żeby ich zawiózł do hotelu.

– Co za ślub – westchnął Robin. – Czy myślisz, że James rzeczywiście miał jakiś plan?

– Nie wiem, ale jeśli tak, to ma do odzyskania tylko dolara i dwadzieścia cztery centy.

– Powinniśmy byli potrącić mu z wygranej w Ascot – mruknął Jean-Pierre.

Spakowali się, oddali klucze w hotelu i pojechali taksówką na międzynarodowe lotnisko Logana, gdzie, korzystając z wydatnej pomocy personelu British Airways, wgramolili się do samolotu.

– Cholera – powiedział Stephen. – Wolałbym, żebyśmy jednak odzyskali tego dolara i dwadzieścia cztery centy.

XXI

W samolocie popijali zdobycznego szampana. Stephen wyglądał na zadowolonego, chociaż od czasu do czasu powracał do sprawy brakującego dolara i dwudziestu czterech centów.

– Jak myślisz, ile może kosztować ten szampan? – spytał drwiąco Jean-Pierre.

– To nie o to chodzi. Miało być co do grosza.

Jean-Pierre doszedł do wniosku, że nigdy nie zrozumie akademików.

– Nie martw się, Stephen. Jestem przekonany, że plan Jamesa przyniesie akurat tyle.

Stephen chciał się już roześmiać, lecz ukłuła go myśl, że dziewczyna od początku wiedziała o wszystkim.

Po wylądowaniu na Heathrow nie mieli kłopotów z odprawą celną. Nigdy nie zamierzali przywozić stamtąd prezentów. Robin zboczył do stoiska W. H. Smitha i kupił „Timesa” i popołudniówkę „Evening Standard”. Jean-Pierre targował się z taksówkarzem o opłatę za kurs do Londynu.

– Nie ma pan do czynienia z jakimiś tępymi Amerykanami, którzy nie znają trasy ani cen i których można bezkarnie wykiwać – wywodził, nie całkiem jeszcze trzeźwy.

Taksówkarz klął pod nosem, kierując swego czarnego austina ku autostradzie. Dzisiaj nie zrobi interesu.

Robin, który należał do nielicznych osób potrafiących czytać w jadącym samochodzie, uszczęśliwiony oddał się lekturze gazet. Stephen i

Jean-Pierre patrzyli przez okno.

– Jezu Chryste!

Stephen i Jean-Pierre drgnęli zaskoczeni. Takie okrzyki nie były w stylu Robina.

– Boże Wszechmogący!

To już było za wiele, ale zanim zdążyli zapytać, o co chodzi, Robin zaczął czytać na głos:

– „British Petroleum ogłosiło komunikat o znalezieniu pod dnem Morza Północnego złoża ropy naftowej o przewidywanej wydajności 200 000 baryłek dziennie. Prezes towarzystwa, sir Erie Drake, nazwał to ważnym odkryciem. Pole British Petroleum, «Forties Field», sąsiaduje z niebadanym do tej pory polem Prospecta Oil. Pogłoski o złożeniu oferty British Petroleum pod adresem tego towarzystwa podbiły kurs akcji Prospecta Oil do rekordowej wysokości 12,25 dolara”.

– *Nom de Dieu* – jęknął Jean-Pierre. – Co my teraz zrobimy?

– Nie ma sprawy – powiedział Stephen. – Obmyślimy plan, jak oddać wszystko z powrotem.

Tytuł oryginału: *Not a Penny More, Not a Penny Less*

Copyright © Jeffrey Archer 1976
All rights reserved

Original edition published by Pen Books, an imprint of Pan Macmillan Ltd.

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2014

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Projekt i opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce:
Zbigniew Mielnik

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Co do grosza, wyd. III poprawione, dodruk, Poznań 2012)

ISBN 978-83-7818-334-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com